

Trollope Joanna

Niefatwe związki

Julia i Kate ułożyły sobie życie z mężczyznami o wiele starszymi od nich. Jednak z czasem różnica wieku zaczyna być coraz bardziej dotkliwa. Kariera zawodowa Julii rozkwita, tymczasem popularność telewizyjna jej dobiegającego już sześćdziesiątki męża nieuchronnie się kończy. Kate, po ośmiu latach spędzonych z Jamesem, emerytowanym nauczycielem, zaczyna dostrzegać jego podeszły wiek i wolałaby spotykać się z rówieśnikami. Obie młode kobiety zauważają, że chcą od życia czegoś więcej niż mogą znaleźć w dotychczasowych związkach. Niegroźny wypadek, którego sprawcą jest James, rozpoczyna lawinę wydarzeń i nieoczekiwanych zmian.

1

Ponieważ nie miał okularów, nie zobaczył jej, jak pedałuje z mozołem przy krawężniku przez mrok i deszcz, tuż obok niego, i w rezultacie stracił ją z roweru. Natychmiast zatrzymał samochód, prawdę mówiąc, zarył się kołami w asfalt i sznur aut na Beaumont Street roztrąbił się zgodnie, posyłając go do wszystkich diabłów. James wyprysnął z wozu i biegiem okrążył maskę.

— Tak mi przykro — powiedział. — Tak strasznie przykro. — Oświetlona reflektorami, spoglądała na niego znad mokrego asfaltu. Stał nad nią porażony tkliwością. Należała do prawdziwych oksfordzkich starych panien, do ginącego gatunku dystyngowanych, mądrych kobiet, które żyją skromnie w wynajętych pokoikach i oddają się rozmyślaniom. Chwycił kierownicę roweru, żeby ją uwolnić, i przewrócił wiklinowy koszyk z zakupami.

— O Boże! — zawołał z rozpaczą. Zaczął zbierać rozsypane przedmioty: plastikową torbę z książkami, kłódkę i łańcuch do roweru, puszkę z jedzeniem dla kota.

— Czy pan w ogóle umie jeździć?! — krzyknęła rozeźlona, gramoląc się na nogi. Patrzyła na niego

1

poprzez deszcz i okulary w drucianych oprawkach. Jego wzrok powędrował ku szpakowatym włosom Jamesa. — Stanowi pan zagrożenie! Jedną ręką podtrzymując rower, drugą chwycił ją za

— Jest pani ranna? Zraniłem panią?

— Zranił pan moje uczucia — odparła z naciskiem.

— Napomniałem okularów...

— To mnie nie interesuje! — W jej głosie drżał jeszcze przestach. — To nie moja sprawa!

— Zabiorę panią do siebie do domu — błagał James. — To dwie minuty stąd. Rower włożymy do bagażnika. Poczestuję panią koniakiem.

— Nie — powiedziała. — Jestem umówiona.

— Odwiozę panią.

- Tutaj. Na Beaumont Street. Mam wizytę u lekarza...

- Wiec proszę pozwolić, żebym panią odprowadził do lekarza i wszystko wyjaśnił. Mruknęła coś niezrozumiale, grzebiąc w torebce.

— Moja chusteczka...

- Niech pani weźmie moja. Jest w kieszeni na piersi. Podałbym ją pani, ale mam zajęte ręce.

Potrząsnęła głową. Z nieskończoną tkliwością prowadził ją i jej rower wzdłuż chodnika.

Jakiś mężczyzna opuścił szybę samochodu i dziabiąc gniewnie palcem w stronę wozu Jamesa, wrzasnął:

— Zostawia pan to cholerstwo tutaj?!

-Tak! - odkrzyknął James.

— Och, Boże! — powiedziała kobieto nagle. — Och, Boże, och, Boże! Tak nie lubię awantur, przykrości..!

— Ja również. Zwłaszcza wtedy, gdy jestem ich przyczyną. — Przypomniał sobie, że zostawił okulary w toalecie na stosie starych numerów „Private Eye”. Tego już naprawdę nie powinien jej mówić.

- To tutaj - powiedziała, zatrzymując się przy drzwiach, i nacisnęła dzwonek.

— Powie mi pani swoje nazwisko? I adres? Czy mógłbym złożyć pani wizytę, przeprosić, upewnić się, że nic się pani nie stało?

Zawahała się. Strach wywołał u niej najpierw gniew, dopiero później osłabienie.

— Nazywam się Bachelor. Beatrice Bachelor. Mieszkam na Cardigan Street — dodała po chwili.

— Mieszkamy blisko siebie, bardzo blisko — powiedział James.

Drzwi się otworzyły. Recepcjonistka ubrana w sweter o tak żywych barwach, że przyćmiewał zupełnie jej twarz, powiedziała:

— Och, panna Bachelor, paskudna noc, co się stało?

— To moja wina — odezwał się James. — Przejechałem tę panią.

Obejrzał pannę Bachelor w pełnym świetle. Miała smugę błota na policzku i chustkę zsuniętą na tył głowy. Z koka wymykały się rzadkie siwe włosy.

— Nazywam się James Mallow — powiedział James, czując potrzebę ujawnienia nazwiska w akcie bezsensownej skruchy.

— Bardzo dobrze — powiedziała recepcjonistka, stanowczym gestem ujmując pannę Bachelor pod ramię. — Jestem pewna, że tak właśnie się pan nazywa.

I zamknęła mu drzwi przed nosem.

Kiedy zajechał przed bramę, dom był ciemny, tylko okno stryja Leonarda płonęło czerwienią. Pięć lat temu, kiedy Leonard Mallow wprowadził się do Willi Richmond, Kate zapytała, jaki kolor zasłon odpowiada mu najbardziej, a on odparł bez chwili namysłu:

— Czerwony, kochanie. Bardzo czerwony. Tak czerwony, jak to tylko możliwe.

Był człowiekiem o wyrobionych gustach. Uwielbiał

krykieta i dzieła Johna Buchana, i pastę rybną, i panią Cheng, małą, niepozorną Chinę, która pomagała Kate przy sprzątaniu. Nienawidził postępu i materializmu, i dziewcząt o krótkich włosach. Był dyrektorem szkoły przez niemal pięćdziesiąt lat swojego kawalerskiego życia i z całą życzliwością mawiał, że bachory stanęły mu już kością w gardle.

James wszedł do domu. Hall był ciemny, ale spod kuchennych drzwi sączyło się światło, a w głębi domu pulsował rock.

— To ty? — zawołał z góry stryj Leonard.

— To ja. James.

— Paskudny wieczór...

— Mnie to mówisz? Będę u ciebie za minutę.

— Nie ma pośpiechu! — odkrzyknął łaskawie Leonard. — Pamiętaj, najważniejsze — zachować spokój!

James otworzył pierwsze drzwi na lewo i przekręcił kontakt. Światło zdawało się budzić gabinet do życia, jego gabinet od ponad ćwierć wieku: wielkie okna wychodzące na ogród, zielony dywan, lampy i małe stoliki, wytarte skórzane fotele, biurko (mahoniowe biurko ojca, przywiezione z Afryki Południowej) i książki, książki od podłogi po sufit, płaszczyzna książek, nieprzerwana, jeżeli nie liczyć wylomu nad biurkiem, gdzie wisiał ulubiony obraz Kate, portret pulchnego Mogoła w kwiecistej szacie i srebrnych pantoflach. James podszedł do okna i zaciągnął zasłony. Pani Cheng odkurzyła dywan i zielona wełna układała się w pasma jak skoszony trawnik. Pokój pachniał skórą, papierem i politurą, tak jak lubił. Spojrzał na fotele i zrobiło mu się żal, że panna Bachelor nie siedzi w jednym z nich, nie grzeje swoich panieńskich członków przy jego gazowym kominku, nie tuli filiżanki herbaty lub kieliszka brandy w niezupełnie pewnych dłoniach. Był niemal chory z żalu. Skoro już musiał kogoś przejechać, dlaczego nie był to tęgi, krzepki chłop, który odbiłby

się od asfaltu i zdrowo mu naubliżał? Dlaczego musiała to być panna Beatrice Bachelor w wełnianych rękawiczkach i z nogami jak łamliwe pątyki? Westchnął. Żałował, że Kate nie ma w domu, potrzebował jej pociechy i zrozumienia. Opuścił gabinet i wolno wszedł na schody, gasząc po drodze światła. Pokój Leonarda stał otworem, znak, że stryj jest usposobiony towarzysko. Kiedy chciał spać, rozwiązywać krzyżówki albo odprawić długi i skomplikowany rytuał ubierania i rozdziewania, zamykał stanowczo drzwi i wrzeszczał: „Precz!”, jeżeli ktoś pukał.

— A! — powiedział na widok Jamesa. Siedział na swoim ulubionym miejscu, w fotelu o wyjątkowej brzydocie, który kojarzył się Jamesowi nieodmiennie z rozjechaną żabą. — Jesteś wypluty.

— Właśnie potrafiłem kobietę — odparł James. — Nic jej się nie stało, przestraszyła się tylko. Czuję się okropnie.

— Whisky — stwierdził Leonard i pacnął długą dłonią w blat komody. — Częstuj się.

— Zawiozłem ją do lekarza — mówił dalej James, biorąc szklanekę do mycia zębów i szukając na niej śladów pasty. — Pójdę do niej jutro. Mieszka w pobliżu St Barnabas.

— Nie, nie — powiedział Leonard. — W tej moczę sztuczną szczękę. W barku znajdziesz odpowiednią szklanekę.

— Przepraszam.

— Zostawiłeś okulary. Natknąłem się na nie w ubikacji.

— Dlatego ją potrafiłem. Było ciemno i padał deszcz.

— Masz dopiero sześćdziesiąt lat, prawda?

— Sześćdziesiąt jeden.

— Nie ma powodu, żebyś niedowidział w wieku sześćdziesięciu jeden lat.

Oczy powinny jeszcze działać.

— Nie rozpadam się — uspokoił go James i usa-

dowił się w drugim fotelu Leonarda, skrzypiącym wiklinowym koszu z gruzłowatą poduszką obitą kre-tonem. — Jestem po prostu roztargniony, jak zwykle. To znaczy, jestem nieustannie pogrążony w myślach nie związanych z prowadzeniem samochodu czy strzyżeniem trawnika. Kate doprowadza to do szału. Nie rozumie, dlaczego nie mogę zużytkować mojej inteligencji do ładowania pralki w tym samym stopniu, w jakim używam jej do pisania artykułów.

— A swoją drogą, dlaczego nie możesz?

— Przypuszczam, że ładowanie pralki nie jest tak interesujące.

Leonard uderzył dłonią w złożoną gazetę na swoich kolanach.

— Weźmy na przykład ten artykuł dzisiaj. Nie zgadzam się z tobą, rzecz prosta. Nie znoszę subwencji. Nic dziwnego, że teatr zrobił się taki cikliwy, że aż mdło.

— Ten artykuł nie jest do końca za subwencjami. Twierdzą tylko, że potrzebna jest równowaga...

— „Koniec podróży” — powiedział Leonard nagle. — Najlepsza rzecz, jaką widziałem. Świetna. Z jajami. Miała ręce i nogi.

— Gdzie jest Kate?

— Kto to wie? Pojawia się i znika. Szast, prast, zakręci się i już jej nie ma. Sam wiesz.

James przyjrzał się stryjowi uważnie. W całym życiu Leonarda nikt nie okazał mu tyle serca, co Kate. To Kate zaproponowała, żeby go przygarnąć, kiedy się okazało, że lata poświęcone życiu instytucji pozbawiły go zdolności zajęcia się własnym. Choć Leonard zdawał sobie jasno sprawę, ile zawdzięcza Kate, i choć nauczył się ją kochać, nie potrafił jej wybaczyć dwóch rzeczy. Po pierwsze, jej pochodzenia. Wiedział, że nie ma prawa wygłaszać swoich opinii, wiedział również, że wyszły one z mody, ale ojciec Jamesa był dżentelmenem, a ojciec Kate pilnował boiska sportowego na uczelni, matka zaś była

irlandzką imigrantką z hrabstwa Cork. Te dwa fakty tkwiły w umyśle Leonarda jak ostre kamienie w gładkiej wstędze piaszczystej plaży. Trzeci fakt był już nie tyle kamieniem, co głazem narzutowym.

— Leonardzie... — powiedział James ostrzegawczo. Dopił whisky. — Lepiej zejść na dół i zobaczę, co z Joss.

— Odrobiliśmy jej pracę domową — odparł Leonard i rozłożył gazetę na znak, że i tak ma już dość towarzystwa Jamesa. — W trymiga.

— Uważasz, że to dobry pomysł? Odfajkowujesz za nią lekcje i stwarzasz zupełnie fałszywe pojęcie o jej możliwościach. Czy to jej wyjdzie na dobre? Leonard uwielbiał odrabiać prace domowe Joss. Wsadził nos w gazetę.

— Pilnuj własnych spraw — mruknął.

James wyszedł na klatkę schodową. Kate odmalowała ją zeszłej zimy na ciepły, pszeniczny kolor. Zrobiła to ze swoim zwykłym rozmachem i James musiał potem usuwać smugi żółtej farby z białych framug i poprawiać brzegi małym pędzlem. Nie obraziła się, nigdy nie brała do serca podobnych drobnostek, śmiała się tylko. Kolor klatki schodowej należał do nielicznych rzeczy, które zmieniła od chwili, gdy zamieszkała w tym domu; była albo zbyt pochłonięta życiem, by zajmować się wystrojem wnętrza, albo zbyt delikatna, by narzucać Jamesowi własne gusta.

To był jego dom. Kupił go niemal trzydzieści lat przed poznaniem Kate, na długo przed tym, nim wiktoriańska, niedbale zabudowana część Oksfordu zwana Jerycho, została podniesiona do rangi eleganckiej dzielnicy. Niski, czerwony dom miał gotyckie drzwi i szerokie wieloskrzydłowe okna w obramowaniu żółto-niebieskiej cegły. „Willa Richmond”, informował stanowczo napis nad wejściem. Zbudował ją zapewne główny drukarz wielkiej drukarni uniwer-

syteckiej na Walton Street i James ją kochał. Kochał również takt, z jakim odnosiła się do niej Kate.

Zszedł na dół. Głuche bębnienie rocka zmieniło się w żalosne, nosowe zawrodozenie i przypominało głos dochodzący z za wysokiego muru północnoaf-rykańskiego suku. James położył rękę na klamce. Wiedział, że za tymi drzwiami znajdzie swoją pasierbicę, bez wątpienia opychającą się płatkami kukurydzianymi, które utrzymywały ją przy życiu. Z tym tylko, że Joss wcale nie była jego pasierbicą. Jej matka przez osiem lat pobytu w Willi Richmond uporczywie odmawiała poślubienia jej właściciela.

Joss miała drobną, bladą twarz i potworną fryzurę. Jej włosy, o tym samym rudym odcieniu co włosy Kate, były przystrzyżone żałosnie krótko, zgodnie z wymogami szkolnej mody. Fryzura napawała Joss obrzydzeniem, dlatego też broniła jej z pasją. Na ścianach jej sypialni wisiały zdjęcia piosenkarek rocka z włosami jak u skazańców, ale pod łóżkiem Joss trzymała pudło wycinków, fotografie modelek o lśniących, falistych kurtynach włosów. Te dziewczyny miały na nogach piękne, lekkie pantofle. Joss nosiła ciężkie czarne półbuty z grubą podeszwą i stalowymi dziurkami.

— Stryj Leonard twierdzi, że odrobił lekcje — powiedział James. Joss ziewnęła.

— W przeciwieństwie do mnie wiedział jak. Więc odrobił.

James nie czuł się na siłach, by podjąć walkę.

— Gdzie jest mama?

— Nie wiem. Pewnie w domu.

Domem nazywano przytułek dla maltretowanych kobiet, założony przez przyjaciółkę Kate przy kościele św. Katarzyny. Kate pracowała tam społecznie, opiekowała się dziećmi i słuchała, słuchała bez końca. Tam właśnie znalazła panią Cheng o twarzy przypo-

minającej bratek, żółtej w sinofioletowe kropki siniaków. Kate dała pani Cheng dorywczą pracę w Willi Richmond, załatwiła pokój w pensjonacie i posadę sprzątaczkę w gabinecie stomatologicznym na Beaumont Street. Wdzięczność pani Cheng przejawiała się w nieustannej gotowości służenia Kate. Sprowadzało się to do usuwania bałaganu, jaki stwarzała wokół siebie jej dobrodziejka. Joss odwiedziła kiedyś panią Cheng w jej hotelowym pokoju. Powiedziała potem, że jest bardzo pusty i dziwnie w nim pachnie.

— Tak naprawdę pani Cheng chciałaby mieszkać tutaj, w szafie pod schodami, i gotować rybie głowy — twierdził stryj Leonard.

— Zrobię kolację — powiedział teraz James, idąc w stronę lodówki.

— Wspaniale! — odparła Joss. James gotował lepiej niż Kate. Jego potrawy dawało się nazwać, zachowywały określony kolor i konsystencję. Potrawy Kate wyglądały wszystkie jednakowo, choć ich smak był zawsze niespodzianką i to — często gęsto — niemiłą.

— Kupiłam kapelusz — zakomunikowała zniecierpliwiona Joss. Nie miała zamiaru nikomu o tym mówić i zaczerwieniła się z gniewu na samą siebie. Kupowanie kapeluszy w sklepach z używanymi ciuchami w Walton i Little Clarendon Streets było jej sekretną pasją, którą usiłowała ukryć równie starannie jak namiętność do pantofli i długich włosów.

— Doprawdy?

— Uhm.

— Mogę zobaczyć?

Joss, wściekła na siebie, kopnęła w jego stronę torbę z kapeluszem. Była to stara papierowa torba z supermarketu, zmięta i naddarta. James podniósł ją z podłogi i wyjął mały kapelusik z czarnego aksamitu, przypominający berety góralek szkockich, z grubym czarnym welonem przypiętym dwiema brylantowymi spinkami.

— Uroczy. Naprawdę wspaniały.

— Nienawidzę go. Żałuję, że go kupiłam. James wiedział, że nie należy jej proponować, by go wobec tego odniosła tam, gdzie go kupiła.

— Szkoda, że kobiety nie noszą już takich kapeluszy. Były takie seksowne.

— E tam — powiedziała Joss.

James włożył kapelusz z powrotem do torby. Otworzył lodówkę — od ośmiu lat o wiele za małą — i przycupnął w drzwiach.

— Co powiesz na gigantyczny smażony misz-masz ze wszystkiego, co tu widzisz?

Joss z nieskończoną ostrożnością przyciągnęła do siebie torbę.

— Nie jestem głodna.

— Ja wyjątkowo tak. Stryj Leonard jest zawsze głodny, a mama będzie jak wróci.

— Oddam kapelusz. Jest ordynarny. James wstał i zaczął przenosić artykuły spożywcze z lodówki na stół.

— A może sprezentujesz go mamie na urodziny?

— Jakie urodziny?

— Za dwa tygodnie. Jej trzydzieste szóste urodziny.

— Mówiłeś, że ten kapelusz jest seksowny...

— Bo jest.

— Nie mogę dać seksownego kapelusza mamie! Popatrzyli na siebie. Joss wyobraziła sobie Kate w kapeluszu i Jamesa patrzącego na nią, i zrobiło jej się mdło. James wyobraził sobie to samo i poczuł podniecenie. Pierwszy odwrócił wzrok.

— Jak uważasz — powiedział, ujmując kobiałkę konających grzybów. Drzwi frontowe otworzyły się, wpuszczając lodowaty podmuch przez szparę w kuchennych, i zamknęły się z trzaskiem.

— A! — powiedział James z zadowoleniem. Joss upchnęła torbę z kapeluszem w czarny plecak, w którym nosiła podręczniki szkolne.

Kate wpadła do kuchni, cała lśniąca od deszczu. Nie okryła niczym głowy i na sztywnych rudych włosach trzymały się krople jak na żdźbłach trawy.

— Pogoda jest nie do przyjęcia — powiedziała. Postawiła na podłodze torebkę i koszyk z zakupami, który przechylił się na bok, wysypując mandarynki i ogromną hiszpańską cebulę.

James podszedł, by pocałować Kate.

— Ostrożnie, moczę! Jestem przemoknięta do majtek. Cześć, Jossie.

— Weź kąpiel. Właśnie zabierałem się do kolacji. Zrób sobie kąpiel, a ja przygotuję jedzenie.

— Gdzie byłaś?

— W domu. Gdzie mogłam być? Normalny po-święteczny napływ bidul. Twierdzą zgodnie, że boją się Bożego Narodzenia bardziej niż jakiegokolwiek innego dnia w roku.

James wyłuskał ją z płaszcza przeciwdeszczowego.

— Faktycznie jesteś przemoczona. Joss, mogłabyś przygotować mamie kąpiel? I powiedz stryjowi Leonardowi, że kolacja jest za pół godziny.

Joss wstała.

— Mogę jechać na narty? Z moją klasą? Kate popatrzyła na córkę.

— Nie — powiedziała. — Nie mam pieniędzy. — Posłała Jamesowi miazdzące spojrzenie, by uprzedzić jego propozycję. — Wiesz, że nie mam. Ale przykro mi z tego powodu. Przykro mi, że ich nie mam.

— Aha — powiedziała Joss. Nie żywiła wielkich nadziei, i choć obiecała sobie, że zrobi awanturę, straciła jakoś do tego serce. Wyszła z kuchni, zostawiając drzwi otwarte, chociaż wiedziała, że James będzie je musiał za nią zamknąć.

— Tak się cieszę, że już wróciłaś — powiedział James.

Kate przycupnęła na podłodze przy swoich tor-

2 – Niełatwe związki

17

bach; giętka, drobna postać w czarnych drelichowych spodniach.

— Ja też. Dzisiaj było tak smutno. Przypuszczam, że to wina styczniowej pluchy, ale dom wyglądał mniej na przytułek, a bardziej na wielką, ponurą poczekalnię, nic, tylko kolejki i kwestionariusze do wypełnienia. I wszyscy palili. Wstyd mi, kiedy jestem zła, ale czasami jestem, jestem zła jak osa. — Włożyła ostatnią mandarynkę do koszyka i wstała.

— Skoro mowa o wstydzie — powiedział James, wracając do swoich grzybów. — Wiesz, co zrobiłem?

— Nie.

— Pojechałem przefaksować artykuł do gazety i zapomniałem okularów. I na Beaumont Street potrąciłem kobietę, niezbyt mocno, ale spadła z roweru. Kate słuchała, nieruchoma, skupiona. James ożywił się wobec jej milczącego współczucia.

— Ale najgorsze, że ona była taka krucha, jedna z tych słabowitych starych panien z koczką. W koszyku miała jedzenie dla kota. Szczęśliwie jechała do lekarza, odprowadziłem ją więc do gabinetu i oczywiście pójdę do niej jutro, ale teraz czuję się okropnie stłamszony. — Urwał i czekał, żeby Kate go pocieszyła, może nawet podeszła, otoczyła ramionami, przytuliła wilgotny policzek do jego piersi i powiedziała, że to się mogło zdarzyć każdemu, zwłaszcza w taki wieczór. Ale nie zrobiła tego..Nic nie powiedziała i nie wykonała żadnego ruchu. Spojrzał na nią zaskoczony. Wpatrywała się w niego wzrokiem zupełnie mu obcym, zimnym i niemal pogardliwym. Otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwała się Kate, głosem, który harmonizował z wyrazem jej twarzy. Ty stary głupcze!

Zapadła cisza, a oni spoglądali na siebie ogarnięci grozą.

Kate leżała w wannie z zamkniętymi oczami. Prosiła Joss, by została na pogawędkę, ale" Joss powiedziała, że ma coś do roboty i poczłapała do swojego pokoju. Kate nie wzięła jej tego za złe. Joss miała wprawdzie dopiero czternaście lat, ale nie była głupia i wiedziała, jaka jest różnica między propozycją, by zostać i pogawędzić, a propozycją, by zostać i uchronić Kate przed zmorą własnych myśli.

— Przepraszam — powiedziała — mam coś do roboty.

Mówiła z lekkim londyńskim akcentem, Kate z lekkim prowincjonalnym, James, no cóż, matka Kate twierdziła, że z oksfordzkim. James! Dlaczego tak się do niego odezwała? Nie chciała tego zrobić, nie wiedziała, że to zrobi. „Głupcze” było w porządku, ale „stary”! Kate w męce podkuliła nogi. James był wstrząśnięty, jakby go spoliczkowała. Nigdy go nie spoliczkowała, nigdy nawet nie podniosła na niego głosu; nie był tego rodzaju mężczyzną, a ona tego rodzaju kobietą. A teraz nazwała go starym głupcem i na dodatek dokładnie to miała na myśli! Bo zachował się jak głupi, krótkowzroczny, roztargniony stary człowiek. Też pomyśl, prowadzić po ciemku bez okularów i zrzucić ludzi z rowerów! Och, Boże — pomyślała Kate, nagle przerażona tym, dokąd wiedzie ją umysł — co ja wyprawiam?

Nie zastanawiała się, ile James ma lat, kiedy go poznała.

Dwudziestopięcioletnia różnica wieku działała jak bodziec erotyczny, a romans był czymś tak naturalnym i cudownym, że nigdy nie zadała sobie pytania, do czego to wszystko prowadzi. Poznali się w pubie przy Holywell Street. James przyszedł tam ze starym przyjacielem, Hughem Hunterem, a Kate z kochankiem. Nie z ojcem Joss — ten umknął do Kanady

w chwilę po tym, jak dowiedział się o ciąży Kate — z innym, który zaczynał ją powoli nużyć. Hugh Hunter wylał jej na ramię trochę piwa, kiedy próbował przepchnąć się przez tłum, i tylko James miał przy sobie chusteczkę. Wydał się Kate wspaniały, taki wielki i spokojny w koszulce polo pod starą tweedową marynarką. Spojrzała mu otwarcie w twarz i pomyślała o diuku Wellingtonie; kto wie, czy to nie był jego nos?

— Nazywam się James Mallow — powiedział James, wycierając jej ramię.

— Moja matka pochodzi z Mallow — odparła Kate. Mallow w hrabstwie Cork. Latem rodzice zabierali ją

1 jej siostrę na przejażdżkę łodzią po Glashaboy River.

James zapisał jej numer telefonu. Następnego dnia zadzwonił i zaprosił ją do kina. Potem na niedzielny lunch do Willi Richmond. Nie pozwolił jej nic robić, siedziała przy kuchennym stole z kieliszkiem wina, podczas gdy on kroił i siekał. Siedziała i patrzyła na jego dłonie i ręce odsłonięte do łokci, dopóki nie zakręciło jej się w głowie. Pragnienie, by znaleźć się z nim w łóżku było tak silne, że ledwie mogła usiedzieć na krześle.

Po lunchu James rzeczywiście wziął ją do łóżka i było to niezwykle doświadczenie. Jak te sceny miłosne w książkach, powiedziała sobie, z których się śmiejemy, bo nigdy nie zdarzają się w życiu. Ta się zdarzyła. Tego wiosennego popołudnia, kiedy Kate miała dwadzieścia osiem lat, a James pięćdziesiąt trzy (a Joss sześć), seks był rewelacyjny.

Potem James zabrał Kate na dół do swojego gabinetu. Zdumiała ją panująca tam czystość, może nie czystość jako taka, ale fakt, że wszystkie te czyste przedmioty były jednocześnie stare. W świecie jej dzieciństwa tylko nieliczne nowe rzeczy, prócz paru matczynych skarbów, były czyste. Stare już z definicji były zużyte, brudne, poplamione, jakby robaczywe. Tutaj stare przedmioty zdawały się promienieć zdrowiem. Kate usiadła na kręconym krześle Jamesa

i spojrzała na portret gładkiego, pulchnego, jasno-czekoladowego księcia z perłami w turbanie, z dłonią na rękojeści szabli.

Wprowadziła się dwa tygodnie później. Nie mogła sobie przypomnieć, czy James ją kiedykolwiek o to prosił; tęsknota, by z nim zamieszkać, zżerała ją żywcem i kwestia: prosił czy nie, wydała się jej bez znaczenia. James odmalował małą sypialnię dla Joss, która nigdy dotąd nie sypiała sama, i która przez następne dwa lata nie pozwalała zgasić sobie światła. Jego praca polegała na pisaniu artykułów przy biurku, albo udzielaniu lekcji w gabinecie. Kate skradała się wówczas po domu, przepelniona czcią i ekscytacją. Niczego nie wolno jej tu zmienić, musi respektować życzenia Jamesa. Nawet później, kiedy zrozumiała, że James ją pokochał, nie potrafiła mu narzucić swojej woli, nadal nie czuła pragnienia zmian. Dom należał do Jamesa. Kate, jak James miał się wkrótce z wdzięcznością przekonać, nie osądzała, Kate miała ogromną zdolność akceptacji.

Akceptowała zwyczaje mężczyzny przywykłego od dwudziestu lat do samotnego życia, akceptowała jego pragnienie porządku, nawet jeżeli porządek był czymś przeciwnym jej naturze. Akceptowała, dla spokoju Jamesa, konieczność narzucenia Joss pewnej dyscypliny, akceptowała stryja Leonarda. I uznała, nie pytając nawet Jamesa o zdanie, że on da jej w zamian wolność, której potrzebowała, by zrobić wszystko, co zamierzała w życiu zrobić. Jej zamiarem było między innymi pozostać osobą niezamężną. — Śmiertelnie boję się litości — powiedziała. — A jeszcze bardziej się boję, że stanę się dla kogoś ciężarem.

— Nie staniesz się dla mnie ciężarem. Chcę się z tobą ożenić, bo cię kocham i chcę, żebyś była moja. Chcę, żebyś była ciężarem, jeżeli już musisz tak to ująć. Chcę być za ciebie odpowiedzialny.

— Dziś, być może. Może nawet jutro. Ale nie wiecznie. Nie mogę ryzykować, że cię rozczaruję.

— Nie rozczarujesz. Znam cię. Chcę cię taką, jaka jesteś.

— Mimo to — nie.

— Powody, które przedstawiasz, są takie błahe.

— Nie dla mnie. Dla mnie są ważne i jasne jak słońce.

I tak w kółko, kłótnia po kłótni. Powoli przestał się bać, że Kate odejdzie, jeżeli nie będzie jego żoną. Kiedy zaczęła pracować z dziećmi z rozbitych rodzin, młodymi narkomanami z Horsley i maltretowanymi kobietami, powiedziała, że czuje się w obowiązku zrobić przynajmniej tyle, choć to tak niewiele. „Jestem taka szczęśliwa, że aż mnie mdli”. Trzy dni w tygodniu pracowała w małej restauracji jako kelnerka, pomywaczka i księgowa. To pokrywało jej wydatki na ubrania dla siebie i Joss. Wolałaby, żeby pokrywało również wydatki na jedzenie i utrzymanie domu, ale kiedy zaproponowała to Jamesowi, ten okazał się nieugięty.

— Nie. Nie będę nawet na ten temat rozmawiał. Nazwij mnie przedpotopowym mamutem, jeżeli masz ochotę, ale chcę utrzymywać was obie, dopóki mogę. Jeżeli nadejdzie czas, kiedy nie będę mógł, powiem ci o tym, a na razie zamknij się i jedz.

Kate usiadła w wannie i chwyciła mydło. Tarła się gąbką energicznie, do bólu, jakby chciała zmyć ze skóry o wiele więcej niż całodzienne zmęczenie. Potem wypuściła wodę z wanny i włączyła prysznic, zimny. Spłukiwała się dłużej niż mogła trwać przyjemność takiej kąpieli. Wytarła się do sucha, wciągnęła dzinsy, wielki stary golf Jamesa, grube białe skarpety i zbiegła na dół.

James nakrył stół i ustawił na nim świece. Ułożył również mandarynki w zielonej szklanej misie, sprzątnął brudne naczynia z większości blatów i otworzył

butelkę wina. W powietrzu unosił się cudowny zapach ciepłego jedzenia, a trzeci program łaskawie nadawał Vivaldiego. James odwrócił się, kiedy weszła. Kate zagryzła wargę.

— Przepraszam cię. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Wcale tak nie myślę.

Machnął niedbale ręką.

— Daj spokój. To bez znaczenia. Zresztą obawiam się, że to prawda.

Czekali, chcąc sprawdzić czy to, co sobie powiedzieli, poprawiło sytuację.

Nie poprawiło. Zadzwoił telefon. Z przyzwyczajenia, ponieważ James nienawidził telefonu, poszła go odebrać.

— Halo — powiedziała. — O, cześć! To ty. Wiem. Coś straszego.

Przemokłam do suchej nitki. Poczekaj, zaraz go zawołam.

Podala Jamesowi słuchawkę jakby to była gałązka oliwna.

— Hugh — powiedziała.

2

Hugh Hunter siedział na wyplatany barowym stołku w swojej pięknej wiejskiej kuchni i rozmawiał przez telefon. Kuchnię urządziła Julia, która miała niesamowitą zdolność zachowywania umiaru we wszystkim, czego się tknęła. Było to długie, wąskie pomieszczenie o białych ścianach, korkowej podłodze i doskonale dobranych drewnianych meblach. Dzbany z terakoty, popękane czarno-białe talerze i stare miedziane garnki stały dokładnie tam, gdzie powinny stać, i było ich akurat tyle, ile wymagał dobry smak. Goście Church Cottage lądowali tu nieuchronnie znęcani atmosferą, siadali przy staroświeckim piecu w drewnianych fotelach wyłożonych pstrokatymi poduchami i patrzyli, jak Julia miesza sos albo poi bliźniaki herbatą. Hugh mógł korzystać z telefonu w swoim gabinecie na tyłach domu lub z bardzo poręcznego aparatu w salonie, ale najczęściej dzwonił z kuchni, zwłaszcza wtedy, gdy rozmowa miała charakter towarzyski. Siadał na stołku, z łokciami, szklanką wina i popielniczką na dębowym blacie baru, i wykręcał numer.

— Dzwonię, żeby ponarzekać — powiedział teraz do swojego starego przyjaciela, Jamesa Mallowa.

— Będziesz musiał narzekać szybko. Siadamy właśnie do kolacji,
— Julia zostawiła mi *beauf bourguignonne* i poszła coś nagrywać. Co mnie podkusiło, żeby ją namawiać na robienie kariery?
— Nie opowiadaj — odparł James. — Puchniesz z dumy.
— To prawda — powiedział Hugh. Był dumny. W taki czy inny sposób był zawsze dumny z Julii. Kiedy urodziła bliźniaki, myślał, że pęknie z dumy.
— Wiesz co? — powiedział James. — Zjedz swojego *beauf bourguignonne'a*, poczytaj coś doskonalącego umysł, i zobaczymy się w sobotę w King's Head.
— Dzięki, łaskawco — Hugh odłożył słuchawkę i popadł w zamyślenie.
James wydawał się spięty. Sprawka Joss, bez wątpienia, przy odrobinie starań potrafiłaby wpędzić w depresję najmniej nerwowo dom. Dlaczego nastolatki są tak przeraźliwie kłopotliwe? Czy bliźniaki też takie będą? Czy te kochane blond maleństwa z poważnymi buźkami czterolatek zmieniają się w stereotypy drobiazgowo anarchicznej młodości? Jakie to smutne, jakie smutne i jak obezwładniająco, beznadziejnie nudne.
Hugh otworzył dolne drzwiczki pieca. Jego kolacja stała tam w fajansowej misie z Prowansji. Wyjął ją ostrożnie i postawił na plecionej podkładce, którą Julia zostawiła na stole, obok nakrycia i liściku. „Sałata w lodówce — przeczytał. — Potem ser. Czy dasz radę wykończyć brie?” Ton notatki był typowy dla Julii, stanowczy, a zarazem bardzo uprzejmy i pełen wdzięku. Byli małżeństwem od siedmiu lat i w ciągu tych siedmiu lat spędził wiele wieczorów poza domem, wiele nocy w Londynie. Dziś po raz pierwszy, jeżeli nie liczyć rzadkich wypadków do rodziców, Julia odpłaciła mu pięknym za nadobne.

Włączył radio. Vivaldi. Nie miał nastroju na Vivaldiego, był nastawiony na coś ostrzejszego, na Waltona lub może Brittena. Church Cottage miał wyrafinowany sprzęt muzyczny rozlokowany na parterze, ale Hughowi nie chciało się szukać odpowiedniej płyty kompaktowej i wkładać jej do odtwarzacza.

— To zajmie mi dwie minuty — powiedział sobie. — Tak, wiem. Wiem, wiem, ale nie chce mi się tego robić.

Znalazł sałatę w lodówce, małe, faliste liście ciemnej i jasnej sałaty posypane orzeszkami. Była tam także ciemna bagietka i nie solone masło w białej miseczce z krową spoczywającą spokojnie na wieczku. Ułożył wszystko wokół nakrycia na stole. Potrawka wyglądała nienagannie, pachniała — cudownie. Z jakiegoś powodu Hugh miał ochotę ująć pokrywkę maselniczki za porcelanową krowkę i strzepnąć w nią popiół. Dolał sobie wina do kieliszka — grubego, ślicznego kieliszka, który kupili razem w Wenecji — i rozlał trochę na jasną powierzchnię stołu. Pozwolił czerwonej sadzawce rozlać się po blacie, potem wsadził w nią palec i zmienił w czerwonego węża. Pomyślał znowu o Joss Bain. Zachowuje się jak Joss. Ta myśl przypomniała mu o Jamesie. Usiadł na wyściełanym krześle, nałożył sobie potrawy na talerz i pożałował, że nie ma tu Jamesa, który zjadłby z nim kolację, powiedział, żeby nie palił i patrzył na niego z irytacją i miłością.

Poznali się w Cambridge, gdzie studiowali razem historię. James urodził się w Afryce Południowej, w Grahamstown, w Easter Cape. Jego ojciec przywędrował tam z Anglii w połowie lat dwudziestych i został dyrektorem szkoły. Rodzina powróciła do Europy tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej i ojciec Jamesa przeżył niemal całą wojnę, by potem umrzeć na dyzenterię w obozie jenieckim we

Włoszech. Jego młodszy, słabowity brat Leonard pośpieszył rodzinie na ratunek, płacąc chesne Jamesa i przedstawiając bratową jej przyszłemu mężowi — kwestorowi ze szkoły publicznej, w której sam uczył. James wyrósł w przekonaniu, że nauczycielstwo jest jedyną karierą życiową, jaką warto brać pod uwagę.

Hugh wychował się w zupełnie innych warunkach. Jego chory na astmę ojciec zbił majątek na handlu podczas wojny. Hugh zawsze podejrzewał, że na czarnorynkowych interesach. Zmarł w 1948 — w roku, w którym Hugh poszedł do Cambridge — zostawiając żonie akurat tyle pieniędzy, by mogła pospłacać jego długi i wyprawić jego kochankę i ośmioletniego syna do Australii. Matka Hugh'a, żelazna kobieta o niekwestionowanej odwadze, sprzedała rodzinny dom, połowę uzyskanej sumy oddała Hughowi i wraz z córką zamieszkała w rodzinnym mieście Huddersfield. Krawcowa z zawodu, założyła niewielki interes, który szybko się rozrósł, a następnie przekształcił w dużą pracownię krawiecką. Pozostawiła większość pieniędzy córce — która odziedziczyła astmę po ojcu i była zbyt wątła, by podjąć pracę — i dwieście tysięcy funtów Hughowi. Za te dwieście tysięcy on i Julia kupili i odremontowali Church Cottage.

Perspektywa zostania nauczycielem przerażała Jamesa w takim samym stopniu, w jakim tęsknota za aktorstwem spalała Hugh'a. Już na studiach Hugh wstąpił do kółka dramatycznego i po zdobyciu dyplomu pracował w zespole teatralnym za dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo. Suma ta wzrosła po sześciu miesiącach do podstawowej pensji aktora scenicznego — sześciu funtów i dziesięciu szylingów. Matka Hugh'a protestowała gwałtownie, w jej pojęciu teatr pełen był pederastów i ludzi szukających poklasku. W ciągu trzech lat ani razu nie przyszła na

przedstawienie, a kiedy robiła to jego delikatna, zadyszana siostra, musiała udawać, że idzie gdzie indziej.

— Rzecz nie warta awantury — powiedziała swoim miękkim akcentem z Yorkshire, wręczając Hu-ghowi paczkę z żywnością. — Potrafi dąsać się dwa tygodnie albo i dłużej. Nie przestanę przychodzić, ale i nie powiem jej prawdy.

Kiedy w latach pięćdziesiątych narodziła się niezależna telewizja i Hugh podpisał pierwszy kontrakt z jedną z głównych stacji, matka orzekła bez entuzjazmu, że to już lepiej. Chciała, żeby został prawnikiem, chciała, żeby się doskonalił.

Hugh Hunter i telewizja darzyli się wzajemnym uwielbieniem. Został spikerem w jednym z pierwszych ogólnokrajowych programów informacyjnych. Koledzy po fachu i publiczność znali go jako „Double H”. W stosownym czasie jego program został przechrzczony na „Double H Time” i zaczął zbierać nagrody. Hugh miał mieszkanie w pobliżu studio, MG i plejadę uroczych przyjaciółek z ogromnymi, podmalowanymi na czarno oczami. Od czasu do czasu pakował którąś z nich do MG i wiozł na starą plebanię w Oxfordshire, gdzie mieszkał James z żoną.

Żona była dużo starsza od Jamesa. I dość zamożna. Kupiła dom nad brzegiem Windrush River i łożyła na jego utrzymanie, James mógł się więc poświęcić pracy dla przyjemności. Próbował założyć księgarnię, napisać dreszczowiec, hodować pszczoły na dużą skalę, ale żadne z tych zajęć nie przypadło mu do gustu. Uświadomił sobie, że źródłem jego niezadowolenia jest prawdopodobnie uzależnienie od żony, ale nigdy nie próbował jej za to obwiniać. Darzył ją dużą sympatią, była patronką szkoły, w której jego ojczym był kwestorem, i uratowała go, w dosłownym tego słowa znaczeniu, przed tyranią i oczekiwaniami Mallowa. Żyli zgodnie w swoim nadbrzeżnym domu, kłócąc się tylko o Hugh'a Huntera. Dla świętego

spokoju Hugh przestał w końcu przyjeżdżać do Oxfordshire. Spotykali się z Jamesem w Londynie. Żona Jamesa zmarła na nowotwór mózgu, kiedy James miał trzydzieści dwa lata, i Hugh był pierwszą osobą, która przyjechała go pocieszyć.

Żona Jamesa zostawiła mu dość pieniędzy, by mógł kupić skromny dom — resztę odziedziczyły jej dzieci — i list, w którym pisała, że jej bogactwo nie przyniosło mu wprawdzie pożytku, ale życzy mu udanego życia i bardzo szczęśliwego drugiego małżeństwa. W dni, kiedy Hugh nie chodził do studia, przemierzali z Jamesem Oksford w poszukiwaniu domu, ponieważ James zapowiedział, że jeżeli zostanie na wsi, wkrótce oszaleje. Znalezienie Willi Richmond zajęło im cztery miesiące.

— To koszmar — powiedział Hugh na jej widok. — Nie możesz mieszkać w czymś tak okropnym.

Ale James pokochał dom od pierwszego wejrzenia.

Dom przyniósł mu szczęście. James odkrył, ku własnemu zmartwieniu, że lubi uczyć, i zatrudnił się w jednym z wielu w tym mieście seminariów.

Odkrył również, że choć nie umie pisać książek, umie pisać co innego.

Wysłał więc parę eksperymentalnych so-cjologiczno-politycznych artykułów do gazet i czasopism ogólnokrajowych i otrzymał odpowiedź pozytywną.

Przeprowadził pewną modernizację Willi Richmond, założył, jakby mimochodem, ogród, zdobył paru przyjaciół. W spokojny, trochę przypadkowy sposób wyrobił sobie styl życia, który dawał mu wolność. Ta wolność stała się dla niego czymś bardzo cennym, więc choć wdawał się w liczne romantyczne i erotyczne przygody (nie potrafił jakoś pogodzić jednego z drugim) nie odczuwał najmniejszej ochoty dzielenia Willi Richmond z kimkolwiek. Hugh beształ go, mówił, że zmienia się w zatwardziałego starego kawalera, że ma plamy po zupie nie tylko na krawacie, ale i na umyśle. James, patrząc na kwarcówką

opaleniznę Hugh'a i jego coraz młodsze przyjaciółki, odpowiadał niezmiennie, że jest mu wszystko jedno, kim będzie, byle nie podstarzałym amantem.

Spotykali się co tydzień. Na początku lat siedemdziesiątych — u szczytu kariery Hugh'a — „Double H Time” nadawano na większości niezależnych kanałów w czwartkowy wieczór, Hugh miał więc wolny piątek i sobotę, i w sobotę spotykał się z Jamesem. Przyjeżdżał do Oksfordu, twierdząc że Jamesowi dotarcie dokądkolwiek zajmuje tydzień. Czasami zjawiał się w Willi Richmond, ale zazwyczaj szli do pubu, przez sentyment dla dawnych uczelnianych czasów. Potem James zabierał Huntera na spacer po Jerycho albo wzdłuż Oxford Canal i rozkoszował się przerażeniem przyjaciela, który drętwiał na myśl, że ktoś może z własnej woli mieszkać w tych ceglanych murach, o rzut kamieniem od torów kolejowych.

— Lubię pociągi — odpowiadał James.

Hugh był szczery z Jamesem. Przed nim nie udawał nigdy, że zna dobrze Richarda Dimbleby'ego, z którym przypadkiem, wraz z dziesięciorgiem innych osób, zjadł kiedyś lunch. Nie próbował również ukryć niepokoju, kiedy „Double H Time” przeniesiono z czwartku na poniedziałek, potem obcięto z czterdziestu pięciu do trzydziestu minut, a w końcu zdjęto z wizji. Przekroczywszy czterdziestkę zaczął się wyraźnie obawiać starości i szukał u Jamesa pokrzepienia. Zawsze wyglądał młodziej od Jamesa, zdrowiej i szczuplej, ale narastające obawy pozbawiły go swobody, zrobił się sztuczny, skłonny do przesady. Twierdził, że londyńska telewizja jest przeżytkiem i że przyszłość należy do prowincjonalnych stacji; James doskonale go rozumiał. Pojawienie się Kate było dla Hugh'a strasznym szokiem. Nie potrafił docenić ani jej samej, ani dobroczynnego wpływu, jaki wywierała na Jamesa, ponieważ poczucie straty i krzywdy odebrało mu

jasność widzenia. Trzymał się z dala od Oksfordu i przeżył kilka zatrważających miesięcy w Londynie, zatrważających, ponieważ zrozumiał, że zarówno jego życie zawodowe, jak i osobiste stacza się w ziejącą pustką jamę. Wtedy zadzwonił telefon. To była propozycja pracy, propozycja prezentowania programu w rodzaju „Double H Time” w Midland Television, której prezes, Maurice Hirshfeld, był jego przyjacielem i współpracownikiem w tamtych szczęśliwych dniach narodzin niezależnej telewizji, pod koniec lat pięćdziesiątych.

— Przeszliśmy długą drogę — powiedział Maurice. — Zaczynaliśmy od kina objazdowego. Pamiętasz?

Hugh otrzymał dwuletni kontrakt z możliwością przedłużenia.

Jego asystentką produkcji w nowym programie „The Midlands Matter” była dziewczyna nazwiskiem Julia Ferguson. Niewiele miała wspólnego z panienkami, z którymi Hugh zwykł rozbijać się samochodem: chłodna, opanowana dziewczyna z włosami zaczesanymi gładko nad ogromnymi okularami. Nosila kostiumy i prawie żadnej biżuterii, mówiła po francusku i hiszpańsku, czytała pisarzy latynoamerykańskich i zbijała Hugh’a z tropu, na przemian lekceważąc jego osobę i zasięgając jego opinii. Po roku byli już małżeństwem, ani razu nie przedyskutowawszy poważnie dzielącej ich różnicy wieku; Hugh, ponieważ się bał, Julia, ponieważ nie odczuwała takiej potrzeby.

Matka Hugh’a umarła w dwa miesiące po ich ślubie, któremu była przeciwna. Powiedziała, że Julia jest zimną rybą. Uzbrojeni w spadek, przystąpili do poszukiwania domu, gdzieś w pół drogi między Midland Studios a Oksfordem, ponieważ Julia chciała kształcić tam swoje przyszłe dzieci. Znaleźli Church Cottage stojący na akrze sadu, zmodernizowany sie-

demnastowieczny dworek z paroma archaicznymi akcentami, dziwaczną heską tapetą i osamotnioną portierą, pozostałością po projektanckim geniuszu Williama Morrisa.

Julia miała zamiłowanie do porządku, była świetną pianistką. W dwa lata dom został podniesiony do standardu lat osiemdziesiątych z ostrożnym ukłonem w stronę siedemnastowiecznych korzeni. Kiedy to zostało zrobione, Julia odstawiła pigułki antykoncepcyjne i zaszła w ciążę. W dzień pięćdziesiątych siódmych urodzin Hugh'a w Szpitalu imienia Hohna Radcliffe'a urodzili się Edward i George, a dwa dni później telewizja odnowiła kontrakt z Hughem. W pierwszym programie po narodzinach bliźniaków Hugh wygłosił do widzów zaimprovizowaną, bardzo wzruszającą i udaną mowę o tym, że każdy z nas ma w swoim życiu niespodziewany *annus mirabilis*, i że budzi to w człowieku szczerą, niemal religijną wdzięczność. Dostał wór listów i dyrekcja Midland Télévision, której zdania co do słuszności odnowienia kontraktu były mocno podzielone, trochę się odprężyła.

James napisał do Hugh'a po narodzinach bliźniąt i stara przyjaźń potoczyła się dawnym torem. Panowie uznali, że panie jakoś się dogadają. I Kate, i Julia, choć z różnych powodów, czuły się zażenowane w swoim towarzystwie, ale niechęć do ludzi nie leżała w charakterze Kate. Zresztą, były przecież bliźniaki. Krzepkie, radosne blondaski zebrały, bez najmniejszego wysiłku ze swej strony, grupę fanów, do których przystała nawet Joss Bain.

— Jesteś zazdrosna? — zapytał Kate James, pełen troski. — Jesteś zazdrosna o Julię?

— Nie zazdrozczę jej, że ma dzieci — powiedziała Kate. — Ale trzeba być z kamienia, żeby nie zazdrościć jej bliźniaków.

Kiedy w gre wchodziły bliźnięta, Hugh wydawał

się zrobiony z masła. To Julia dbała o dyscyplinę, witaminy i naukę czytania, Hugh dbał o zabawę i uwielbienie. Kiedy był zmartwiony, poirytowany czy spragniony rozrywki, z reguły albo szedł do bliźniaków, albo o nich myślał. Jego gabinet w Studio obwieszony był fotografiami synów; cały zespół przysłał małym Hunterom kartki urodzinowe, a podczas świąt Bożego Narodzenia zapraszano ich na pierwsze pół godziny przyjęcia i podawano sobie z rąk do rąk jak małe pieski. Znosili to niezwykle cierpliwie, potrafili znieść wszystko, dopóki mieli siebie w zasięgu wzroku. Czasem, na samą myśl, że znajdują się w pokoju obok, Hughowi chciało się płakać ze szczęścia.

Nic więc dziwnego, że u nich poszukał pociechy w ten samotny, pusty wieczór. Wiedział, że widok synów pod biało-niebieskimi kołderkami, zwróconych do siebie twarzami, każdy w swoim łóżeczku, ukoji go i uciszy. Na tę myśl zawstydził się posępnego nastroju. Odstawił talerze i sztuce do zmywarki, maselniczkę do lodówki, zalał wodą prowansalską salaterkę, startł ze stołu zaschnięty wężyk czerwonego wina i stanowczym gestem wrzucił papierosy do szuflady. Nie otworzy jej, zapowiedział sobie srogo, aż do następnego kryzysu. Potem przygasił światła — żadne światło w Church Cottage nie gasło tak po prostu, wszystkie przygasały łagodnie — i poszedł na górę. Postanowił, że zanim zajrzy do synów, umyje ręce i wyszoruje zęby. Jego synowie. Leżeli tak, jak sobie wyobrażał, George z policzkiem przytulonym do wełnianej świnki, Edward z twarzą zagrzebaną w poduszce. Julia nie aprobowała poduszek, Hugh walczył o nie, chcąc zapewnić dzieciom komfort psychiczny.

— Nie potrzebują tego. Nie są jak inni ludzie, nie są samotni. Są bliźniętami

— mówiła Julia.

— Mimo to — twierdził Hugh — pozostają jed-

3 – Niełatwe związki

33

nostkami, potrzebują własnego terytorium, a poduszka jest częścią tego terytorium.

Stanął nad nimi. Ciągle jeszcze pachnieli słodko jak małe dzieci. Julia dbała o nich znakomicie, byli zawsze wypucowani, ubrani w jasne, miękkie ubranka. Wyglądali jak spod igły, od jasnych połyskliwych główek, po skórzane buciki. Julia nie pozwalała im nosić adidasów, kupowała francuskie buty, niebieskie i czerwone.

— Bliźniaki — westchnął Hugh, spoglądając na nie z góry.

George się poruszył. Otworzył oczy i zobaczył ojca.

— W porządku, żadnych świnek — powiedział i zrzucił wełnianą świnkę na podłogę. Po chwili zapadł znowu w sen, odcinając się od Hugh'a. Z dołu — wieczorami Julia wyłączała aparat na piętrze — dobiegł dzwonek telefonu. Niechętnie poszedł go odebrać. „Po pięćdziesiątce — mawiał często do Julii — człowiek zaczyna się bać tego drania”. Nie wszedł do kuchni, lecz do salonu, spokojnego w tonie, eleganckiego salonu pełnego sizalowych mat i kilimów.

— Tak? — powiedział. — Tu Hugh Hunter.

— Hugh! Tu Maurice.

Hugh sięgnął do kieszeni spodni po papierosy. Były w szufladzie w kuchni.

— Przepraszam, że tak późno dzwonię, ale chciałem ci sam powiedzieć...

— Co?

— Dobrą nowinę — powiedział Maurice głośno. — Bardzo dobrą nowinę.

Hugh przełknął ślinę. Próbował nie myśleć o papierosach.

— Mianowicie?

— Mamy go. Zgodził się. Dzisiaj podpisał umowę. Hugh usiadł w fotelu obitym kremowym perkalem.

— Kevin McKinley.

— Tak. Czy to nie wspaniale? Zawsze mówiłem,

że zwerbowanie takiego człowieka na dyrektora może nam tylko wyjść na dobre. Hugh powiedział:

— Zrobił jeden program, jeden program, Maurice, to był ogromny sukces, ale...

— Jest w odpowiednim wieku, ma odpowiednie kontakty, pracował w Ameryce...

— I spodziewam się, że traktuje Midland jako odskocznnię do BBC, do stołka dyrektora generalnego. Nieźle się ustawił.

— No cóż, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Hugh nie odpowiedział.

— Wszyscy na tym skorzystamy, Hugh — ciągnął Maurice. — Odnowiliśmy koncesję, a teraz zdobyliśmy Kevina.

Hugh wziął głęboki oddech i zamknął oczy. Długa znajomość z Mauricem

była jego najsilniejszym atutem w Midland Television, a za dwa lata Maurice

— Hugh wołał o tym nie myśleć — pójdzie na emeryturę, dwa lata przed nim.

Nie może się z niczym zdradzić, dla własnego dobra.

— Bomba — powiedział, przepełniony lękiem. — Tak się cieszę. Wspaniała nowina.

— Wiedziałem, że się ucieszysz. Dlatego sam chciałem ci o tym powiedzieć.

Kłamstwa, kłamstwa, cała ta rozmowa była jednym wielkim kłamstwem.

— W przyszłym tygodniu Kevin chce się spotkać z całą czołówką. Czy wtorek ci odpowiada?

— Oczywiście...

— Wspaniale — powiedział Maurice. Ulga, jaką odczuwał na myśl, że ma tę rozmowę prawie za sobą, zabarwiła ciepłej jego głos. — A więc do wtorku.

Miłego weekendu. Chłopcy zdrowi? — przypomniał sobie nagle.

— Jak ryby.

— Dobrze. Wspaniale. Bomba.

Hugh odłożył słuchawkę i poszedł do kuchni. Otworzył szufladę i znalazł papierosy, potem wyciągnął swój kieliszek ze zmywarki i znów go napełnił. Z papierosem w jednej, kieliszkiem w drugiej ręce usiadł na barowym stołku. Miał tę scenę w oczach. Kevin McKinley określa wysokość własnej pensji, przyznaje sobie długie wakacje, limuzynę z szoferem, Kevin McKinley mówi: „Płacicie pełny fundusz emerytalny”. Kevinowie McKinleyowie tego świata, myślał Hugh, nie patrzą przychylnym okiem na prezenterów po sześćdziesiątce, nawet jeżeli ci prezenterzy wyglądają na dobrze poniżej sześćdziesiątki (a proszeni o podanie wieku nieświadomie odejmują sobie dwa, trzy lata) i są lubiani przez publiczność.

— Lubią mnie — powiedział Hugh, gapiąc się w kieliszek wina. — Lubią. Piszą do mnie, żeby mi o tym powiedzieć.

Opony samochodowe zgrzytnęły cicho na podjeździe przed domem. Julia. Hugh nie był pewny, czy jest gotów stawić czoło Julii, czuł... Jak się właściwie czuł? Wyczerpany, nieszczęśliwy, przerażony i roztrzęsiony, oto jak się czuł. Nie lubił, kiedy Julia oglądała go w takim stanie, choć oczywiście, w ciągu siedmiu lat małżeństwa miała taką okazję nie raz. Czy mogło być inaczej przy jego trybie życia, zwariowanej pracy? Nie mogło, co nie zmieniało faktu, że tego nie lubił. Zgasił papierosa i nasłuchiwał jej szybkich, lekkich kroków.

— O, Hugh — powiedziała Julia z rozjaśnionymi oczami. — Czemuś taki smutny?

Wyciągnął ku niej ramiona.

— Samotne wieczory to nie moja specjalność. Zachnęła się, ale pozwoliła się objąć. Zapytał:

— Dobrze poszło? Skinęła głową.

— Robiliśmy wozy strażackie. Fascynujące. — Odwróciła głowę i powiedziała skromnie: — Twierdzą, że byłam dobra.

- Czyli że byłaś wystrzałowa. Uwolniła się z jego objęć.
- Muszę sprawić sobie kontaktówki. Nie mogę dalej paradować w tych goglach.
- Uwielbiam twoje gogle.
- Nie jesteś kamerą telewizyjną. Jak chłopcy?
- Straceni dla świata.

Wzięła czajnik i podeszła do zlewu.

- Kolacja ci smakowała?
- Była znakomita.

Obserwował ją. Nie zdjęła wąskiego ciemnoniebieskiego prochowca i jej jasne włosy – włosy bliźniaków – odbijały ostro na jego tle, ucięte równo jak zasłona.

– Obrzydliwa noc. Musiałam stać pod parasolką i jestem pewna, że miałam czerwony nos. Nazwali program „Night Life”. W przyszłym tygodniu robimy kuchnię objazdową.

– Powiedz Kate. Bezdomni to jej specjalność, podpowie ci, gdzie ich znaleźć.

– Myślę – powiedziała Julia cicho, włączając czajnik – że sama sobie poradzę. Herbaty?

- Nie, dzięki. Spojrzała na niego.
- Co się stało?
- Dzwonił Maurice – powiedział Hugh.

Julia zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez oparcie drewnianego fotela. Pod spodem miała sweter w serek i krótką spódnicę, a na zachwycających nogach wąskie zamszowe botki. Podeszła do Hugh'a i otoczyła go ramionami.

- Och, Hugh. Chodzi o Kevina McKinleya, tak?
- Niezupełnie.

Nie odezwała się. Po chwili Hugh powiedział z ustami przy jej ramieniu:

- Mam kontrakt tylko do lata.
- Wiem.

- Woda się gotuje...
- Czajnik wyłącza się sam.
- Maurice jest dobrym przyjacielem — powiedział Hugh, jakby z trudem.
- Jest słaby jak nowo narodzone kocię — odparła Julia. — Odczekuje tylko do emerytury.
- Nadal jest prezesem, złotko...

Julia puściła Hugh'a i podeszła do kuchennego blatu. Wyjęła z szafki biało-niebieski kubek i wrzuciła do niego torebkę rumiankowej herbaty.

- Maurice mnie nie zawiedzie — powiedział Hugh.

Julia nalala wrzątku do kubka.

- Wiesz co? — Hugh wyprostował się na stołku i pociągnął z kieliszka tęgi łyk.

— Co takiego? — powiedziała Julia z lekkim rozmarzeniem, myślami błądząc wokół własnego wieczoru, wokół tego, co powiedział reżyser programu...

- McKinleyowie tego świata — powiedział Hugh) patrząc na Julię nieruchomym wzrokiem, tak efektownym na ekranie — przychodzą i odchodzą. Przeważnie odchodzą, bo brak im wytrwałości. Ale możesz być pewna jednego, absolutnie pewna. Tego mianowicie, że fala powodzenia znów toczy się w moją stronę.

Julia leżała bezsennie jeszcze długo po tym, jak Hugh zasnął. Kiedy zegar w hallu wybił drugą zrozumiała, że to bezsenność nie na żarty, wysliznęła się więc z łóżka i zeszła do kuchni.

W kuchni było ciepło, nawet o drugiej w nocy, zasługa ciemnoniebieskiego pieca, który Julia wybrała z taką pieczołowitością. Hugh kpil z niej, Hugh był jednym z niewielu ludzi, którzy z niej kpili, a ją dawno przestało to peszyć, nawet to polubiła. „Panna Niepokalane Poczęcie”, nazywał ją. „Panna

Dosko-

nałe Niedomówienie", „Panna Pucusia". Nadal potrafiły przyprawić ją o rumieniec. Rumieniła się tego wieczoru z czystego zadowolenia.

— Wspaniale — powiedział reżyser, kiedy skończyli. — Nie mam uwag. Co to jednak znaczy pracować z kimś, kto wie, jak wykorzystać szare komórki. To dopiero początek, Julio.

— Nie — odparła. — To był tylko eksperyment. Tak naprawdę jestem matką. Oboje się roześmieli. On powiedział:

— Uważasz, że matki nie są ludźmi? — a potem dodał: — Do przyszłego tygodnia. Cieszę się na to spotkanie.

Julia usiadła w drewnianym fotelu i wsparła stopy o rozgrzane drzwiczki pieca. Nie była zupełnie szczerą mówiąc reżyserowi, że eksperymentuje. Eksperymentowanie nie leżało w jej naturze. Od paru lat wiedziała, że kariera Hugh'a umrze wkrótce śmiercią naturalną. Będzie to dla niego straszny cios, i Julia, gotując się na to w duchu, szukała sposobów, by pomóc mężowi znieść porażkę. Jej zdaniem gasnąca sława telewizyjna Hugh'a nie miała nic wspólnego z faktem, że się w nim zakochała. Zakochała się, ponieważ Hugh w ogóle się jej nie bał, i ponieważ potrafił ją rozśmieszyć. Był bardziej muzykalny od niej, odebrał lepsze wykształcenie i miał bez porównania więcej doświadczenia. Zdradzał również, w najróżniejszych dziedzinach życia, prawdziwie katolickie gusta. Zaraz na początku ich znajomości zapytała go, jaką muzykę najbardziej lubi, a on odparł bez zastanowienia, całkiem serio: „Mozarta rano i Tinę Turner wieczorem".

— Co ty w nim widzisz? — dopytywała się jej matka. Chciała, żeby Julia poślubiła właściciela ziemskiego i hodowała labradory.

— On mnie zachwyca — odparła Julia.

Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby w ogóle

nie pracował, powiedziała sobie, przenosząc stopy na chłodniejsze drzwiczki pieca, gdyby jemu to odpowiadało. Ale musimy żyć i to żyć na określonym poziomie. Musimy iść naprzód. Musimy się ubierać i jeść, a bliźniaki muszą otrzymać wykształcenie. To bardzo proste. Hugh nie ma ani emerytury, ani majątku poza tym domem. A więc wszystko w moich rękach.

3

Mój kwiecie lotosu — zwrócił się stryj Leonard do pani Cheng. — Moja maleńka żółta zarazo, gdzie, do ciężkiej cholery, schowała pani moje kapcie?

— Pod łóżko — powiedziała pani Cheng. — Zawsze pod łóżko.

— Pod łóżko — powiedział Leonard, opierając się na lasce i prychnając pogardliwie. — I ja, z moim sztywnym biodrem i migotaniem przedsionków, mam je stamtąd wyciągnąć? Mam się tarzać po podłodze, żeby wydostać cholerne kapcie?

Pani Cheng dalej ścierała kurze, ruch ręki w prawo, ruch w lewo, jak mechaniczna lalka.

— Zawsze to robi.

— Nigdy. Mam spędzić cały dzień w pieprzonych skarpetkach?

— Ku temu idzie.

Leonard był bardzo szczęśliwy. Uwielbiał dni pani Cheng, a Bóg świadkiem, że potrzebował trochę rozrywki w tym tygodniu.

— Zrobiła się tu atmosfera — zwierzył się — jak po wybuchu bomby nuklearnej. James zwałił z roweru jakąś starą pannę i puf! Mamy grzyb.

— Nie ciekawam — powiedziała pani Cheng. Za-

częła zdejmować buteleczki po lekarstwach ze szklanej półki nad umywalką Leonarda.

— Za przeproszeniem — powiedział Leonard, wsuwając głowę pod łóżko i wylawiając kapcie zakrzywionym końcem laski. — To głupio z jego strony prowadzić bez okularów.

Pani Cheng napuściła wody do umywalki i zaczęła czyścić kurki.

— Dziś znowu do niej idzie, do tej starej pannicy. Kate to się wcale nie podoba. Dlaczego jej się to nie podoba? Sama roztkliwia się nad każdym życiowym popaprańcem, ale nie podoba jej się, że James lata na randki z nieszkodliwą starą panną. Jaki może mieć powód?

— Nie mój interes — odparła pani Cheng. — Chce kawy?

— Tak, ale pod warunkiem, że nie pani ją zrobi. Jeszcze nie spotkałem żółtka, który umiałby robić kawę. Czy zdaje sobie sprawę, jakie paskudztwo parzy?

— W sam raz dla niego.

— Lubię kobiety z ikrą — powiedział Leonard. — Lubię walkę. Kate ma ikrę. Nie sądzi pani, że ona myśli, iż James i stara panna Bachelor mają ze sobą za wiele wspólnego? Ilość przeżytych wiosen, na przykład?

— On starszy i od niego, i od niej — odparła pani Cheng. — I więcej z nim kłopotu niż z dzieckiem.

Leonard sprawiał wrażenie zadowolonego.

— No pewnie. Gdzie moja kawa? Jest dziesięć po jedenastej. Za co Kate pani płaci?

Pani Cheng zebrała swoje ściereczki i owinęła rurę wokół rączki odkurzacza.

— Zapłaciłabym dwa razy tyle — odparła — żeby go więcej nie oglądać.

Panna Bachelor przechowywała zleżale herbatniki w orientalnej puszcze malowanej w czaple i peonie. Była to bardzo zniszczona puszka, równie zniszczona jak wszystko inne w zagraconej kawalerce na pierwszym piętrze. Nowe było tylko radio, którym panna Bachelor mogła, ku swej radości, odbierać wiadomości BBC podczas długich, bezsennych nocy. Pokój był nie tylko zagracony, ale i posępny. Panna Bachelor wiedziała o estetyce wewnątrz mniej więcej tyle, ile wiedziała o elegancji, i przyjmowała ten stan rzeczy z rezygnacją.

— Jak pan zapewne zauważył — powiedziała Jamesowi, częstując go kawą i herbatnikami z orientalnej puszeki — nie mam praktycznego zmysłu piękna. Odczuwam żywą przyjemność, patrząc na rzeczy piękne, ale nie potrafię stworzyć piękna wokół siebie.

Jej meble, w połowie wiktoriańskie, ciężkie i wyniosłe, w połowie „pensjonatowe”, jak nazwałaby je matka Jamesa, były tandetne i trochę dziwaczne, utopione w lakierze jak w gęstym sosie. Na łóżku leżała kapa haftowana w lichtarze, a na wyjątkowo niewygodnych fotelach pledy zszyte z jaskrawych gałganków, które kojarzyły się Jamesowi z abstrakcyjnym malowidłem. Dywan był brudny, zasłony zwisały smętnie, tylko ściany łagodziły brzydotę pokoju, oklejone pocztówkami i reprodukcjami dzieł wszystkich włoskich twórców, których kochała panna Bachelor — Belliniego i Gior-gione'a, Michała Anioła, Ghiberti'ego i delia Robbi.

Bratowa panny Bachelor była właścicielką domu na Cardigan Street i odstąpiła w nim Beatrice jeden pokój. To ona otwierała Jamesowi drzwi. Była ponurą, skwaszoną kobietą, wdową, która żyła tylko dla swojej hipochondrii. Czowała taką samą urazę do Beatrice za jej mądrość, jak swego czasu do męża, i fakt, że Beatrice odwiedził mężczyzna z butelką sherry i doniczką kielkujących hiacyntów, stanowił świetny pretekst do pogłębienia tej urazy.

— Panno Bachelor — powiedział James serdecznie przy trzeciej wizycie. — Wygląda pani wyjątkowo dobrze.

— Zirytował pan niezmiernie moją bratową — odparła Beatrice.

— Wyładuje złość na pani?

— Będzie próbowała. Schowa moje masło albo nie wpuści do domu mojego kota, ale ja osłoniłam się płaszczem obojętności, aby się bronić. To irytuje ją ponad ludzkie wyobrażenie.

Beatrice miała parę ciemnych siniaków na nogach, widocznych nawet przez grube, brzydkie pończochy. James przysiągł w duchu, że będzie przychodził, dopóki te ślady nie znikną. Zaraz na początku pierwszej wizyty Beatrice powiedziała, że nie chce wracać do sprawy wypadku.

— Nasze zachowanie podczas tego incydentu było godne ubolewania.

Roztrząsanie tej sprawy może nam przynieść tylko dalsze upokorzenia.

Ucieszyła się niezmiernie z hiacyntów i spieszyła na widok sherry.

— Był taki czas — powiedziała niespodziewanie — kiedy piłam jej bardzo, bardzo dużo. Zbiegło się to z samotną wycieczką do Grecji i romantycznymi przygodami, jakie tam przeżyłam. Wspomnienie tego okresu jest... stymulujące, a zarazem wprawia mnie w zakłopotanie.

James pochylił się ku niej.

— Jakimi przygodami? Beatrice odwróciła wzrok.

— Kierowcy ciężarówek? — zapytał James. Beatrice milczała.

— Och, panno Bachelor — powiedział James. — Zaczynam się cieszyć, że panią potrąciłem.

Stwierdził, że jest nie tylko inteligentna, ale również odważna i niekonwencjonalna. Swego czasu nauczała przedmiotów klasycznych w żeńskiej szkole

w Oksfordzie, ale musiała przejść na wcześniejszą emeryturę i opiekować się starymi rodzicami, którym umieranie zajęło irytująco dużo czasu.

— Kochałam ich — powiedziała spokojnie Jamesowi. — Ale nie darzyłam najmniejszą sympatią.

Po spieniężeniu małej posiadłości, którą zostawili w spadku, okazało się, że brata Beatrice i jego żonę stać jedynie na kupno domu w Jerycho i odstąpienie w nim pokoju Beatrice.

— Mój brat był antykwariuszem, człowiekiem beznadziejnie niepraktycznym i bardzo słabym. Bratowa utrzymywała go, pracując jako sekretarka w biurze prawniczym, a ja wspierałam ich częścią swojej pensji, która, trzeba zaznaczyć, jest niemal niewidoczna gołym okiem.

— Nie starcza już na wycieczki do Grecji?

— Grecja — powiedziała Beatrice — nigdy mnie dużo nie kosztowała, nie w sensie finansowym.

James chciał porozmawiać o tym z Kate.

— Myślisz, że to były transakcje wymienne? Myślisz, że za nią płacili?

Obwozili ją po Peloponezie w szoferkach, karmili ouzo i oliwkami, i kochali się z nią pod stołami w tawernach?

Ale Kate nie zdradzała ochoty do rozmowy. Była sztywna i chłodna.

Powiedziała, że jej zdaniem, James robi idiotę z siebie i z panny Bachelor, a potem dodała, że nie chce o tym więcej słyszeć.

— Zazdrosna — stwierdził stryj Leonard.

— Zazdrosna? O Beatrice Bachelor? Nie bądź głupi.

— Nie jestem głupi. Jestem mądrzejszym starym piernikiem niż się powszechnie uważa.

— Z całą pewnością jesteś starym prowokatorem. Leonard odłożył gazetę i spojrzał na Jamesa.

— Dziwny z ciebie facet, Jamesie.

Czy naprawdę był dziwny? Czy to dziwne, że czuł się tak swojsko w tamtym brzydkim pokoju, ze sztandarami piękna i cywilizacji przyszpilonymi do

ścian, w towarzystwie Beatrice Bachelor? Czy to dziwniejsze niż spędzanie czasu w miejscach, które wybierała Kate, miejscach zamieszkałych przez ofiary losu, bezradne, uzależnione twory nowoczesnego społeczeństwa? Może był dziwny — może ona była dziwna — ale dlaczego nie chciała o tym rozmawiać?

— Żyję z kobietą o dwadzieścia pięć lat młodszą od siebie — powiedział Beatrice. — Ma czternastoletnią córkę. Mamy również osiemdziesięciopięcioletniego stryja.

— Wspaniała rodzina.

— Tak. Chyba tak. Ale na co dzień nie wydaje się wspaniała, tylko zwyczajna.

— Trzeba się nauczyć cenić zwyczajność — powiedziała panna Bachelor. — I proszę przysłać do mnie tę czternastolatkę. Lubię dziewczęta. Zwłaszcza — jako że sama taka byłam — trudne dziewczęta. A czternastolatki, jeżeli mają wyjść na ludzi, muszą być trudne.

— Nie pójdę — powiedziała Joss.

— Przecież wcale nie musisz — odparła Kate. Była zmęczona i poirytowana. Spędziła cały dzień pomagając w restauracyjnej kuchni, ponieważ kucharz był na zwolnieniu. Obrąła górę fasoli bez gumowych rękawiczek i wnętrza dłoni i opuszki palców paliły ją żywym ogniem.

— Nienawidzę starych kobiet. Zresztą, jaki w tym sens?

— Powiedziałam: nie musisz tam iść. Ale Joss chciała.

— O co mu chodzi? Dlaczego mnie tam ciągnie?

Jestem samotna, pomyślała Joss. Okręciła w palcach srebrny kolczyk, który przed chwilą umieściła w nosie. Stryj Leonard powiedział: „Dobry Boże, wygląda jak cholernie wielki pryszcz” i Joss rzuciła

się do lustra w łazience. „Wygląda wspaniale!” — krzyknęła. Okręcała kolczyk ostrożnie, zbuntowana i zagubiona.

— Nie pójdę. Nie ma mowy. Niech idzie sam, jeżeli chce, ja nie pójdę. Wolałabym, pomyślała Kate wsadzając obolałe dłonie pod strumień zimnej wody, wolałabym, żeby nie chciał. Wolałabym, żeby był mniej zafascynowany. Jest przez to jakiś dziwny, trochę zdziwaczały... zdziwaczały starzec. Oszałałabym, gdyby znalazł sobie kogoś młodego, ale to duchowe pokrewieństwo z kimś starym też mnie dotyka, naprawdę dotyka, nie powinnam tak czuć, nie powinnam.

— Nie... — zaczęła znowu Joss.

Kate odwróciła się gwałtownie, Kate, która nigdy nie krzyczała, krzyknęła:

— Na litość boską, Joss, odejdz!

Joss wybałuszyła na nią oczy. Potem zakłęła brzydtko. Kate odwróciła się do zlewu, drżąc na całym ciele. Kuchenne drzwi trzasnęły za Joss, a potem w górę schodów powędrowało wyzywające tupanie jej buciorów.

Jestem zmęczona, pomyślała Kate. Jest styczeń i jestem zmęczona. Nie sądzę, żebym była warta więcej niż cztery funty na godzinę, ale pod koniec takiego dnia jak dziś zaczynam się zastanawiać, czy nie istnieje łatwiejszy sposób zarobienia dwudziestu pięciu funtów.

W przerwach między obieraniem fasoli obsługiwała trzy boczne stoliki, których kelnerka Susie nie lubiła, ponieważ nikt nie mógł jej tam zobaczyć, a ona żyła nadzieją, że zostanie dostrzeżona, a w efekcie — uwolniona od konieczności bycia kelnerką i przemieniona w księżniczkę. Nikt interesujący nie pojawił się przy stolikach Kate w porze lunchu, tylko dwie schludne panie, samotny mężczyzna z książką i trójka rozchichotanych studentów.

Nato-

miast w sektorze Susi usiadły dwie pary, które, każda na swój sposób, wstrząsnęły Kate bardziej nawet niż obieranie fasoli. Biedny człowiek, pomyślała teraz, wyjmując dłonie spod wody, żeby sprawdzić czy nadal bołą, ten biedny młody człowiek. A potem Julia.

Mężczyzna wyglądał na doktoranta, był młody, ale nie dość młody, żeby być studentem. Przyszedł pierwszy, z atrakcyjną dziewczyną w ogromnych kolczykach i butach do pół uda. Śmiała się, kiedy weszli, i Kate pomyślała, jak to miło, jaka to ulga zobaczyć w ten posepny dzień śmiejących się ludzi. Ale dziewczyna nie śmiała się wraz z mężczyzną, śmiała się z niego i wkrótce zaczęli się kłócić nad talerzami z ravioli. Wyglądało na to, że dziewczyna nie tylko lubi się kłócić, ale lubi to robić w miejscach publicznych, gdzie inni ludzie, choćby ten samotny mężczyzna z książką, mogą podnieść wzrok i zobaczyć, jak gestykułuje dłońmi i odrzuca włosy. Młody człowiek wykazywał równie mało opanowania, Kate usłyszała jak mówi: „Nie tutaj. Nie możesz mówić tutaj takich rzeczy”. W końcu dziewczyna zerwała się z krzesła i wybiegła na ulicę, a mężczyzna podziękował Kate za kawę, zapłacił rachunek i również wyszedł.

Wrócił po pięciu minutach, kiedy Susie była na dole w kuchni, a Kate nalewała kawę dwóm schludnym paniom. Pomyślała, że czegoś zapomniał. Podszedł do niej — stała przy ekspresie do kawy — więc spojrzała na niego pytająco.

— Przyszedłem, żeby przeprosić — powiedział.

— Słucham?

— Zachowaliśmy się bardzo niekulturalnie. — Odwrócił się w stronę sali. — Przepraszam wszystkich państwa. To było bardzo niegrzeczne.

Wpatrywali się w niego w milczeniu.

— To miło, że pan wrócił — odezwała się Kate.

— Jest mi przykro, jest mi... urwał. Miał szczup-

łą twarz, gęste czarne włosy i — zdaniem Kate — bardzo smutne oczy. — No to ja już pójdę. Chciałem tylko powiedzieć, że jest mi przykro, jeżeli zepsuliśmy komuś lunch. To wszystko. — Cofnął się od ekspresu. Kate uśmiechnęła się do niego, on do niej. Uśmiech rozjaśnił mu twarz, nadał jej psotny, radosny wyraz. Skinął Kate leciutko głową i otworzył drzwi w chwili, gdy ktoś pchnął je od zewnątrz. Weszły dwie osoby, mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce i Julia. Julia podeszła wprost do Kate. Uśmiechała się.

— Przyprowadziłam tu Roba celowo. Powiedział, że usycha z tęsknoty za Rzymem, więc powiedziałam, że wiem, dokąd możemy pójść.

— Dobrze zrobiłaś — odparła Kate słabym głosem. Julia miała szare flanelowe spodnie, tweedowy żakiet i perłowe kolczyki. Kate pomyślała o plamach po sosie na kelnerskim fartuchu i o swoich biednych dłoniach.

— Rob jest moim reżyserem — powiedziała Julia i Rob uśmiechnął się do Kate. Miał przyjazną, pomarszczoną twarz i ciemne okulary.

— Oczywiście. Gdzie chcielibyście usiąść?

— Byle nie przy drzwiach do toalety — powiedział Rob. r,

— Proszę — Kate zaprowadziła ich do stolika, —r Susie się wami zajmie.

— Nie ty? -r zapytała Julia. Jej twarz nie wyrażała nic, poza rozczarowaniem, że zajmie się nimi kto inny, nie Kate.

— Ja mam siedzieć w kuchni i szorować gary. Inaczej zgrzeszę przeciwko hierarchii...

Julia znów się uśmiechnęła.

— Co nam polecisz?

— Gnocchi. Zrobione przed godziną.

— Jak Joss?

— Kochana i nieznośna. Przypuszczam, że bliźniaki są jedynie kochane.

— Tak. Są kochane — powiedziała Julia i Kate

4 – Niełatwe związki

49

poczuła, że powinna zniknąć, więc zniknęła, by obserwować Julię i Roba ukradkiem, podczas gdy oni jedli i rozmawiali, całkowicie pochłonięci sobą. Rob pisał coś zawzięcie w reporterskim notatniku.

Kiedy wychodzili, Julia pocałowała Kate i prosiła, żeby pozdrowić od niej Jamesa. Poszli i Kate stwierdziła, że jest dziwnie poirytowana. Dlaczego, zastanawiała się, wkładając talerze do zmywarki, dlaczego, skoro nie była to z całą pewnością romantyczna randka? Dlaczego czysto roboczy lunch Julii z reżyserem telewizyjnym miałby ją wzburzyć bardziej niż niewinna znajomość Jamesa ze zdziwaczałą starą panną? James się starzeje, Julia robi karierę, i co z tego? Kate zawsze wiedziała, że James się zestarzeje i starość zmieni go trochę, tak, jak wejście w wiek średni zmieni niewątpliwie ją. Zawsze myślała o tym z czułością, pewna, że osobowość Jamesa nigdy nie ulegnie zmianie, wierząc, że powłoka zewnętrzna nie ma znaczenia. A jeżeli chodzi o Julię, Kate i James często o niej rozmawiali, o tym jaka jest zaradna i jakie to szczęście dla Hugh'a, którego kariera zależy od wieku, że ma kogoś, kto spokojnie przejmie ster, kiedy on będzie się musiał usunąć. Więc dlaczego się nie cieszy, teraz, kiedy Julia robi dokładnie to, czego się po niej spodziewali, a James wykazuje wyobraźnię i dobroć serca, cechy, za które tak go kochała? Dlaczego? Zawsze cieszyła się z osiągnięć innych ludzi, zawsze. Wierzyła, że robi to szczerze. Układając naczynia w kredensie restauracyjnej kuchni tego popołudnia i teraz, stojąc przy zlewie *w Willi Richmond, czuła tylko chłodną urazę. I była przerażona tym, co czuje. Wytarła ręce i przyjrzała im się uważnie. „Małe rączki”, mawiał James, zamykając jej dłonie w jednej swojej. Wyglądały potwornie. Pomyślała, że pójdzie na górę i znajdzie krem przeciwko odleżynom, który lekarz zapisał Leonardowi tej zimy, kiedy stryj cho-

rował na bronchit. Kate pielęgnowała go wtedy, to znaczy pielęgnowała na tyle, na ile jej pozwolił.

— Mam jeszcze swoją godność, nawet jeżeli nie mam już włosów i zębów. Kiedy patrzę na siebie w wannie, myślę: Leonard, chłopie, trzeba by cię odprasować. I wolałbym, żeby nikt inny o tym nie wiedział.

Kate wyszła z kuchni do hallu. Drzwi gabinetu Jamesa były zamknięte, dochodził przez nie monotony, znudzony głos ucznia czytającego wypracowanie. Smutny, przygarbiony chłopiec próbował zdać poprawkę z angielskiego, a James, jak to James, robił wszystko, by dodać mu otuchy.

Kate weszła na schody wolnym, zmęczonym krokiem. Rozdarcie dywanu na siódmym stopniu powiększyło się, ukazując staromodne matowe deski. Zza drzwi Joss dobiegało pulsowanie rocka, zza drzwi Leonarda kwakanie wiadomości radiowych. Kate zapukała.

— Czekać!

Kate czekała. Rozległo się szuranie, pomrukiwanie i radio ucichło.

— Wejść! — krzyknął Leonard.

— Spójrz — powiedziała Kate, wyciągając ręce Leonard zerknął na nie z ukosa. i

— Potrzebne ci moje mazidło. Co robiłaś?

— Obierałam fasolę.

Leonard zaczął grzebać w szufladzie.

— Zarobiłabyś więcej na ulicy.

— Wiem.

— James wrócił?

— Tak.

— Wiesz, gdzie był?

— Tak — powiedziała Kate spokojnie. Leonard znalazł biały plastikowy słój z nalepką

„Tłusty krem B.P." i podał go Kate.

— Jak uważasz, po co on tam chodzi?

— Ona go interesuje i czuje się winny.

— Dlaczego to ci się nie podoba? Kate spojrzała na niego.
— Nie wiem.
— Ale nie podoba ci się.
— Jestem zmęczona — powiedziała. — Jest styczeń. — Odkręciła słoik i
nabrała trochę kremu na palec. — Zapomniałam, jakie to tłuste.
— Kate — powiedział Leonard. Patrzył, jak wciera w dłonie śliską maź. —
Kate, gdybyś tylko, do cholery, go poślubiła, miałabyś prawo zaprotestować.
Julia wróciła do domu dziesięć minut wcześniej niż obiecała. Czwartki były
wolnymi dniami Hugh'a, zgodził się więc, bez większego zapału, zostać z
bliźniakami, gdy Julia pójdzie na lunch z Robem Shine-rem. Zastanawiała
się, czy nie wziąć Hugh'a ze sobą, przez wzgląd na niego, ale ostatecznie
zdecydowała, że tego nie zrobi przez wzgląd na siebie i przez wzgląd na ich
wspólną przyszłość. Zostawiła w piekarniku zapiekankę z mięsa i
ziemniaków, warzywa rozłożone w salaterkach i opakowanie jogurtu. Napi-
sała, że chłopcy mogą zjeść go z łyżeczką Czystego miodu. Hugh przeczytał
kartkę i powiedział, że mogą zrezygnować z miodu. Zawsze jedli jogurt z
miodem, więc przez chwilę nie wiedzieli, co zaproponować w zamian. Hugh
zapytał, co sądzą o dżemie, który wydzielano im bardzo skąpo. Wtedy
uświadomili sobie możliwości, jakie kryje ta zabawa, i pomyśleli
o marmoladzie i maśle orzechowym, a następnie (co było o wiele
śmieszniejsze) o kąpieli z bąbelkami
i w błotku, a potem (to już było takie śmieszne, że George spadł z krzesła i
leżał kwicząc na podłodze) o siusianiu. Tu pękły wszelkie tamy i zaczęli
biegać po kuchni jak szaleni, wykrzykując słowa związane z wypróżnianiem.
Edward założył sobie poduszkę na głowę i poduszka upadła w miseczkę
jogurtu, którego

nie zjadł. To ich otrzeźwiło, ponieważ kleista poduszka nasunęła im myśl o mamie. Kleiste poduszki i mama jakoś do siebie nie pasowały.

— Spłuczę to — powiedział Hugh.

Bliźniaki przyciągnęły krzesła do zlewu, żeby mu pomóc, oblały poduszkę płynem do mycia naczyń, i poduszka zmieniła się z rzeczy lekkiej, miękkiej, kolorowej, suchej i przytulnej w smętny, ciemny, ciężki, mokry strzęp.

Wycisnęli ją wspólnymi siłami, strzepnęli i położyli na gorącej pokrywie pieca, gdzie klapnęła jak omlet.

— Nic jej nie będzie — powiedział Hugh. — Kiedy wyschnie, będzie jak nowa. Chłopcy mieli pewne wątpliwości. Kiedy Hugh zabrał ich do pokoiku zabaw — jasnego i czystego, z wielką korkową tablicą i ogromnym niskim stołem do malowania i bawienia się kolejką — na poobiednią bajeczkę, zaczęli marudzić, skakać po ojcu i wsadzać kciuki do ust. Wcale nie słuchali bajki, wyjątkowo ckliwej historii, którą sami wybrali, o złym szczeniaku i dobrym kociaku, bez reszty pochłonięci wkręcaniem się na kolana Hugh'a. Kiedy zły szczeniak zjadł nowe kapcie małej dziewczynki, Hugh dał za wygraną i powiedział, że pójda na spacer. Natychmiast wykrzyknęli: „Hura, ra, ra!” i stanęli na głowach. Nawet Hugh musiał sobie przypomnieć, że ich kocha.

Spacer się nie udał. George'owi skarpetka zsuwała się z łydki, a Edward powiedział, że uszy bolą go od wiatru, ale nie włożył czapki. Dzień był ponury i zimny, płaskie pola Oxfordshire zdawały się tonąć w zimowej chandrze.

Nad rzeką spotkali niemilego łabędzia i dwie kaczki, poza tym krajobraz był pozbawiony uroku i życia. Hugh przebrnął obowiązkową milę, podczas gdy bliźniaki staczały potyczki, płacząc mu się pod nogami albo wlokły się z tyłu, narzekając na uszy i skarpetki, a były to, powiedział sobie Hugh, jego dobre, radosne, posłuszne bliźniaki,

o których mówiono, że są tak mało kłopotliwe, jak to tylko możliwe w przypadku czterolatka pomnożonego przez dwa.

Po powrocie do domu domagały się z wrzaskiem telewizji, którą mogły oglądać tylko w wybrane dni. Hugh pomyślał buntowniczo, że nic go nie obchodzi, czy jest to wybrany dzień. Włączył odbiornik — chłopcom nie wolno było dotykać sprzętów elektrycznych — i purpurowy goryl wyskoczył z ekranu,

i potrzęsnał ku nim pięścią, krzyząc: „Zabić, zabić, zabić!” Westchnąwszy z rozkoszy, bliźniaki osunęły się na dywan i wsadziły kciuki do ust. Wyglądały tak, jak wyglądał prawdopodobnie on sam w czasach, gdy palił trawkę — spokojne i aż boleśnie skupione.

Poszedł do kuchni. Po poobiednim szaleństwie krzesła stały bezładnie, niby partnerzy porzuceni w tańcu, połowa naczyń nadal wałała się po stole pośród plam i zacieków. Poduszka spiekła się na cienki suchy naleśnik. Hugh zdjął ją z pieca i potrzęsnał. Pióra w środku zachrzęściły jak płatki kukurydziane i zbiły się w małą kupkę w dolnym rogu. Stwierdził, że trzyma niemal pustą powłoczkę. Próbował ją nadmuchać, potem ułożył dekoracyjnie na drewnianym fotelu i przyrzucił zwiniętą gazetą.

Zaczął sprzątać ze stołu. Wszystko zdawało się powleczone czymś lepkiem, nawet plecione siedzenia krzesel. Wycisnął płyn do mycia naczyń na stół, żeby go odkłajstrować, ale płyn był zagęszczony i blat stołu zniknął pod grubą warstwą nieokiełznanej piany. Hugh zmywał, zmywał i zmywał. Piana zmieniła się w chmurę baniek mydlanych, które były jakby gęstsze, poza tym fruwały po kuchni i łaskotały Hugh'a w nosie. Oskrobał stół łopatką do ryby, potem wytarł go energicznie kilkoma wykrochmalonymi ściereczkami do naczyń i odstąpił o krok, by podziwiać efekt. Blat, zazwyczaj jasny i błyszczący jak włosy bliźniaków, był matowy, pomazany i nieapetyczny.

— Do wszystkich pierdolonych diabłów! — powiedział Hugh.
Zapalił papierosa i zaczął wrzucać naczynia do zmywarki. Złamał rączkę garnka. Z pokoju sąsiadującego z salonem dobiegał narastający ryk goryla i nagle uderzyło Hugh'a, że w ciągu trzech i pół godzin nieobecności Julii telefon nie zadzwonił ani razu. To go dobiło. Lękał się, kiedy telefon dzwonił, ale czuł się osamotniony, kiedy nie dzwonił. Wyłącznie pod wpływem impulsu przysunął stół do baru, usadowił się przy nim z popielniczką i wykręcił numer Jamesa.

— Willa Richmond — powiedziała pani Cheng.

— Czy mógłbym rozmawiać z panem Mallowem?

— James wyszedł — powiedziała pani Cheng.

— A panna Bain?

— Kate pracuje.

— Kiedy wróci pan Mallow?

— Nie wiem — powiedziała pani Cheng. — Nigdy nie mówi. Chce zostawić wiadomość?

— Nie — powiedział Hugh- — Nie chcę zostawić wiadomości. Chcę z kimś porozmawiać!

W tym momencie wróciła Julia. Przyniosła ciasto z jabłkami od francuskiego cukiernika w St Giles. Na widok męża powiedziała: „Och, Hugh, zamęczyli cię!”, a on, wdzięczny za współczucie, przyznał, że sam jest sobie winien, rozpuścił ich. Potem zapytał, czy lunch był udany. Tak, był.

— Omówiliśmy następne trzy programy. To zadziwiające, jak rozmowa z kimś, kto tryska pomysłami, uruchamia wyobraźnię. Pamiętam, że to samo pomyślałam, kiedy poznałam ciebie. Pomyślałam: „Nie ma nic złego w tym, żeby myśleć niekonwencjonalnie”. <

— A teraz przywykłaś do mnie.

— Oczywiście, że przywykłam, do pewnego stopnia, ponieważ nie jesteś już obcym człowiekiem. Co się stało tej poduszce?

— Padła ofiarą zabawy. Nie złość się na nich. Julia przeniosła wzrok z poduszki na męża.

— Rzadko się na nich złościę. Nikt nie dzwonił?

— Ani żywa dusza.

Julia rzuciła poduszkę na krzesło. Podeszła do Hugh'a i położyła dłonie na jego ramionach. Jej oczy za wielkimi okularami były również wielkie i poważne.

— Kochany, wiem, że to dla ciebie trudne, wiem, jak trudno ci się zmienić. Ale musimy żyć, prawda? Musimy żyć i wykształcić chłopców, i kupować ładne rzeczy, do których przywykliśmy, i wyjeżdżać na wakacje. Przecież zawsze wiedzieliśmy, że z czasem nasze role się odwrócą, że przesunie się punkt ciężkości. Dam sobie radę. Jestem w stanie udźwignąć o wiele więcej. Moje uczucia do ciebie nie zmieniły się dlatego, że dźwigam więcej. Ale nie sądzę, żebym mogła udźwignąć również twoją urazę.

— Nie czuję urazy. Jestem po prostu w umiarkowanej rozpaczce.

— Ale dlaczego? Zrobiłeś wspaniałą karierę, jesteś sławny, nadal masz bardzo dobrą pracę, dlaczego jesteś w rozpaczce?

Hugh zdjął jej dłonie ze swoich ramion, przytrzymał je na chwilę i puścił.

— Ponieważ, moje drogie dziecko, nie jestem już produktywny. A kiedy przestajemy być produktywni, tężeją nam dusze.

Kąpiąc bliźniaki i myjąc im włosy, co robiła zawsze w czwartek, Julia przypomniała sobie, że nie powiedziała Hughowi o spotkaniu z Kate. Kate, pomyślała Julia, nie wygląda najlepiej, jest znękana i smutna, choć zachowuje się ze zwykłą słodyczą. Osobiście Julia uważała, że praca w Pasta Please jest czymś, co Kate robi trochę na pokaz, choć szczerze ją po-

dziwiła za działalność charytatywną. No cóż, powie Hughowi o Kate przy kolacji, a potem przeprowadzi z nim poważną rozmowę o tym, co mógłby robić, żeby odzyskać owo poczucie produktywności, które, jego zdaniem, jest takie istotne.

Po kolacji zadzwoniła przyjaciółka Kate, Helen. Helen prowadziła dom dla maltretowanych kobiet. Bardzo długo wyjaśniała Kate, dlaczego gromadzenie funduszy zabiera jej coraz to więcej i więcej czasu, i że naprawdę potrzebuje kogoś gotowego przejąć sprawy administracyjne, choć oczywiście mogłaby płacić takiej osobie zaledwie grosze, więc musiałaby to być osoba na tyle dobrze sytuowana, by zechciała uczynić coś dla społeczeństwa i nie oczekiwać nic w zamian. Tu zrobiła pauzę i czekała, aż Kate zgłosi się na ochotnika. Kate owinęła nogi wokół kuchennego stołka, na którym siedziała, i czując się jak ostatni podlec, milczała. Wtedy Helen wygłosiła mowę pochwalną. Powiedziała, że Kate ma tyle zrozumienia i współczucia, i poczucia humoru, że wszyscy wyglądają z utęsknieniem jej dni w Mansfield House (dom nazwano imieniem Katherine Mansfield, którą Helen szczególnie ceniła). Zrobiła kolejną przerwę i czekała.

— Przykro mi — powiedziała Kate. Chciała powiedzieć zupełnie co innego, chciała powiedzieć, że pomoże z przyjemnością, z ogromną przyjemnością, zrobiłaby to jeszcze parę dni temu, ale teraz nie mogła.

— Zadzwoniłam do ciebie — powiedziała Helen, nie tłumiąc nawet nuty nagany w głosie — ponieważ myślałam, że zrozumiesz moje trudne położenie i będziesz chciała pomóc.

— Chcę pomóc, ale nie mogę.

— Dlaczego? Co się stało?

- Nastąpiły tu pewne zmiany — powiedziała Kate ostrożnie.
 - Nie mów! Nie mów, że James cię wyrzucił...
 - Nie, nic podobnego.
 - Więc...
 - Helen, gdybym potrafiła ci wyjaśnić, zrobiłabym to. Będę nadal pomagała w swoje zwykłe dni, ale więcej nie mogę. Przykro mi, ale nie mogę.
 - Rozumiem — powiedziała Helen, która nie rozumiała, i rozłączyła się. Kate podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je ramionami. Zmieniam się, powiedziała sobie, zmieniam się. Jak mogłam odmówić Helen, skoro wiem, co ona robi, jak ciężko pracuje? Jak mogłam? Ale zrobiłam to i wcale nie chcę do niej dzwonić i wszystkiego odwoływać. Co się dzieje? Czuję, że tracę to, co w sobie cenię, że robię się twarda, że jestem w pułapce. Czy to dlatego, że żyję z kimś trochę sztywnym, trochę starym? Oszalałam! Sześćdziesiąt jeden lat to jeszcze nie starość. Sześćdziesiąt jeden lat to pestka. To podłe, że uważam Jamesa za starego, podłe, że nie chcę pomóc Helen. Pomóc, pomyślała Kate, wciskając kolana w oczy, pomóc. Gdzie się podziała miłość? Drzwi się otworzyły i wyjrzał zza nich James.
 - Kate? Dobrze się czujesz?
- Spojrzała na niego z wymuszonym uśmiechem.
- Byłam bardzo nieużyta wobec Helen, przez telefon.
 - Świetnie — powiedział James, który uważał, że Helen jest apodyktyczna.
 - Nie — Kate potrząsnęła głową. — Nie. Wcale nie świetnie.

4

Agencja Penniman w Londynie zajmowała dwa niewielkie, ale urocze pokoje na Bedford Square. Vivienne Penniman, początkująca aktorka w czasach, gdy Hugh Hunter zaczynał pracę w telewizji, założyła agencję kierując się zimnym wyrachowaniem aktorki, której kariera miała pewien rozmach i żadnego rezonansu. Teraz Organizowała dochodowe imprezy dla takiego czy innego gwiazdora, żeby mógł odłożyć sobie trochę grosza na czarną godzinę, kiedy to publiczność, przypomniawszy sobie przypadkiem o jego istnieniu, powie: „To on jeszcze żyje?! Chryste, myślałem, że wyciągnął kopyta lata temu, coś go ostatnio nie widać”.

Aktorzy i aktorki, osobowości telewizyjne, piłkarze i drugorzędni tenisiści przychodzili do Vivienne Penniman, żeby otrzymać coś do otwarcia lub wypromowania, supermarket, garaż, obiekt sportowy, centrum rekreacji. W zależności od aktualnej pozycji, jaką zajmowali na firmamencie popularności, Vivienne mogła zaoferować im cztero-, częściej trzycyfrową sumę za maksimum dwugodzinny występ, minus dziesięć procent za pośrednictwo. Większość jej klientów podchodziła do tego z dużym realizmem

53

i pogodą ducha, lubiła się pośmiać kosztem innych i nie miała złudzeń co do efemerycznej natury swoich największych sukcesów. Inni uznawali całą sprawę za zło konieczne, a próby wykręcania się za nierozsądne. Jeszcze inni czuli się zdegradowani i urażeni, ale nie potrafili ani wyrzec się kilkuset funtów, ani pogodzić się ze sposobem, w jaki zostały zarobione. Hugh Hunter należał do tej ostatniej grupy i jak dotąd odmawiał skorzystania z usług Vivienne Penniman.

Ale Julia przeprowadziła z nim długą rozmowę. Była bardzo słodka, wcale nie protekcyjna, za to życzliwa i stanowcza. Hugh był zaskoczony, jak bardzo stanowcza. Słuchaj, powiedziała, problem wygląda tak a tak, a oto sposób, w jaki, moim zdaniem, możemy go rozwiązać. Jeżeli masz lepsze pomysły, świetnie; jeżeli nie masz, może powinieneś skorzystać z moich. Przypomniała mu o Vivienne Penniman.

Przez jakiś czas snuł wspomnienia na jej temat.

— Była zatrzważająco ładna. Pamiętam, jak weszła do studia z mnóstwem innych aktoreczek, wyglądały zupełnie jak bukiet kwiatów. Poproszono je, żeby przepowiedziały swoją przyszłość, mieliśmy wrócić do nich za dziesięć lat i sprawdzić, dokąd zaszły. Uśmieliśmy się setnie, nie tylko dlatego, że były takie naiwne i pełne nadziei, ale z powodu kamer. Mieliśmy wtedy w studio tylko jeden zestaw, używaliśmy go do wszystkiego. Poprzedniego dnia robiono regaty w zatoce i przy każdym obrocie głowicy słychać było, jak pęka pokrywa soli.

Julia nie pozwoliła się zagadać.

— Hugh — powiedziała łagodnym tonem, którego używała, kiedy bliźniaki były o krok od zrobienia czegoś strasznego.

— Wiem — powiedział. — Pójdę. Nie musisz mnie terroryzować.

— Nie robię tego. Po prostu próbuję cię ukierunkować.

— I masz rację. Wiem, że masz rację. Ale to strasznie, boleśnie trudne zrobić coś wbrew samemu sobie.

— Rozumiem to.

Hugh napełnił ponownie swój kieliszek i pociągnął zdrowy łyk.

— Proszę, nie. Proszę, nie bądź taka słodka i rozumiejąca, i rozsądna. Proszę, moja droga Julio, nie bądź takim pieprzonym ideałem — powiedział, po czym wyniósł się razem ze swoim kieliszkiem do małego lodowatego gabinetu na tyłach domu i przekopał się przez trzydziestoletnie archiwum w poszukiwaniu numeru telefonu Vivienne Penniman.

— Hugh! — powiedziała Vivienne. Podniosła się z za biurka i z brzękiem bransolet wyciągnęła ku niemu dłonie. Dziewczyna-kwiat rozwinęła się pięknie, głównie w biuście i udach. Miała na sobie czarną suknię i zbyt wiele pereł, jak na tak wczesną porę dnia. — Mój drogi Hugh. Po tylu latach! Przechyliła się nad biurkiem i pocałowała go. Silny zapach przeniósł go nagle z powrotem do tamtych kochanych, utraconych garderób teatralnych lat pięćdziesiątych.

— I jaki jesteś sławny!

— Czas przeszły byłby bardziej na miejscu.

— Bzdura. Nie zgodziłabym się z tobą rozmawiać, gdybyś nadal nie miał wysokich notowań. Nie gniewaj się, ale powinieneś przyjść wiele lat temu. Mogłabym obić agentów, naprawdę! Nie stanowią dla nich konkurencji, ale nie przyślą mi tu swoich klientów, gdy jest to dla nich najbardziej korzystne, dopiero startują i mogą zmusić ich do zainwestowania tego, co u mnie zarobią. Potem mają jak znalazł.

— Ja późno zaczynam — powiedział Hugh.

Vivienne spojrzała na niego, jakby oceniała byka--rekordzistę na wystawie bydła.

— Z całą pewnością. Ale masz przed sobą jeszcze kawałek przyszłości. Z całą pewnością masz go w Midlands.

— Garaże w Bicester, hotele dla biznesmenów w Birmingham...

— Właśnie—powiedziała Vivienne różnym głosem. Przycisnęła brzęczyk na biurku.— Podam ci wszystkie szczegóły i zobaczymy, co możemy dla ciebie zrobić.

Weszła dziewczyna, urocza, same włosy i nogi, i położyła na biurku Vivienne plastikowy folder. Hugh spojrzał na nią. Obdarzyła go szerokim, nie-obecnym uśmiechem. Przeniósł wzrok na plastikową teczkę. Vivienne obróciła się na krześle w stronę ekranu komputera.

— Na razie — powiedział dziewczyna i wyszła. Vivienne stuknęła w klawiaturę, a Hugh przyglądał

się jej plecom. Telefon zadzwonił i został odebrany w sąsiednim pokoju.

— Masz szczęście — powiedziała Vivienne, nie odwracając się. — Czysty fart.

Jest takie urocze nowe pole golfowe, sponsorowane przez Japończyków, tuż za Wolverhampton. Nie byle co, trzydzieści sześć dołków i hektary trawy.

Mają gwiazdę golfa, która dokona otwarcia, i szukają sławy telewizyjnej, która faceta wspomocze, zapyta o to i owo. — Odwróciła się. — Możesz to zrobić z zamkniętymi oczami. Zwrot kosztów, honorarium trzysta funtów. —

Spojrzała na niego i nagle spoważniała. — Uśmiechnij się, Hugh, proszę.

Joss od razu wiedziała, że to musi być panna Bachelor. Wyrażała się w taki staromodny, elegancki sposób, miała na sobie okropny płaszcz i poprosiła pana Patela w sklepie spożywczym o herbatniki

„Smaczne”. Joss zawsze uważała, że nazywają się tak, ponieważ wcale nie są smaczne, tylko mdłe.

— I supę rybną, jeżeli można — powiedziała panna Bachelor do pana Patela.

— Tylko jedną puszkę, brązową pastę do butów i pół litra mleka.

Pan Patel był bardzo uprzejmy dla panny Bachelor. Inni klienci, wyszkoleni przez supermarkety, wrzucali swoje zakupy do drucianych koszyków, ale pannie Bachelor podobna niezależność była najwyraźniej nie w smak i pan Patel zrobił dla niej wyjątek. Jego ojciec został nawrócony przed drugą wojną światową przez misjonarza, który swym wyglądem niezwykle przypominał pannę Bachelor, i którego fotografię wklejono do rodzinnego albumu rodziny Patelów. Pan Patel byłby zrozpaczony, gdyby wiedział, że panna Bachelor jest ateistką.

— Czy to już wszystko? — zapytał, stawiając na ladzie karton mleka. Nie spuszczał z oka Joss, dzierżącej w dłoni opakowanie gumy do żucia. Była akurat w wieku, w którym człowiek odczuwa najmniej skrupułów, podwędzając ze sklepu to czy owo.

— I puszkę Mousemix — powiedziała panna Bachelor.

— Meowmix — poprawił łagodnie pan Patel. Joss parsknęła. Panna Bachelor odwróciła się. Popatrzyła na Joss uważnie, po czym powiedziała:

— Zastanawiam się, czy nie jesteś przypadkiem Józefiną?

Joss zeszywniała. Nikt, nigdy, absolutnie nigdy, nie zwracał się do niej pełnym imieniem, jej wstrętnym, ohydny, wstydlwym imieniem.

— Jestem Joss! — zawyła.

— Ponieważ nie zostałyśmy sobie przedstawione — powiedziała panna Bachelor — nie mam chyba prawa używać zdrobnienia?

Joss nie wiedziała, gdzie podziać oczy. Patrzyła

w podłogę, załując, że nie ma dość włosów, by spuścić je sobie na twarz.

— Dołóż tę gumę do moich zakupów — powiedziała panna Bachelor. — Zapłacę za nią. Nie jestem zwolenniczką gumy do żucia, ale z pewnością żucie jest zdrowsze od palenia.

— Nie chcę, żeby pani płaciła za moją gumę — bąknęła Joss.

— Mimo to zapłacę, ponieważ chcę, żebyś odniosła mi zakupy do domu.

Pan Patel pomyślał, jak to dobrze, że nikogo nie musi już obsługiwać. Joss postąpiła krok naprzód i upuściła paczkę gumy na ladę. Sprawiała wrażenie ogłuszonej.

— A teraz — powiedziała panna Bachelor, wyciągając portmonetkę, której potężne rozmiary i żałosna chudość wpędziłyby Jamesa w rozpacz — pełna kwota, jeżeli można prosić.

Pan Patel włożył zakupy do reklamówki, która pozostała mu od świąt. Dwoje umorusanych dzieci lepiło na niej bałwana. Panna Bachelor odliczyła pieniądze z nieskończoną ostrożnością i wyłożyła je na ladę.

— Jeszcze dwa pensy poproszę — powiedział cierpliwie pan Patel.

Na ulicy Joss ogarnął nagły strach, że ktoś zobaczy ją w towarzystwie panny Bachelor. Wprawdzie niewielu jej szkolnych znajomych mieszkało w Jerycho, a o piątej było już zupełnie ciemno, ale Joss uznała, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, na wszelki wypadek pójdzie ze spuszczoną głową. Wolną ręką podciągnęła czarny szalik niemal pod oczy.

— Naprawdę cieszę się z naszego spotkania — powiedziała panna Bachelor.

— Prosiłam twojego ojczyma, żeby cię do mnie przysłał.

— On nie jest moim ojczymem.

— Więc kim według ciebie jest?

Joss nie była w stanie myśleć.

— Wolałabyś, żebym nazywała go kochankiem twojej matki?

Joss wcale by nie wolała. Sapnęła bezwiednie.

— Ma na imię James — powiedziała lekko zmienionym głosem.

— Oczywiście, nie spodziewałam się, że przyjdiesz — mówiła dalej panna Bachelor. — Sądziłam, że kategorycznie odmówisz. Jestem przecież taka staromodna. Ale wiedziałam, że się jakoś spotkamy, choć nigdy bym nie przypuszczała, że nastąpi to tak prędko.

— Po co?

— Mogłabyś wyrazić się jaśniej?

— Dlaczego musimy się spotykać?

— Nie musimy. Ale pomyślałam, że może sprawiłoby nam to przyjemność.

Wiedziałam, że sprawiłoby przyjemność mnie, a kto wie, może i tobie. Mam kota. Nawet jeżeli nie polubisz mnie, polubisz mojego kota.

Skręciły w Cardigan Street. Panna Bachelor zgięła się pod uderzeniem ostrego wiatru.

— Nienawidzę zimy — powiedziała.

— Aha — odparła Joss. Miała zamiar wejść do mieszkania, rzucić torbę z zakupami, powiedzieć „cześć” temu kotu i zniknąć.

— Zrobimy sobie grzanki — oznajmiła panna Bachelor.

— Muszę odrobić lekcje.

— Pójdzie ci łatwiej po grzankach — odparła panna Bachelor. — A następnym razem możemy odrobić lekcje razem.

— Nie potrzebuję — powiedziała Joss niegrzecznie. — Od tego mam stryja Leonarda.

Panna Bachelor stanęła przed wąskimi drzwiami i odszukała w zakamarkach płaszczka klucz, który nosiła na tasemce wokół szyi.

5 – Niełatwe związki

65

— Pozwolę sobie zatrzymać cię na piętnaście minut, Józefino, i jeżeli ta wizyta naprawdę ci się nie spodoba, możesz nigdy nie wracać.

Joss spóźniła się na kolację, w dodatku całkiem zapomniała, że miała to być uroczysta kolacja. Tego dnia przypadają urodziny Kate. Przypomniała sobie o tym dopiero w kuchni, kiedy zobaczyła ich troje siedzących przy stole, ze świecami i butelką wina.

— Gdzie byłaś? — zapytał James.

— To bez znaczenia — powiedziała szybko Kate.

— Gdzie byłaś? — zapytał stryj Leonard, jakby nie słyszał Jamesa.

— U panny Bachelor. — Joss spuściła głowę. — Zapomniałam.

Zapomniała kompletnie. Przez pierwsze dziesięć z piętnastu wyznaczonych jej minut patrzyła demonstracyjnie na zegar panny Bachelor, potem odwróciła niechęć wzrok i ocknęła się po godzinie.

Kate odsunęła krzesło obok siebie.

— Chodź, siadaj. James upiekł kurczaka. Joss poczuła w gardle kluchę.

— Nie jestem głodna — powiedziała. Rzeczywiście nie była, była objedzona grzankami,

napakowana po uszy chlebem, opiekany kromka po kromce nad kuchenką gazową panny Bachelor. Panna Bachelor pozwoliła jej brać masło wprost z opakowania.

— Miło spędziłaś czas? — zapytała Kate lekko spiętym głosem.

Joss skinęła głową. To dziwne, ale podobała jej się ta wizyta, podobała jej się do chwili, gdy panna Bachelor powiedziała:

— Mamy ze sobą coś wspólnego. Obie przedstawiamy godny pożałowania widok, z tym że ty wyładniejesz. Skończy się na tym, że będziesz urocza.

Możesz mi wierzyć. — Panna Bachelor machnęła dłonią w stronę pocztówek i reprodukcji na ścianie. — Jestem znawczynią piękna.

Joss uknęła na łóżku i popatrzyła na Marie przychepione do ściany pinezkami, Marie w niebieskich szatach, w złotych szatach, Marie w różowych szatach, każda ze swoim Jezusem na ręku. Większość Jezusków nie spodobała się Joss. Uważała, że Jezus powinien przypominać George'a albo Edwarda Hunterów, powinien mieć puciołowatą buzię i jasne włoski, a ci nad łóżkiem wyglądali na ludzi w średnim wieku, poważnych, doświadczonych przez życie. Ale Marie były piękne. Joss uznała, że panna Bachelor jest dewotką, takie stare kobiety jak ona zawsze są dewotkami.

— Jestem ateistką — oznajmiła panna Bachelor — ale odczuwam wdzięczność dla religii chrześcijańskiej za to, że stała się natchnieniem dla mistrzów włoskiego renesansu.

— Kto to jest ateista?

— Sprawdź — odparła panna Bachelor, wskazując słownik wyrazów obcych na półce. Joss sprawdziła, z pewnym trudem, ponieważ nie była ze słownikami za pan brat, i zdumiała się.

— Pani nie wierzy w Boga!

— W żadnego boga. Kiedyś byłam agnostyczką, potem zaczęłam wierzyć w duchową istotę człowieka, ale nie w Boga.

— Bałabym się nie wierzyć w Boga — powiedziała Joss,

— To przesąd — odparła panna Bachelor. Wdały się w dyskusję. Joss nie wiedziała, że można

dyskutować, nie robiąc wycieczek osobistych, i dyskutowała z przyjemnością, choć nie potrafiła spojrzeć na żadne zagadnienie z innego punktu widzenia niż własny.

— Przestań mówić „ja” — zwróciła jej uwagę panna Bachelor.

— Nie mogę...

— Owszem, możesz. Trzeba tylko poćwiczyć. Musisz się nauczyć rozciągać mięśnie umysłu.

Myśl ta wydała się Joss ekscytująca. „Tępak!”, wrzeszczał na nią zazwyczaj stryj Leonard. „Przy-mulony tępak. Głupie dziecko!” Wiedziała, że stryj tak nie myśli, że w jego ustach epitet jest pieszczotą, ale prześlizgiwał się przez jej zadania domowe z irytującą łatwością, co sprawiało, że i tak czuła się tępa.

— Jestem tępa — oznajmiła pannie Bachelor.

— Wierutna bzdura — odparła panna Bachelor. — Niedorzeczność. Twojemu umysłowi brakuje jedynie gimnastyki.

— O czym rozmawialiście? — odezwał się James, stawiając przed nią talerz z kurczakiem. Znajdował się na nim również zielony groszek, i pieczone kartofle, i małe ruloniki bekonu, i łyżka sosu chlebowego. Joss wybałuszyła oczy.

— Boże! — powiedziała.

— Co?

— Nie dam rady tego zjeść...

Spojrzała na Kate. Kate sprawiała wrażenie osamotnionej. Joss krzyknęła:

— O Boże, twój prezent! — I wyprysnęła z pokoju.

— Nie złość się na nią — powiedział James do Kate.

— Wiecie co, ja też chcę rzucić okiem na to stare pannisko Bachelor — zwrócił się stryj Leonard do Jamesa.

— Nie jestem zła — powiedziała Kate z cichą rozpaczą do swojego talerza.

Joss wróciła z wymiętą papierową torbą. Rzuciła ją Kate na kolana.

— Przepraszam, że nie jest zapakowany. Przepraszam, że tak późno, przepraszam, że nie jest nowy, przepraszam...

Kate wyciągnęła czarny kapelusz z welonem i brylantowymi spinkami.

— Och!

— Czy nie cudny? — powiedział James. Ujął kieliszek. — Włóż go.

— Nie — powiedziała Kate. — Nie. — Twarz jej zadrgała. Odsunęła kapelusz na wyciągnięcie ręki. — Dziękuję ci — powiedziała do Joss.

— Nie podoba ci się...

— Ależ tak, tak...

— Nie podoba ci się! — krzyknęła Joss. Próbowała wyrwać matce kapelusz. Stryj Leonard wyciągnął kościstą dłoń i złapał ją za ramię.

— Zachowuj się.

— Ona go nie cierpi...

— To nieprawda — powiedziała Kate niemal szeptem. — Och, Jossie! To nieprawda, on jest cudowny, to cudowny prezent.

— Więc włóż go. — James zerknął na Joss, szarozieloną i nadal unieruchomioną przez stryja Leonarda. Biedna Joss...

— Nie mogę — powiedziała Kate. Spuściła głowę i położyła kapelusz ostrożnie na pustym krześle Joss. Potem wstała i wyszła wolno z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Leonard puścił ramię Joss.

— Niech mnie kule...

— Zamknij się! — powiedział James. Wstał i podszedł do Joss. Nigdy się nie dotykali, był to jeden z punktów ich niepisanego kodeksu postępowania, „nie dotykać się”, ale teraz zapragnął otoczyć ją ramionami.

— Tu nie o ciebie chodzi — powiedział — i nie chodzi o kapelusz. Może chodzić o mnie, albo o coś jeszcze innego, ale z całą pewnością nie jest to twoja wina.

— Powiedziałeś, żeby jej to dać! — zawołała Joss oskarżycielsko.

— Wiem.

— Zobacz, co narobiłeś...

— Idź za nią — powiedział James. — Idź. Będzie cię potrzebowała. Będzie chciała z tobą porozmawiać.

— Nie chcę...

— Joss!

Popatrzyła na niego oczami swojego ojca w twarzy swojej matki, pod szopą włosów Kate.

— Idź — powtórzył James łagodnie. Odwróciła się, wzdychając jak miech kowalski,

i wypadła z kuchni. Drzwi zamknęły się za nią z hukiem.

Stryj Leonard uniósł kieliszek.

— Baby z wozu, koniom lżej — powiedział. — Niezły pieprznik.

— Nie poszłam tam dlatego, że chciałam — powiedziała Joss do Kate. —

Kazała mi. Kazała mi odnieść zakupy, przy panu Patelu, więc musiałam.

— Oczywiście — Kate siedziała na skraju łóżka, ich łóżka, jej i Jamesa, i zbijała w kulkę chusteczkę do nosa. — To ładnie, że poszłaś.

Joss stała przed Kate na starym afgańskim dywanie i próbowała czubkiem buta wydłubać w nim dziurę.

— Ten kapelusz to był tylko taki żart...

— Jest śliczny. Już ci powiedziałam. Uwielbiam go. ;— Jest straszny. Zwróć go.

— Proszę, nie rób tego — powiedziała Kate. Chciała, żeby Joss podeszła bliżej, chciała ją przytulić, w chłodzie sypialni, w swoim nieszczęściu.

— Zachowuję się strasznie — powiedziała. — Nie wiem, co się stało. Panna Bachelor...

— Jest w porządku — odparła Joss zyczliwym, uspokajającym tonem, którym zwracała się czasem do bliźniaków.

— Dlaczego James tam chodzi?

— Nie wiem.

— Jak tam jest? Jaki jest jej pokój?

— Ponury — powiedziała Joss. — Stary. Wszystko w nim jest stare. Stare, pomyślała Kate. Zadrżała. Wyciągnęła ramiona do Joss.

— Uściskaj mnie.

Joss podeszła i przytuliła się sztywno.

— Chciałabym mieć znowu czternaście lat — powiedziała Kate w ramię Joss.

— Jak ty.

Joss nie odezwała się. Jeżeli w ogóle myślała o czyimś wieku, to tylko w kategoriach okrucich czasu; czy chłopak, który jej się podoba, jest trzy miesiące młodszy, czy trzy miesiące starszy od niej. Kate skończyła właśnie trzydzieści sześć lat, ale to nic dla Joss nie- znaczyło, był to po prostu wiek, w jakim zazwyczaj są mamy.

— Musimy zejść na dół — powiedziała Kate. — James kupił dla mnie tort.

Teraz... teraz włożę kapelusz.

— Jezu — powiedziała Joss, odsuwając się od niej. — Jezu, nie rób tego.

Kate wstała. Odgarnęła włosy z twarzy i bransolety, indiańskie bransolety z muszelek, które Joss dała jej pod choinkę, zadzwoniły cichutko.

— Podoba mi się ten kapelusz, Joss. Po prostu kiedy go wyjąłś i spojrzałam na Jamesa... — Urwała. — Chodź. Chodź ze mną na dół i pomóż mi zjeść ten tort.

Później, kiedy zmywali po kolacji, zadzwonił telefon. Jak zwykle odebrała go Kate.

— To Hugh — powiedziała, oddając Jamesowi słuchawkę. — Sprawia wrażenie zalanego.

— Jestem zalany — powiedział Hugh do Jamesa. — Zalany i wściekły. James przysunął sobie nogą krzesło i usiadł.

— Co tym razem?
— Chcesz usłyszeć o mojej nowej karierze? James przymknął oczy. Trzymał słuchawkę z dala od ucha i głos Hugh'a słychać było w całej kuchni.
— Będę otwierał garaże, James, garaże, kręglarnie i ubikacje dla niepełnosprawnych. Będę Hugh'em Hunterem, supergwiazdą minimarketu, będę wyciągał z ludzi dziesięciocentówki i zarobię tysiące. Och, James... — Głos mu się załamał. — Och, James, po cholere to wszystko?
James otworzył oczy i spojrzał na Kate. Skończyła wycierać widelce i położyła je na stole z cichym brzękiem. Nie podniosła oczu.
— Gdzie jesteś? — zapytał James. — W domu?
— Nie. Nie mogę wrócić do domu, nie nadaję się do powrotu do domu. Jestem w pubie, naszym miejscowym.
— Nie ruszaj się stamtąd — powiedział James. — Przyjadę.
— Jesteś przyjacielem...
— Przyjadę pod warunkiem, że się nie rozkleisz.
— Obiecuję.
— Dwadzieścia minut. Będę u ciebie za dwadzieścia minut. Nie pij więcej. Odłożył słuchawkę i wstał.
— Tak mi przykro — powiedział do Kate. — I to w dniu twoich urodzin. — Urwał. W urodziny Kate, i w jego urodziny, i w wiele innych wyjątkowych i zupełnie zwyczajnych dni, kochali się. Jeżeli pojedzie do Hugh'a, wróci po północy i Kate będzie spała albo będzie śpiąca, zbyt śpiąca na seks. — Jestem boleśnie świadom tego, że były to kompletnie niewy-darzone urodziny od początku do końca. Miałem nadzieję, że przynajmniej jedną rzecz zrobię dzisiaj jak należy, później, ale Hugh...
— Nie szkodzi — przerwała mu Kate.
— Pocałuj mnie.

Obeszła stół i pocałowała go szybko, bezosobowo.

— Jesteś zła.

— Nie.

— Więc o co chodzi? Czy mam zadzwonić do Hugh'a i powiedzieć, żeby się wziął w garść, a ja zobaczę się z nim kiedy indziej?

— Nie.

— Kate...

— Nie lubię urodzin — powiedziała Kate. — Nie lubię kamieni milowych. Biedny Hugh. — Uśmiechnęła się do niego słabo. — Jedź ostrożnie.

— Kate, tak bym chciał, żebyś ze mną porozmawiała.

Odwróciła się i zdjęła kluczyki samochodowe z haczyka na kuchennym kredensie.

— Będę już spała, kiedy wrócisz.

— Słuchaj, czy nie moglibyśmy...

— Będę spała — powiedziała Kate szybko. — Jestem bardzo zmęczona, a jutro mam restaurację. Dziękuję ci za obiad, mój urodzinowy obiad.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Kate weszła wolno na schody. Drzwi Leonarda były na wpół otwarte i Kate zobaczyła Joss, siedzącą na czerwonym dywanie, który pani Cheng wyszukała dla Leonarda na wyprzedzaży staroci. Joss miała na sobie wytarty tweedowy płaszcz, którego używała jako szlafroka.

— Zaproś ją — mówił Leonard. — Niech przyjdzie do mnie, już ja jej wyperswaduję ten ateizm.

— Potrafi dyskutować — powiedziała Joss.

— Ja też — odparł Leonard.

— Ona nie wpada w złość.

— Ja też nie.

— Właśnie, że tak. Wściekasz się za każdym razem. I na dodatek cały czas mówisz „ja”.

— Bezczelna mała...

— Powinieneś rozciągać mięśnie swojego umysłu — powiedziała Joss.

— Ha! — zakrzyknął Leonard. — Złapałem cię. Sama byś nigdy nie wymyśliła takiej głupoty. Powtarzasz po starej Bachelor jak papuga.

— Nie nazywaj jej tak!

— O! — powiedział Leonard dwuznacznie, irytująco. — Przeszliśmy do obozu Jamesa, tak?

Kate przemknęła korytarzem do własnego pokoju. Ostrożnie nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Uderzyła w nią fala zimna. Zapaliła światło, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Spojrzała na łóżko, łóżko, które dzieliła z Jamesem, kładła się w nim, żeby się kochać i żeby spać, od czasu gdy skończyła dwadzieścia osiem lat. Teraz miała trzydzieści sześć. Za cztery lata będzie miała czterdzieści, a James sześćdziesiąt pięć. Spojrzała na łóżko z lękiem. To wszystko moja wina, pomyślała, ten brak zrozumienia między nami, ten chłód, ta atmosfera. To wina tego, co się ze mną stało, sama siebie unieszczęśliwiam. Jak mogę! Nie mam prawdziwych kłopotów jak Hugh, biedny Hugh pozbawiony przyszłości.

Przeszła wolno przez pokój i spojrzała na siebie w lustrze nad komodą, w której James trzymał bieliznę. Musiała stanąć na palcach, ponieważ James, o tyle od niej wyższy, powiesił lustro na wysokości swoich oczu. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Włosy miała matowe, twarz ściągniętą, a oczy w obramowaniu czarnych rzęs, które odziedziczyła po matce, wyglądały jak wypalone. Wkrótce coś zniszczę, pomyślała Kate. Coś we mnie pękło i dopóki się nie zrośnie, będę ciężarem dla innych, a tego mi nie wolno, nikt nie ma prawa obarczać swoim kalectwem innych niewinnych ludzi.

Podeszła do okna, żeby zaciągnąć zasłony. Ulica była pusta, niebiesko-czarna, z plamami brzydkiego pomarańczowego światła ulicznych lamp. W domu naprzeciwko biały mężczyzna i czarna kobieta siedzieli przy stole rozdzieleni stosem papierów i teczek.

Kobieta wplotła we włosy kolorowe paciorki, które połyskiwały w świetle nad jej głową. Kate zazdrościła tej kobiecie, zazdrościła jej tego, że pracuje tak spokojnie po drugiej stronie ulicy, ze swoją egzotycznie ozdobioną głową i swym zaabsorbowanym towarzyszem. Gwałtownie zaciągnęła story, odcinając się od widoku za oknem, i uwiesiła się ich, z czołem wspartym na dłoniach.

— Pozostaje mi tylko — szepnęła do siebie — pozostaje mi tylko odejść. Puściła zasłony i osunęła się na podłogę. No i co z tego? Zawsze wiedziała, że kiedyś będzie musiała odejść.

5

Beatrice Bachelor siedziała na niebieskiej atlasowej kanapie w recepcji hotelowej. Nie była w hotelu Randolph od dwudziestu lat, uhonorowała go więc, wkładając nowe pończochy i broszkę z kameą.

James Mallow zaprosił ją na podwieczorek, na spotkanie ze swoim przyjacielem. Powiedział, że trzeba mu przywrócić poczucie proporcji, i Beatrice, której kontakty towarzyskie rozrosły się oszałamiająco od czasu, gdy James zrzucił ją z roweru, wyraziła zgodę na wypicie herbaty w hotelu Randolph.

— Stara, a głupia — powiedziała kwaśno jej bratowa. Stała w kuchennych drzwiach i patrzyła, jak Beatrice zakrywa codzienną chustką siwy kok. — Wyjdiesz na durną.

Beatrice nie odezwała się. Spojrzała beznamiętnie na swoje odbicie w lustrze i zanuciła cichutko „O Panie i Ojczyźnie ludzkości”. Jakże te hymny są irytujące, pomyślała, buszując w podświadomości, choć człowiek nie zgadza się z ani jednym słowem.

— Wróć o szóstej — powiedziała. — Kot jest w moim pokoju. Proszę, nie wypuszczaj go na dwór. — Kota nie było w pokoju, leżał bezpieczny w bieliźniarce na stosie ręczników, i Beatrice o tym

wiedziała. — Do widzenia, moja kochana Grace — dodała, żeby zirytować bratową.

Ku swemu zdziwieniu wcale nie czuła się głupio, siedząc w recepcji hotelu Randolph. Czuła się zupełnie zwyczajnie. Podwieczorek był posiłkiem, który lubiła i jadła niezależnie od okoliczności. Jeżeli człowiek najadł się na podwieczorek, mógł nie myśleć o jedzeniu przez resztę dnia i spędzić cudownie długi, niczym nie zakłócony wieczór. Długie wieczory nie przerażały Beatrice, przywykła do kojarzenia ich z książkami, muzyką i samotnością. Jednak perspektywa zjedzenia podwieczorku w towarzystwie, w hotelu, była miła. Zjawił się James i na powitanie pocałował ją w policzek. Dotąd tego nie robił i przez parę chwil nie mogła zebrać myśli. Witając się z przyjacielem Jamesa, olśniewającym, zdrowo wyglądającym eleganckim mężczyzną, bąknęła coś bez związku.

— Musi mieć pani w sobie ducha przebaczenia — powiedział Hugh do Beatrice. — Żeby pozwolić temu idiocie zbliżyć się do siebie po tym, jak wystrzelił panią w powietrze.

— Wystrzelił mnie na chodnik — powiedziała Beatrice, doszedłszy do siebie.

— O lataniu nie mogło być mowy.

Hugh obdarzył ją czarującym uśmiechem.

— Mam ochotę na prawdziwą herbatę, a pani? Na pyszną, prawdziwą herbatkę.

Beatrice spojrzała na niego ostro i Hugh zrozumiał, że panna Bachelor nie pozwoli, by traktowano ją pobłaźliwie czy protekcjonalnie.

— Naturalnie — odparła.

— Jakie to nudne — powiedział James, zaglądając w kartę. — Same zestawy, zestaw z tym, zestaw z tamtym. Poszukam kelnerki i powiem, że sami dokonamy wyboru. Kanapki?

— Z ogórkiem — powiedziała Beatrice.

— Z jajkiem i rzeżuchą — powiedział Hugh, dalej

grając swoją rolę. — I rożek z kremem. Albo ekierkę. — Rozsiadł się w fotelu.
— Bądź twarda — powiedział James do Beatrice i odszedł, zabierając ze sobą połowę widowni Hugh'a.

— Mam uczucie — odezwała się Beatrice — że poznaję przyjaciół Jamesa w złej kolejności. Wydaje mi się, że najpierw powinnam poznać pannę Bain, dopiero potem pana.

— A nie poznała jej pani?

— Nie.

— Kate jest cudowna — powiedział Hugh z przesadą. — Ma najlepsze serce w tej części Europy.

— Cała nadzieja w tym, że jej serce nie jest wyzyskiwane.

— Dlaczego pani sądzi, że jest wyzyskiwane?

— Wiem z doświadczenia — powiedziała Beatrice — że ludzie uważają cudze dobre serce za niewyczerpaną studnię, z której mają prawo, niemal obowiązek czerpać. Moja matka umierając powiedziała mi: „Jak to dobrze, Beatrice, że masz okazję rozwinąć swoje instynkty opiekuńcze”. Poszłam do kuchni i dosłownie trzęsłam się z wściekłości.

Hugh zapomniał o swoim czarującym uśmiechu i pochylił się nad stołem.

— Pielęgnowała ją pani?

— Ojca również. Zwlekali siedem lat, by umrzeć. Zupełnie niepotrzebnie.

— Niepotrzebnie?

— Oboje mieli raka. Ich życie ograniczało się do wegetacji, a jednak stawiali mi opór. Woleli ból, upokorzenie i utratę wszystkich cielesnych i duchowych radości od oczywistego rozwiązania.

James wrócił w chwili, gdy Hugh pytał:

— Jakiego oczywistego rozwiązania?

Beatrice spojrzała na Jamesa. Potem powiedziała spokojnie, zwracając się do Hugh'a:

— Od eutanazji. Wierzę w eutanazję. Pomogłam umrzeć mojego bratu.

— Wielkie nieba! — powiedział Hugh i osunął się na oparcie fotela.

James usiadł w milczeniu i wpatrzył się w Beatrice.

— Przystąpiłam do Towarzystwa Zwolenników Eutanazji w 1937 roku — powiedziała Beatrice — kiedy miałam dwadzieścia lat. Przyjaciel z uniwersytetu zabrał mnie do domu obłąkanych w Esher, gdzie przebywał jego brat, i widok tych nieszczęsnych ludzi sprawił mi niewymowny ból. Byłam wtedy agnostyczką, więc, rzecz prosta, nie uznawałam duchowej istoty człowieka, ale teraz jestem przekonana, że przedłużanie życia człowiekowi niezdolnemu do samodzielnego istnienia i odczuwania przyjemności, jest złem wyrządzanym ludzkości.

Drobna Malezyjka wyrosła obok stolika z załadowaną tacą i zaczęła ustawiać filiżanki i talerzyki.

— Zechce pani postawić dzbanek tutaj — powiedziała Beatrice — sama zajmę się nalewaniem herbaty.

Mężczyźni nie odezwali się. Kelnerka postawiła na stole kanapki z ogórkiem, jajkiem i rzeżuchą, i talerzyk herbatników.

— Niestety — zwróciła się do Beatrice — nie ma eklerów. Żadnych ciastek z kremem. — Uśmiechnęła się. Połowę zębów miała złotych.

— To bez znaczenia, dziękuję. — Kelnerka odeszła i Beatrice zaczęła nalewać herbatę.

— Zdaje się, że wprowadziłam panów w zakłopotanie — powiedziała.

— W zakłopotanie! — zawołał James. — Jestem ogłuszony!

— Pomogła pani? — powiedział Hugh z trudem. — Pomogła pani umrzeć bratu?

— Mleka? Cukru? Oczywiście, że pomogłam. Na jego żądanie i przy współpracy znakomitego lekarza. Mój brat również miał raka. Pierwsze doświadczenia

z chemioterapią zniechęciły go do następnych, zwłaszcza że mógł zyskać dzięki nim jeszcze tylko kilka lat nędznej wegetacji. Umarł we śnie, bez cierpień. Doprawdy, nie wiem, jak to się stało, że zabrnęliśmy na tak głębokie wody. — Podsunęła Hughowi talerzyk kanapek z jajkiem i rzeżuchą.

— Uważam, że powinien pan coś zjeść, uważam również, że powinniśmy zmienić temat.

— Pod dwoma warunkami — powiedział Hugh, najwyraźniej biorąc się w garść. Przyjął kanapkę.

— Tak?

— Że powrócimy do niego pewnego dnia. I rozważy pani, tylko rozważy, moją propozycję wystąpienia w programie o eutanazji.

— Hugh! — zawołał James z oburzeniem.

— Dlaczego nie? — powiedział Hugh do Beatrice. Patrzyła na niego, myśląc o wyrazie ulgi na twarzy

brata tego ostatniego wieczoru. Trzymał ją za rękę. „Dzięki Bogu, to już niemal koniec — powiedział. -Nie mów Grace, zatruje ci życie, a nikt, kto postępuje tak jak ty, z taką odwagą i zrozumieniem, nie zasługuje na to, by cierpieć”.

— Rzeczywiście, dlaczego nie — powiedziała. — Wprawdzie to sprawa bardzo osobista, ale żaden sekret. To ogromna różnica.

Wzięła kanapkę i przyjrzała jej się uważnie. — Wyśmienicie. Obrali ogórek ze skórki.

Nie wiedzieć czemu, w Pasta Please było tego dnia pełno ludzi. Pierwsi klienci zjawili się w południe, a o czwartej maruderzy wyjadali jeszcze cukier z filiżanek po kawie. Kelnerka Susie poszła do domu wcześniej, skarżąc się na rozdzierające bóle menstruacyjne.

— Ma skurcze — powiedziała do Kate właścicielka restauracji. — Regularnie każdego pierwszego tygo-

dnia miesiąca, kiedy zjawia się w mieście pewien sprzedawca oprogramowania. Wylałabym ją, gdyby nie to, że zna się na tej robocie, i jeżeli mam być szczerą, skóra mi cierpnie na samą myśl o szukaniu kogoś na jej miejsce.

— Nie musiałabyś szukać daleko — powiedziała Kate.

Christine, właścicielka restauracji, która poznała Kate na kursie pływania na basenie Marston Ferry, przerwała wypisywanie rachunku.

— Masz kogoś na myśli?

— Siebie — powiedziała Kate. — Potrzebuję pracy na pełny etat.

— Poczekaj — powiedziała Christine. Położyła zwinięty rachunek na talerzyku i przycisnęła go, jak to było w zwyczaju Pasta Please, dwoma włoskimi ciasteczkami migdałowymi. Potem postawiła talerzyk na stole ostatnich klientów.

— Mam nadzieję — dobiegły Kate jej słowa — że panom smakowało. Tak, przyznali uprzejmie i posłusznie, smakowało. Wyśmienite ravioli, dodał jeden z nich. Christine powiedziała: „Widzi pan, bo to wszystko świeże”. Zdjęła ich płaszcze z drewnianego wieszaka, pomogła im się ubrać, potem otworzyła drzwi, a kiedy wyszli, zamknęła je na łańcuch, odwróciła tabliczkę „Otwarte” na drugą stronę i wróciła do Kate.

— Co się stało? — zapytała.

Kate zaczęła układać talerze w stos, by zanieść je do kuchni.

— Zostaw to — powiedziała Christine. — Przestań dreptać w miejscu i powiedz, co się stało.

— Muszę opuścić Jamesa — powiedziała Kate. — Źle robię zostając. Czuję, że jeżeli zostanę, zranię go, a tego bym nie zniosła. Muszę być sama. Muszę żyć samodzielnie. Żeby dojść z sobą do ładu.

— Och, Kate — powiedziała Christine z pewnym

6 – Niełatwe związki

81

rozdrażnieniem. Ona również była samotną matką i mieszkała z kimś, kogo określała mianem partnera. Znała Jamesa. Lubiła go. Wyglądał na człowieka lojalnego, a doświadczenia życiowe kazały Christine cenić lojalność.

— Nie jestem neurotyczką — powiedziała Kate. — I nie pobłażam sobie.

Pobłażałabym sobie zostając.

— Od lat nie żyłaś sama.

— Mam Joss. Nie będę zupełnie sama.

— Czy to przejściowy kryzys?

— Nie wiem. Wiem tylko, że nie mam wyboru.

— Ale jeżeli mam ci dać posadę Susie, muszę wiedzieć, że to nie jest przejściowe. Przewrócę wszystko do góry nogami, a potem ty mi powiesz, że już nie potrzebujesz pracy, bo dogadałaś się z Jamesem. Nie twierdzę, że nie chciałabym cię zatrudnić, chciałabym, jesteś o niebo lepsza od Susie, ale muszę otrzymać od ciebie zobowiązanie, Kate. Muszę.

— Dam ci je z chęcią — powiedziała Kate.

— Rok — powiedziała Christine. — Co najmniej do przyszłych świąt Bożego Narodzenia.

Kate przelknęła ślinę. To nie powinno być takie łatwe, szukanie pracy powinno być częścią kary, powinno być trudne, przykre.

— Dziękuję ci.

— Praca do wieczora, Kate.

— Wiem.

— I żadnych sprzedawców oprogramowania. Kate potrząsnęła głową, siląc się na uśmiech.

— Gdzie będziesz mieszkać?

— Jeszcze nie wiem.

— Nie dostaniesz pokoju poniżej czterdziestu funtów tygodniowo. I będzie to studencki pokój. Nora. — Christine pomyślała o Willi Richmond, którą odwiedziła kilka razy. — Musisz być szalona.

— Bardzo możliwe — powiedziała Kate. — Ale wolę obłąd od poczucia winy.

— Dlaczego, na litość boską, miałabyś się czuć winna?
— Ponieważ się zmieniłam. Z jakiegoś powodu zmieniłam się w kogoś, kogo wcale nie lubię, i kiedy taka jestem, wszystko psuję.
— Jesteś chyba za młoda na t ę zmianę.
— Tak — powiedziała Kate. — Nie mogę winić nikogo, prócz siebie.
— A co z Joss?
— Biedna Jossie. Przywykła do mnie i jest niemal równie nieznośna jak ja. James pożegna nas z ulgą. — Wzięła talerze i ruszyła w stronę piwnicznych schodów.
— Nie byłabym tego taka pewna — powiedziała Christine. Poszła za Kate do piwnicy, gdzie szef kuchni zmieniał robocze spodnie na dżinsy. — Prześpij się z tym, Kate. Pogadamy w piątek.
— W piątek ona wychodzi ze mną — odezwał się kucharz. — Prawda, Katie? Miałabyś ochotę poszaleć z kimś młodym i męskim?
— Czyli nie z tobą, Benjie.
— Powinnaś mnie widzieć, kiedy się rozkręcę. W piątki naprawdę się rozkręcam. — Zapiął suwak dżinsów i sięgnął po skórzaną kurtkę. — Cholerne baby. To wy wpychacie mnie w ramiona facetów. Cholerne baby. — Przystanął, by obdarzyć Kate pocałunkiem o zapachu czosnku. Drzwi piwnicy zamknęły się za nim z trzaskiem.
Godzinę później wyszła również Kate. Nakryły z Christine stoły na wieczór prawie w milczeniu. Rozmawiały tylko przez chwilę o synku Christine, Justinie, o tym, że może dostanie się do drużyny szermierczej juniorów Oxfordshire. Kiedy w końcu Kate zdjęła fartuch i włożyła kurtkę, Christine powiedziała: „Radzę ci, zastanów się poważnie, porozmawiamy w piątek”, a Kate odparła: „Jesteś prawdziwą przyjaciółką”. Christine uśmiechnęła się i po-

wiedziała: „Kobieca solidarność” i obie się roześmiały. Potem Kate wyszła na ulicę i odetchnąwszy zapachem zmierzchu poczuła nagłą otuchę, jakby pozbyła się ogromnego ciężaru.

— Przepraszam panią — powiedział ktoś. Odwróciła się. Mężczyzna.

— Nie chciałem pani przestraszyć. Czekam tu. To znaczy, czekam na panią. Nie mogłem się połapać, w które dni pani pracuje, trafiam zawsze na tę drugą dziewczynę, blondynkę...

— Susie — powiedziała Kate. W świetle latarni i restauracyjnego neonu ujrzała młodego mężczyznę, który przyszedł do Pasta Please z wystrojoną, śmiejącą się szyderczo dziewczyną. Miał na sobie ten sam luźny, ciemny płaszcz z podniesionym kołnierzem.

— Aha, Susie.

— Mogę panu w czymś pomóc? — zapytała Kate. — Zostawił pan coś?

— Och, nie! Nie. Ale pani była taka miła...

— Nie wydaje mi się — powiedziała Kate stanowczo. — Chyba się w ogóle nie odezwałam. Byłam zbyt zaskoczona, żeby się odezwać.

— Wyglądała pani miło. To mi ogromnie pomogło. Łatwo sobie wyobrazić, jak podle się czułem.

— No cóż — powiedziała Kate. Wyjęła rękawiczki z kieszeni kurtki i zaczęła je nakładać.

— Zresztą, nie chodzi tylko o to, że była pani miła — powiedział mężczyzna.

— Chodzi o coś więcej. Naprawdę mi się pani podoba. Naprawdę..

Kate cofnęła się o krok.

— Muszę iść do domu.

— Proszę — powiedział wyciągając rękę. — Proszę się nie bać. Nie jestem zboczeńcem, po prostu nigdy dotąd nie zaczepiałem kobiet na ulicy i dlatego nie najlepiej mi to wychodzi. Mark Hathaway, kierownik wydziału anglistyki na pry warnej uczelni. Jak pani widzi, jestem człowiekiem na poziomie.

- No cóż — roześmiała się Kate. — Miło pana poznać, panie Marku Hathaway.
- A pani?
- Kate.
- Kate i co dalej?
- Kate Bain.
- , — Mogę odprowadzić cię do domu, Kate Bain?
- Kate zawahała się. Teraz, kiedy dzień zrobił się dłuższy i egipskie ciemności nie zapadały o wpół do piątej, Leonard siadywał przy oknie jak sędziwa czapla i wyczekiwał wypadków ulicznych.
- Raczej nie.
- Jest pani mężatką?
- Nie.
- Więc co w tym złego, że odprowadzę panią do domu?
- To wszystko dzieje się w półmroku — powiedziała Kate. — Trochę to dziwne.
- Ja uważam, że ekscytujące. Kate zrobiła kolejny krok.
- Idę — powiedziała. — Dziękuję za propozycję, ale teraz już pójdę. Sama. Poszedł za nią.
- Czy mógłbym zobaczyć panią w świetle dziennym? Proszę. Zje pani ze mną lunch?
- Nie — powiedziała Kate bez przekonania.
- Wobec tego pójdźmy na kawę.
- Nie sądzę...
- Proszę posłuchać — powiedział i ujął ją za ramię. — Jestem uczciwym facetem, oczarowanym pani urodą i sposobem bycia. Proszę umówić się ze mną na kawę, tylko raz, a jeżeli to się pani nie spodoba, nigdy już pani o mnie nie usłyszy, przysięgam na swoją babkę.
- Kate cofnęła rękę.
- Dobrze — powiedziała. — Ale tylko na kawę.
- W czwartek?

— Tak.

— Spotkamy się przed wejściem do Golden Cross. O jedenastej trzydzieści.

— Nie ma pan zajęć na uczelni?

— Mam. Ale nie o jedenastej trzydzieści w czwartek. — Odsunął się o krok i światło z pobliskiej latarni padło na jego rozczochraną głowę. — Do widzenia, Kate Bain, panno Kate Bain. Do czwartku.

Po drodze wstąpiła do sklepu po kotlety na kolację i do pralni po jedyny garnitur Jamesa (kto będzie mu go odbierał w przyszłości? On sam, oczywiście. Och, Boże! Lepiej o tym nie myśleć) i gdy dotarła do Willi Richmond, Leonard już czekał. James wrócił do domu i wyszedł znowu, z Hughem, i Leonard płonął chęcią podzielenia się najświeższymi wiadomościami.

— Możesz zgadywać trzy razy...

— Zgadywać co? — zapytała Kate. Rozejrzała się po kuchni. Pani Cheng pozostawiła ją w stanie, w jakim pozostawiała ją zawsze. Podłoga, blaty i krany lśniły czystością, a na stole piętrzył się jak wyrzut sumienia stos przedmiotów, które zdaniem pani Cheng nie nadawały się ani do sprzątnięcia, ani do wyrzucenia na śmietnik.

— Bezrozumna żółta chłopka — powiedział Leonard, trącając stos. Niewielka lawina otwartych listów zsunęła się na podłogę.

— Nie nazywaj jej tak. Nawet w żartach.

— Ona nie ma nic przeciwko temu. Uwielbia mnie, poza tym ma wrażliwość nosorożca. Zgadnij co?

Kate zajęła się przenoszeniem szpargałów ze stołu na komodę i blaty, gdzie było ich miejsce.

— Nie mam pojęcia.

Leonard oparł się na lasce i wyciągnął szyję. Spędził uroczy dzień: najpierw trzy godziny pani Cheng, a teraz ten soczysty kąsek.

— Stara Bachelor wierzy w eutanazję!

Kate przerwała czytanie listu ze szkoły Joss zawiadamiającego, że dyrekcja organizuje wymianę ze szkołą średnią w Kijowie i liczy na pomoc rodziców.

— W eutanazję?

— Eutanazja, mój niedouczony głupolu, jest terminem powszechnie używanym na określenie bezbolesnego zabójstwa osoby nieuleczalnie chorej lub nienormalnej.

Kate podniosła wzrok.

— Wiem.

— James i Hugh zaprosili starą Beatrice na herbatę. Randolph, ni mniej, ni więcej. Zapytałem Jamesa, o czym z nią rozmawiali, a on powiedział: „O eutanazji. Ona wierzy w eutanazję”.

— I co z tego? — zapytała Kate surowo.

— Nic. Pomyślałem tylko, że będziesz chciała to wiedzieć.

— Dlaczego miałabym chcieć?

— Żeby śledzić poczynania Jamesa.

— Przestań! — powiedziała Kate ze złością. — Przestań! Nigdy tego nie robiłam i nigdy nie zrobię. James może robić, na co ma ochotę.

Leonard zawahał się. Wiedział, że posunął się za daleko. Pokuśtykał w stronę Kate.

— Wyjdź za niego! — poprosił. — On tego chce. Ty też tego chcesz. Zrób to. Wyjdź za niego.

Kate odwróciła się.

— Nie mogę — powiedziała.

— Dlaczego? Dlaczego, do diabła?

— Nie potrafię wyjaśnić. Nigdy byś nie zrozumiał. Leonard wydał z siebie jęśliwe westchnienie. Potem pokuśtykał do drzwi.

— Wobec tego — powiedział — powinnaś go zostawić. To jedyne uczciwe wyjście z sytuacji.

Późnym wieczorem, siedząc w wannie, podczas gdy James mył zęby nad umywalką, Kate powiedziała:

— Słyszałam, że jedliście podwieczorek w hotelu Randolph.

James splunął i nachylił się, by nabrać w usta zimnej wody.

— Wziąłem Hugh'a na spotkanie z Beatrice. Chciałem go trochę rozerwać i muszę przyznać, że mi się udało. Obawia się tej golfowej imprezy.

Kate myła stopę z przesadną dokładnością.

— Leonard powiedział, że rozmawialiście o eutanazji.

James przyjrzał się swoim zębom w lustrze nad umywalką.

— Co z tego, że są moje, wszystkie co do jednego, skoro nawet w połowie na to nie wyglądają. Czy ja wyglądam na sześćdziesiąt jeden lat, czy na sto sześćdziesiąt jeden?

— Więc nie opowiesz mi o pannie Bachelor — powiedziała Kate, przystępując do mycia drugiej nogi.

James odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

— Co chciałabyś wiedzieć? v. Kate przeszła go wzrokiem.

Nic.

— Moja droga Kate — powiedział James — powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

— Nie dowiedziałabym się o tym podwieczorku, gdyby nie Leonard...

— Nie powiedziałem ci o tym, ponieważ dałaś mi jasno do zrozumienia, że nie chcesz, żebym mówił. W mojej przyjaźni z Beatrice nie ma nic pokrętnego z wyjątkiem twojego stosunku do tej sprawy. Tak, byliśmy na herbacie. Tak, rozmawialiśmy o eutanazji i Hugh zapalił się do pomysłu, chce zrobić program telewizyjny. — James ukląkł przy wannie. Wyciągnął rękę i dotknął piersi Kate. Cofnęła się.

— Katie. Potrząsnęła głową.
— Dlaczego nie? Uciekła spojrzeniem w bok.
— Och, Katie — powiedział James ze smutkiem, wstając. — Tak bym chciał, żebyś przynajmniej ze mną porozmawiała.
— Zrobiłabym to, gdybym mogła — powiedziała z pochyloną głową.
— Nie śmiejesz się. Nie słyszałem twojego śmiechu od tygodni.
— Nie — powiedziała Kate. Zacisnęła palce na gąbce tak mocno, że zbieleły jej kostki. — Zapomniałam, jak to się robi.
Rapswelski Klub Golfowy przysłał po Hugh'a samochód, mercedesa z uprzejmym kierowcą, który poprosił nieśmiało o autograf dla córki. Hugh omówił z Julią — i kilkakrotnie z samym sobą — kwestię stroju, w jakim powinien wystąpić, i zdecydował się na blezer, choć twierdził, że wygląda w nim jak gospodarz programu „Wygraj milion”.
— Za dużo guzików. Brakuje mi tylko peruki i rudej panienki w sukni bez pleców.
— Wyglądasz wspaniale — powiedziała Julia z powagą.
— Gdzie masz kije golfowe? — zapytał George.
— Nie będę grał w golfa, będę o nim mówił.
— Nie byłbym taki pewien, panie Hunter — powiedział nieco później kierowca. — Będą panu robili rozmaite kawały. To bardzo zabawowi ludzie. Na twarzy Hugh'a ukazał się wyraz udanego przerażenia.
— Nie trafię w piłkę golfową. Nie trafię nawet w piłkę plażową!
Przemknęli cicho przez północne Cotswolds. Hu-

ghowi, który usiadł koło kierowcy, aby sprawiać wrażenie przystępnego („Nie ma to jak stary zawodowiec”, powiedział sobie), nastrój poprawiał się z każdą milą, czuł się niemal szczęśliwy, czuł się tak, jakby czekał go występ. Musiał przyznać, że do poprawy samopoczucia przyczynił się w dużej mierze niezwykle podwieczorek w hotelu Randolph. Przez pół nocy układał plan programu dla faceta, któremu mógł w całym spokoju powierzyć kierownictwo produkcji. Nie miał zamiaru wspominać o programie Kevinowi McKinleyowi, aż do ostatniej chwili, kiedy będzie za późno, by konsultować się z ITC i ryzykować wstrzymanie emisji. Myślał też sporo o pannie Bachelor. Rozumiał teraz, dlaczego James się z nią zaprzyjaźnił. Można było powiedzieć niejedno o typowej starej pannie Beatrice, że jest wysuszona, nieciekawa, zagrzebana w książkach, bezpłciowa, ale miała ogromny urok, urok kogoś z zacięciem intelektualnym, kto na dodatek wykazuje poczucie humoru i oryginalność. „Rzeczywiście, dlaczego nie?”, odparła na propozycję Hugh’a, żeby wystąpić w telewizji. Bez podniecenia, bez staropanieńskich obiekcji i lęku przed rozgłosem. „Rzeczywiście, dlaczego nie?” powiedziała. Brawo, pomyślał Hugh, brawo, panno Bachelor.

— Już dojeżdżamy, sir — powiedział kierowca. Hugh wyjrzał przez okno, gdzie jednolite pasmo pól i bungalów ustąpiło miejsca jednolitym połaciom żółtego piasku.

— Kosztowało miliony — oznajmił kierowca z dumą. — Najlepsze pole golfowe w Midlands. Trawniki pod dachem, klub z jacuzzi i salą gimnastyczną, co pan chce. Tamte bunkry wypełnione są piaskiem z Arabii Saudyjskiej.

— Saudyjski piasek jest lepszy od naszego? Kierowca był wstrząśnięty.

— Oczywiście, sir. Musieli przywieźć go samolotem. To nie jest piach z Bournemouth.

Samochód skręcił w alejkę, na której końcu stała olbrzymia kamienna brama z lwami trzymającymi tarcze. Napis wyryty w kamiennej tablicy głosił: „Rapswelski Klub Golfowy. Tylko dla członków”.

— Setki ludzi czekają w kolejce — powiedział kierowca. — Połowa Birmingham chce się tu dostać.

Gładki podjazd otaczały kwietniki chronione kolczastym łańcuchem. Łańcuch przeciągnięty był pomiędzy niskimi, wyłożonymi terakotą słupkami.

— Milutko tu.

— Mówię panu, panie Hunter — powiedział kierowca z szacunkiem — to jest prima sort.

Przed domem klubu, rozłożystą budowlą z werandami, która byłaby bardziej na miejscu w Teksasie, czekał zdenerwowany zarząd klubu. Zamówiona gwiazda golfa padła ofiarą żołądkowego wirusa i odwołała swoje przybycie zaledwie przed godziną. Zarząd był w rozpacz. Prezes obdzwonił już wszystkich potencjalnych zastępców, ale nikt nie mógł stawić się w tak krótkim czasie, to znaczy, nikt wystarczająco sławny. Obstąpili teraz Hugh, niemal czepiając się jego marynarki.

— Cóż — powiedział Hugh. — Będziecie musieli zadowolić się tym, co macie, czyli mną.

— Panie Hunter — zaczął prezes. — Proszę wybaczyć, ale...

— Dlaczego nie? — Uśmiechnął się do niego Hugh. — Dlaczego nie? Potrafię wszystko. Nigdy w życiu nie grałem w golfa, ale występuję w telewizji od trzydziestu lat. — Pomachał do ekipy telewizyjnej czekającej na skraju grupy. — Cześć, chłopaki!

Jeden z kamerzystów odma chał. Członkowie zarządu wymienili spojrzenia.

— Nie będę ukrywał, że jesteście w kropce — powiedział Hugh. — Macie pół godziny do otwarcia. Przeprowadzę to, obiecuję wam. Otworzę ten klub tak, jak jeszcze żaden nie został otwarty. Kto z was

udzieli mi lekcji golfa przed kamerami? Potem zrobimy turę po klubie. Będę się płał w jacuzzi, jeżeli sobie tego życzy. Co tylko wpadnie wam do głowy. — Pochylił się i poklepał prezesa po ramieniu. — Zaufajcie mi.

George i Edward Hunterowie, ubrani w identyczne ciemnoniebieskie szlafroczyki z czerwonymi obszyciami, zjadali bób przed telewizorem. Zazwyczaj nie pozwalano im oglądać telewizji o tak późnej porze, ale dzisiaj zrobiono wyjątek, ponieważ tatuś miał wystąpić w „Midland Miscellany”, przeglądzie wiadomości z regionu. Za George'em i Edwardem siedzieli na beżowej kanapie Hugh i Julia. Hugh dzierzył w ręku szklanice whisky, Julia kieliszek białego wina rozcieńczonego wodą mineralną.

Na ekranie ukazał się napis wyryty w kamieniu i Julia odczytała go na głos. „Rapswelski Klub Golfowy. Tylko dla członków”. Spiker powiedział, że Hugh Hunter, znany prezenter, dokonał dzisiaj otwarcia klubu i że obecnych było ponad osiemset osób. Pokazano zdjęcia czegoś wielkiego podobnego do domu, potem był pokój pełen kanap i ludzie stojący ze szklankami w ręku, potem dziewczyna z mnóstwem zębów ubrana w kostium kąpielowy, a potem był Hugh.

— Zdjąłeś marynarkę! — zawołał Edward z naganą.

— Musiałem — powiedział Hugh. — Patrzcie dalej.

Patrzyli. Zobaczyli Hugh'a, którego jakiś pan z siwym wąsem uczył trzymać kij golfowy. Zobaczyli, jak Hugh celuje kijem w piłkę, nie trafia, wykręca piruet i upada. Zobaczyli jak wstaje, robi kolejny zamach i ląduje w ramionach damy w czerwonej garsonce, która śmieje się tak bardzo, że sama ledwo trzyma się na nogach. Potem zobaczyli, jak Hugh zмага

się z piłką, a potem próbuje nieznacznie kopnąć ją w stronę małego dołka na środku trawnika i zostaje skarcony przez mężczyznę z siwym wąsem, choć mężczyzna z siwym wąsem śmiał się przez cały czas i wcale nie wyglądał na rozzłoszczonego. Potem zobaczyli, jak Hugh, ścigany przez tłum ludzi, wbiega do dużego budynku i wskakuje do czegoś w rodzaju olbrzymiej wanny, a potem kamera przyspieszyła i Hugh wskakiwał i wyskakiwał z pokoiów, ścigany przez tych wszystkich ludzi i grała bardzo głośna i bardzo szybka muzyka, i nagle rozległo się wielkie „trach”, i muzyka umilkła, i kamera zatrzymała się na Hughu, który siedział rozwalony w fotelu i robił zeza. Bliźniaki krzyknęły „hura!” i przewróciły torebkę z bobem.

— Muszę przyznać — powiedział Hugh do Julii — że byłem rewelacyjny.

— Widzę.

— Chcą, żebym był gospodarzem świątecznego balu.

— Zgodzisz się?

— Podwoili mi gażę, rozumiesz. Myślę, że za te pieniądze wytrzymam świąteczny bal.

— Och, Hugh — powiedziała Julia, biorąc go za rękę i uśmiechając się radośnie.

— Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze nie było was na świecie, robiłem takie rzeczy w teatrze pantomimy w Kiderminster. Zapomniałem, że to potrafię.

— Pochylił się w stronę rozchichotanych, tarzających się po podłodze bliźniaków. — No więc, jak? Byłem śmieszny?

— Tak! — krzyknął Edward. Podniósł się z podłogi i zaczął biegać po pokoju.

— Robiłeś tak! Tak robiłeś!

George poszedł w jego ślady. Lampa, trącona przez któregoś w szalonej gonitwie, zachwiała się niebezpiecznie.

- Przestańcie! — zawołała Julia, ale uśmiechała się.
- Robiłeś tak! — wrzasnął George, wskakując na fotel i rozrzucając poduszki. — To ty w tej wannie! — Przewrócił się na plecy i zaczął wierzgać nogami.
- Zadziwiające — Hugh przyglądał mu się, trzymając Julię za rękę. — Czy to nie zadziwiające, że można dostać sześćset funtów i skrzynkę szampana za zrobienie dokładnie tego, co on w tej chwili?
- Ale byli zachwyceni, sam to powiedziałeś, byli zachwyceni. Odwrócił na chwilę wzrok, po czym łyknął whisky.
- Tak. — Powiedział to jak człowiek pogodzony z losem i z sobą. — Byli zachwyceni jak cholera.

6

Mark Hathaway kupił Kate cappuccino posypane sproszkowaną czekoladą. Miał na sobie džinsy, czarny, w nieokreślony sposób elegancki sweter i wyglądał w oczach Kate jak francuski gwiazdor filmowy. Młody francuski gwiazdor filmowy. Sprawa jego wieku niepokoiła Kate, mógł się okazać młodszy od niej.

- Wyglądasz wspaniale — powiedział Mark, siadając naprzeciw Kate.
 - Czy moglibyśmy zacząć od bardziej neutralnego tematu?
 - Na przykład?
 - Od paru faktów z życiorysów?
 - Specyfikacja?
 - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.
 - Dobra — powiedział z szerokim uśmiechem. — Pięć stóp, dziesięć cali wzrostu, siedemdziesiąt kilo wagi, wiek trzydzieści dwa lata. Urodzony w Hereford, drugorzędna szkoła średnia, Oksford, studia nauczycielskie, znowu Oksford, nieżonaty. Ojciec nie żyje, matka tak. Pensja godziwa, perspektywy jak wyżej. Niepokojny duch. Twoja kolej.
- Kate przełknęła ślinę.

— Trzydzieści sześć lat, niezamężna, córka lat czternaście, urodzona w Oksfordzie, oksfordzkie wykształcenie średnie, żadnych kwalifikacji zawodowych. Oboje rodzice żyją, ale prawie ich nie widuję, ponieważ matka jest katoliczką i nie może się pogodzić z faktem, że przez osiem lat mieszkałam z mężczyzną i nie wyszłam za niego za mąż. Dwóch starszych braci, jeden w Londynie, drugi na północy. Pięć stóp, trzy cale wzrostu, pięćdziesiąt kilo wagi. Niespokojny duch.

— Rany! — powiedział Mark, nie spuszczać z niej wzroku. Łyknęła kawy i odważnie spojrzała mu w oczy.

— Oczywiście wiesz, która część twojego życiorysu interesuje mnie najbardziej — powiedział Mark.

— Moje życie z Jamesem — odparła Kate bez kokieterii.

— Tak. Osiem lat. To prawie małżeństwo.

— Wiem.

— Dlaczego za niego nie wyszłaś?

— Zawsze uważałam, że byłoby to nie w porządku.

— Nie w porządku? W jakim sensie? Moralnie nie w porządku?

Emocjonalnie? Majątkowo?

— Wszystko po trochu.

— I nadal tak uważasz?

— Bardziej niż kiedykolwiek.

— Dzięki ci za to, Boże!

— On jest dużo starszy. O dwadzieścia pięć lat.

— Jezu! Prawie jak ojciec. Czy nie... — urwał, potem dokończył: — Nie tęsknisz za tym, żeby związać się z kimś młodym, z kimś w swoim wieku?

— Nie wiem — powiedziała Kate. — Nie tęskniłam, przez osiem lat nie tęskniłam. Po prostu byłam z Jamesem.

— Wolno zapytać, czy go kochasz?

— Kochałam.

— A teraz?

— Zmieniłam zdanie, nie wolno pytać — powiedziała Kate. — Nie znam cię.
— Więc opowiem ci o sobie, żeby ułatwić nam zadanie, żebyś mogła mnie poznać.

Spojrzała mu w twarz. Uśmiechał się, ale w oczach miał niepokój, niemal błaganie.

— Dobrze.

— Tak naprawdę wcale nie chcę być nauczycielem — powiedział Mark — ale wyjechać z Oksfordu też nie chcę, a sama wiesz, jaki jest Oksford, jaką to miasto wywiera presję, mury nasiąknięte wiedzą. Mam mały dom w Osney i wynajmuję parę pokoi. No i mam tę sympatyczną pracę. Dziewczyna, z którą mnie widziałas, to był związek bardziej lędzwi niż serc. Chyba nigdy nie byłem zakochany, no, może raz, wiele lat temu. Lubię jazz i kino, i lubię gotować, a teraz lubię także rudowłose kobiety.

Kate uśmiechnęła się.

— Nie mogę się odzwajemnić. Nie potrafię wypunktować swoich cech.

— Nie chcę, żebyś to robiła. Wolę odkryć cię sam. Z czasem — zerknął na zegarek — którego dzisiaj już nie mam. Mam pół dnia w poniedziałek. Spotkamy się? Czy eksperyment z kawą się udał?

Milczała, pełna wahania. Mark wstał, włożył płaszcz i pochylił się nad nią.

— No dalej, Kate, śmiało—powiedział. — Wyjmij palce z uszu i odpowiedz na zew świata.

Kate złapała autobus do Północnego Oksfordu. Nie była w Mansfield House od przeszło tygodnia i to zaniedbanie ciążyło jej na sumieniu. Czuła, że Mansfield House przywoła ją do porządku, natchnie otuchą, przypominając o dawnych obowiązkach i priorytetach. I będzie mogła porozmawiać z Helen.

Helen była cudowna, to nie ulegało wątpliwości.

7 – Niełatwe związki

97

Zdecydowana, wytrwała, barwna, budziła podziw tych, którzy chcieli jej pomóc, i paniczny strach tych, którzy nie chcieli. Nie miała dzieci, a jej małżeństwo runęło pod naporem sprawy, której się bez reszty poświęciła. To utwierdziło ją w przekonaniu, że mężczyźni nie dorośli do związków opartych na zasadzie partnerstwa. Lubiła jednak seks i miała całą plejadę kochanków, przeważnie o wiele od niej młodszych. W czasie znajomości z Helen sprawiali wrażenie ludzi ogłuszonych i całkowicie bezwolnych, ale żaden nie przetrwał długo. Po otrzymaniu odprawy kręcili się wokół Mansfield House w nadziei ujrzenia Helen lub czatowali na Kate, by zapytać, czy nie mogłaby posklejać rozbitego dibanka. Kate zrozumiała wkrótce, że najlepszą rzeczą, jaką może dla nich zrobić, choć wydaje się to okrutni, jest mówić prawdę.

— Przykro mi, Matt. Zmęczyła się tobą.

— Zmęczyła się mną?*

— Tak.

— Ale ona się nigdy, do cholery, me flacczy!

— Nie męczy się w Mansfield House.

— Tylko mną...

— Tylko tobą.

— A jeżeli znajdę pracę?

— To bez różnicy. Kiedy Helen się zmęczy, jest zmęczona.

— Chcesz powiedzieć, kiedy zmęczy się facetem. Nigdy nie męczy się kobietami.

— Nie.

— Więc jest pieprzoną lesbą.

— Nie.

— Poddaję się.

— Słusznie. To właśnie powinieneś zrobić. Poddać się i odejść.

Kate polubiła Helen. Helen należała do kobiet, które muszą przewodzić, wykonywanie cudzych poleceń nie wychodzi im najlepiej. Kate nie przeszkadzało słucha-

nie innych. Przynajmniej było tak przez ostatnich pięć lat. Wpadała do Mansfield House rano, wiedząc, że pod koniec dnia może się ulotnić, i właśnie ta świadomość zmuszała ją do przychodzenia jak najczęściej. Była w tej pracy dobra, bez dwóch zdań, spokojna, nie narzucająca się, niestrudzona. Cierpliwie tłumaczyła kobietom ciągle od nowa, że powinny prowadzić schronisko same dla siebie, jeżeli chcą zdobyć niezależność i nauczyć się żyć na własną rękę.

— Nie wiesz, jak to jest — słyszała ciągle. — Nie wiesz, jak to jest, kiedy człowiek ma tak niskie mniemanie o sobie, że nawet nie szuka w życiu kogoś, kto nie byłby damskim bokserem.

Nie wiedziała, oczywiście. Czy ktoś żyjący z uprzejmym, serdecznym Jamesem może wiedzieć, naprawdę wiedzieć, jak to jest trwać w pogardzie do siebie, w wiecznym mdlącym strachu?

— Odczuwałam ulgę, kiedy mnie uderzył — powiedziała jej jedna z kobiet. — Nareszcie mogłam przestać czekać, że to zrobi. Czekanie było zawsze najgorsze.

Nikt nigdy nie uderzył Kate. Nikt również nie uderzył Helen.

— I właśnie dlatego — powiedziała Helen do Kate — powinnyśmy pomagać innym.

Kate zawsze się z tym zgadzała, więcej niż zgadzała, była wdzięczna za to, że może pomóc. A teraz... Teraz, siedząc w autobusie, który przebiegał się zatłoczoną Woddstock Road, nie czuła wdzięczności, lecz niechęć.

Oczywiście nie przestała żałować maltretowanych kobiet i nadal podziwiała, bardziej może niż kiedykolwiek, niezwykle zalety Jamesa; problem polegał na tym, że tak naprawdę nie czuła ani tego żalu, ani tego podziwu. „Wiem to — powiedziała sobie — ale jakoś nie mogę poczuć. Nie boję się, prawda? Nie boję się pomagać Helen? Chyba nie. Ale boję się starości, nagle zaczęłam się jej panicznie bać. Nie wiem dlaczego. Wiem tylko, że to odsuwa mnie od Jamesa”.

Autobus zatrzymał się na końcu St Margaret Road. Kate wysiadła i stała przez chwilę na chodniku. Wypełniała ją irracjonalna zazdrość o ludzi w autobusie, odpływających leniwie na północ ku cudownie monotonnemu życiu bez wstrząsów i załamań. Ostry wiatr wzbijał wokół jej nóg wiry piasku i śmieci. Pomyślała o Marku. Mark miał trzydzieści dwa lata. Cztery lata temu ona miała trzydzieści dwa lata, a kiedy miała trzydzieści dwa lata była szczęśliwa. Och, pomyślała ze złością, ty skomlała krowo, ty rozpuszczona, skomlała krowo. Zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła w stronę Mansfield House.

W Mansfield House panował sądny dzień. Mąż, drobny blady mężczyzna, który, z pozoru sądząc, nie byłby w stanie skrzywdzić muchy, wykorzystał fakt, że ktoś zostawił otwarte drzwi i wtargnął, domagając się zwrotu żony. Znalazł ją w sypialni, którą dzieliła z jeszcze jedną rodziną. Była sama z raczkującym dzieckiem i słała łóżka. Mąż najpierw błagał, potem wrzeszczał, i choć kobieta oparła się błaganiom, załamała się pod naporem wrzasków. Mąż włókł ją, łkającą, w dół schodami, kiedy nadciągnęła odsiecz. Trzeba było trzech kobiet, żeby go od niej oderwać i wyrzucić za drzwi. Wszystkie dzieci wyszły na korytarz, by obejrzeć widowisko, takie znajome i takie straszne. Synek tego mężczyzny, przerażony i zagubiony, próbował pójść z ojcem i awantura rozpętała się na nowo.

Kiedy Kate dotarła do Mansfield House, mąż siedział na chodniku i nawoływał synka.

— Chodź do tatusia, Paul, chodź do tatusia. Tatus się o ciebie zatroszczy, Paul. Tatus cię kocha.

Kate wyminęła go.

— Dziwka — powiedział mężczyzna.

Na schodach w hallu roił się tłum. Wszyscy byli zdenerwowani, nikt nie mógł znaleźć Helen.

— Kate! — krzyknęła jedna z kobiet. Tłum na

schodach odwrócił się ku drzwiom. Kate spojrzała w górę. Zatrzymała się w hallu, zaraz przy drzwiach, i popatrzyła na masę twarzy, masę zapłakanych, oszalałych twarzy. Hałas narastał i narastał.

— Kate!

Zdawało jej się, że masa pęcznieje, jakby miała spłynąć ze schodów i wchłonąć ją, wessać w swą rozpacz i zachłanne uzależnienie, we wrzaskliwą, bezradną klęskę. Cofnęła się.

— Kate! Dzięki Bogu, że przyszłaś. Och, Kate...

Wyciągnęła za siebie rękę, szukając klamki, nacisnęła ją i odwróciwszy się na pięcie, pchnęła drzwi. Zbiegła ze stopni, omal nie przewracając się o mę-ża-awanturka. Potem zaczęła biec.

Mężczyzna obejrzał się za nią.

— Dziwka! — zawołał.

Beatrice Bachelor siedziała w wiklinowym fotelu Leonarda. Joss ją przyprowadziła. Joss zjawiała się w domu na Cardigan Street i wyjaśniła, że Leonard chce, żeby przyprowadziła do niego Beatrice.

— Jaki jest twój stryjek? — zapytała Beatrice.

— On nie jest moim stryjkiem.

— No dobrze — Beatrice знаła namietność Joss do nazywania rzeczy po imieniu. — Jaki jest stryjek kochanka twojej matki?

— Chudy — odpowiedziała Joss. — Stary.

— Ma zapewne jakąś osobowość?

— Nie wiem. Jest stary. Trochę dziwaczny.

— A ty jesteś banalna. Ograniczona. Ależ nudno się z tobą rozmawia. Joss patrzyła, jak Beatrice zawiązuje na głowie chustkę. Przyjmowała spokojnie besztania Beatrice, choć nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego. Głaskała kota, który wbił się jej w łydękę pazurami zakrzywionymi jak tureckie szable.

— Au!

— Gnuśność twojego umysłu mnie przeraża — powiedziała Beatrice. — Przeraza mnie to, że pozwalasz swojemu mózgowi tkwić w tym rozmam-łanym lenistwie.

Joss uśmiechnęła się szeroko.

— Ale przynajmniej doprowadzam panią do pasji.

— Jeżeli postawiłaś sobie tak niski cel, to osiągnęłaś go oczywiście...

— Niech się pani nie złości — powiedziała Joss. Przytuliła policzek do pasiastego łba kota. — Będzie się pani mogła wyłóścić na stryja Leonarda. On uwielbia się kłócić.

Leonard nie miał zamiaru kłócić się z Beatrice. Chciał ją jedynie obejrzyć. Trudno mu było wyobrazić sobie osobę, która wywołała taką falę niepokoju w Willi Richmond. Wysłał Jamesa po ciasto z owocami i próbował namówić Joss na zrobienie kanapek.

— Sam je sobie zrób.

— Leniwe ladaco. Od czego właściwie są kobiety?

Pokuśtykał do kuchni, zrobił pulchną papkę z chleba, masła i dżemu, i ubrudził sobie kamizelkę. W jego wykonaniu stos kanapek wyglądał jak namiot, który się zawalił z całą gromadą ludzi w środku. Dżem znajdował się również pod spodem talerza.

— Kurewskie gotowanie — powiedział Leonard, zanosząc efekt swoich wysiłków na piętro.

— Czy najpierw pan kroił, czy smarował? — zapytała Beatrice Bachelor, spoglądając na kanapkę w kształcie rombu.

— Jak popadło — powiedział Leonard. Uśmiechnął się do Beatrice szeroko.

Piękna nie jest, stwierdził, i nigdy nie była. Równie dobrze można by pójść do łóżka z torbą na kije golfowe. Leonard miał bardzo ubogie doświadczenia erotyczne, ale im bardziej się starzał, tym mocniej wierzył, że to, o czym marzył,

naprawdę się zdarzyło, że przydarzyły mu się te wszystkie piersiaste, długonogie kobiety, które zawsze wielbił, jak również te troszkę wulgarne, o schrypniętych głosach, które wiedziały co i jak. Ostatnim razem, kiedy jechał pociągiem, siedział naprzeciwko właśnie takiej kobiety, wbitej w kosztowną niebieską garsonkę ze złotymi guzikami. Przez całą drogę czytała "Reader's Digest" i metodycznie zjadała batony czekoladowe, podczas gdy Leonard chłonał ją wzrokiem. Wyobrażał sobie, jak wyglądałaby w gorsecie, pasie do pończoch i podwiązkach. Beatrice z całą pewnością nigdy nie miała na sobie gorsetu.

— Liczyłam na to, że poznam pannę Bain — powiedziała Beatrice.

— Poszła do swojego przytułku. Wróci dopiero na kolację.

— Przytułku?

— Maltretowane kobiety. Chodzi tam, żeby słuchać babskiego gadania i wyprowadzać dzieci do ubikacji.

— Jak to ładnie z jej strony!

Leonard ugryzł kanapkę. Dżem wypłynął po bokach i skapnął ciemnymi kroplami na spodnie.

— Wie pani, ona nie wyjdzie za Jamesa.

— A powinna? Leonard nachmurzył się.

— Oczywiście.

— Ponieważ tak wypada?

— Nie — powiedział Leonard, trąc spodnie odrażającą chusteczką do nosa. — Ponieważ nie uspokoją się, dopóki tego nie zrobią.

— A! — powiedziała Beatrice. Odchyliła się na oparcie fotela i spojrzała na Leonarda. Przypominał jej portrety pędzla Ronalda Searle'a. — Nigdy nie byłam zamężna. A pan?

— Nigdy!

— Więc może nie bardzo się na tym znamy. Leonard przybrał lekko kpiący wyraz twarzy.

— To na czym się pani zna?
— Na starości — powiedziała Beatrice. Leonard pochylił się nad stołem.
— Co pani o niej myśli? Beatrice upiła łyżeczek herbaty.
— Myślę, że jest zdradziecka.
— Da się o niej powiedzieć coś dobrego?
— Bardzo niewiele. Leonard opuścił ramiona.
— Wiem — powiedział. — Jest obmierzła. Czasami mnie przeraża. —
Przyglądał jej się badawczo. — Dlatego chciałem, żeby pani przyszła.
Beatrice czekała. Patrzyła, jak Leonard porusza bezgłośnie ustami, i wcale
nie była zaskoczona, kiedy powiedział:
— Chcę porozmawiać o eutanazji.
Potem czatował na Kate w kuchni. Kate chodziła, chodziła bez końca po
całym Port Meadow w ponurej, późnozimowej szarości i wróciła do domu
zmęczona i poirytowana. Leonard powiedział:
— Zgadnij, kogo miałem na herbacie?
— Królową — odparła Kate, zastanawiając się, czy ćwierć kilo mielonego
mięsa da się zamienić w: a) posiłek dla czworga, b) coś, co swoim wyglądem
nie będzie przypominało mielonego.
— Pudło.
— Papieża — powiedziała Kate. — Marylin Monroe.
— Blisko, bardzo blisko. Beatrice Bachelor, we własnej osobie.
— Nie poddasz się, prawda? — powiedziała Kate ze znużeniem. — Nigdy się
nie poddajesz.
— Rzecz w tym — powiedział Leonard, kuśtykając ku niej — że nie
przedstawia sobą żadnego zagrożenia. Zero. Stara panna. Stara belferka.

— Wiem.

— Ma odwagę, o tym mogę cię zapewnić. I charakter. Rzuciła dowcip czy dwa. Ale jest tylko zabawną starą kobietą, Kate, to wszystko.

— Wiem.

— Dlaczego więc, u licha, wkurzasz się na Jamesa o to, że jest miły dla zabawnej starej kobiety?

— Właśnie dlatego.

James nie był z natury wylewny. Był człowiekiem otwartym, ale zwierzał się niechętnie. W stosunkach z Hughem występował niezmiennie w roli słuchacza, choć zdarzały się wyjątki. Wyjątkiem była śmierć żony, kiedy James odkrył w sobie ogromną potrzebę mówienia, a raczej powtarzania tego samego w kółko. Teraz, zmartwiony i nieszczęśliwy z powodu Kate, nie chciał rozmawiać z nikim, nawet z Hughem. Zresztą, nie miał nic do powiedzenia, prócz tego, że jest zmartwiony i nieszczęśliwy, i że jego zdaniem Kate jest również zmartwiona i nieszczęśliwa. Jedyłą osobą, z którą chciał porozmawiać, była sama Kate, ale ona nie mogła czy może nie chciała. James tęsknił za nią. Leżał obok niej w łóżku, siedział naprzeciwko niej przy stole i tęsknił.

— Kocham cię — powiedział, próbując przytrzymać ją w drzwiach. —

Kocham cię. Czy to nie jest dla ciebie żadna pociecha? Czy to nie wystarczy? Smutek okrył Jamesa jak wyziębiony płaszcz. Czasami myślał, że to coś gorszego niż smutek, to była żałość. Pisząc artykuły, ucząc, chodząc w kieracie domowych spraw, rozmawiając z Leonardem i próbując rozmawiać z Joss, wyobrażał sobie, że ten płaszcz jest widoczny tylko dla niego. Toteż zdziwił się bardzo, kiedy w Willi Richmond zjawił się Hugh. James zabrał go do gabinetu.

Hugh był w dobrym nastroju. Przeszedł się tam i z powrotem po zielonym dywanie Jamesa i opowiedział mu o sukcesie w rapswelskim klubie golfowym. Następnie obsługiwał supermarket, potem klub zdrowia, wszystko chleb z masłem.

— A teraz najważniejsze — powiedział Hugh, odwracając się ku Jamesowi.

— Co? - Ty. James czekał.

— Chcę cię prosić o pomoc, James. Chcę, żebyś mi pomógł przy tym programie o eutanazji. Mojemu producentowi pomysł się spodobał. Bardzo się spodobał. Beatrice zgodziła się mówić, gdy tylko wyjaśnimy sprawę z prawnikami. I zgadnij, kto zadzwonił do mnie wczoraj.

— No, mów.

— Leonard.

— Leonard? Hugh uśmiechnął się.

— Twierdzi, że został nawrócony.

— Marzy po prostu o dostaniu się do telewizji.

— Czy to nie wszystko jedno? Pomożesz mi? Przekonasz Beatrice, żeby poszła krok dalej, znalazła jeszcze kogoś, najlepiej tego lekarza?

— Dlaczego zwracasz się z tym do mnie? — zapytał James. — Nigdy dotąd tego nie robiłeś. Dlaczego teraz?

Hugh przyjrzał mu się bacznie. Wsadził ręce w kieszenie.

— Ponieważ nie ma lepszego lekarstwa na smutek niż praca.

— Nie jestem smutny.

— Nie?

— Czuję się znakomicie.

— Więc nie jesteś zainteresowany...?

— Oczywiście, że jestem zainteresowany, temat jest fascynujący...

— James, przyjaźń ma to do siebie, że działa w obie strony. Trzeba brać, ale i dawać. Mnie wyjdzie na dobre twoja obecność, tobie wyjdzie na dobre praca ze mną, może i Kate na tym skorzysta.

— Kate.

Zapadła chwila milczenia. Potem Hugh powiedział:

— No dalej, brachu. Powiedz „tak”. Co masz do stracenia?

Dom Marka Hathawaya w Osney wydał się Kate pełen uroku, pełen niefrasobliwego uroku i pogody. Stał przy West Street, a jego okna wychodziły na wąski kanał i trójkąt trawnika po drugiej stronie, między wodą a kościołem Świętego Frideswide'a. Mark urządził sobie mieszkanie na pierwszym piętrze, a pokoje na parterze wynajął hinduskiemu doktorantowi z Edynburga i dziewczynie, która pracowała w oksfordzkiej firmie architektonicznej.

Dwie duże sypialnie połączył w jeden salon. Kiedy Kate weszła, światło zdawało się sączyć ze wszystkich stron, wydobywając z mroku nowoczesne meble, kolorowe dywany i popiersie kogoś w amerykańskiej czapce baseballowej.

— Robespierre — powiedział Mark. — Kupiłem go na pchlim targu za dziesięć funciaków.

Na ścianach wisiały plakaty Davida Hockneya, wyrafinowane, posępne czarno-białe fotografie ulic i ludzkich członków, a na regałach, które wyglądały jak metalowe klatki dla ptaków, stały książki.

— Podoba ci się? — zapytał Mark.

— O tak! — Kate obróciła się wolno, obejmując wzrokiem barwne południowoamerykańskie tkaniny, błyszczącą drewnianą podłogę, chłonąc atmosferę oszczędnej elegancji. O tak! Jest urocze. Można tu oddychać.

Trochę tak, jakby się było na balkonie, pomyślała, albo na statku. Chodziła po mieszkaniu, dotykając poduszek i oparcie krzesła, zadziwiona.

— Nigdy nie urządzałam domu — powiedziała, nagle uświadamiając sobie, że to prawda. — Nie w ten sposób, to znaczy nie od podstaw. Po prostu przejmowałam rzeczy innych ludzi. Nie miało to dla mnie znaczenia... — urwała. Wzięła do ręki indyjski świecznik z brązu. — To musi być wspaniałe, uczynić coś dokładnie takim, jakim się chce, uczynić własnym.

— Tak — powiedział, obserwując ją. Kate odstawiła świecznik na miejsce.

— Kłopot w tym, że jestem chaotyczna. Robię przerażający bałagan. James...

— zawahała się, po czym dokończyła: — James dał mi w prezencie talerz z napisem: „Kobiety schludne są nudne”. Może gdybym miała coś swojego, byłabym porządniejsza, chciałabym być.

— Gdzie mieszkałaś, zanim poznałaś Jamesa?

— Dzieliłam mieszkanie z pięcioma innymi dziewczynami. Nigdy nic w nim nie zmieniłyśmy.

— Dlaczego?

— Nie robiło mi to różnicy — powiedziała Kate. — To nie wydawało się ważne. Ważna była Joss...

— Joss?

— Moja córka. Miałam przyjaciela Kanadyjczyka. Zmył się, kiedy mu powiedziałam, że jestem w ciąży.

— Na różnych etapach życia różne rzeczy wydają się ważne. Nie sądzisz? Spojrzała na niego.

— Miałam dwadzieścia dwa lata, kiedy urodziła się Joss.

— No więc, jestem młodszy od ciebie, ale miałem dziesięć lat wolności więcej.

— Nie przetrwałabym bez Joss...

— Nie to miałem na myśli. Chciałem powiedzieć,

że nie mogłaś skorzystać z wolności wtedy, ale możesz zrobić to teraz.

— Skorzystać — powtórzyła Kate. — Wolność. — Podniosła różowo-czerwoną poduszkę haftowaną w szorstkie wełniane ptaki i przytuliła ją do siebie. — W tym pokoju czuję się wolna.

— Ja też.

— Czasami — powiedziała Kate — ludzie potrafią tak przytłoczyć, że nie można oddychać. Zawsze myślałam, że moim obowiązkiem jest słuchać ludzi, pomagać im. Ale teraz... — głos jej zamarł. Przyłożyła policzek do poduszki.

— Jak mówiłem — odezwał się Mark, przyglądając się Kate — są różne etapy w życiu. Nie możesz oczekiwać, że pozostaniesz zawsze taka sama. W końcu jesteś organiczna. — Podeszedł do niej. — Nie musisz przyjmować wszystkiego jak leci, nie musisz wiecznie akceptować. Masz prawo zmienić się w pro-tagonistkę; masz prawo decydować o swoim życiu. Trzydzieści sześć lat to jeszcze żaden wiek. Na pewno nie za późno, by zacząć wszystko od nowa.

Kate westchnęła. Wolno odłożyła poduszkę między jej koleżanki na niskiej sofie.

— Chcę pójść z tobą do łóżka — powiedział Mark.

— Teraz?

— Najchętniej.

Przyglądała mu się spokojnie. Był oczarowany jej brakiem kokieterii.

— Nie będę domagał się ciebie na własność — powiedział. — Nie dołączę do ludzi, którzy cię duszą. — Powiódł ręką, wskazując pokój. — Tu masz dowód: moje życie, moja tożsamość. — Ze śmiechem wyciągnął ku niej dłoń.

— Chodź — powiedział. — Chodź. Spędzimy uroczo czas.

Potrząsnęła głową.

— Nie.

103

— Nie lubisz mnie?

Zawahała się. Odczuwała tęsknotę, bez wątpienia, ale zdawała sobie sprawę, że nie jest to namiętność.

— Jesteś bardzo atrakcyjny — powiedziała. — Naprawdę. Ale...

— Jeszcze nie?

— Raczej nie.

Odwrócił się, zaciskając pięści.

— Cóż za rozczarowanie.

— Czy po to mnie tu zaprosiłeś?

— Częściowo — powiedział. — I chciałem, żebyś zobaczyła, gdzie mieszkam.

— Cudowne miejsce. Szczęściarz z ciebie. Mark otrząsnął się z lekka i odwrócił twarzą

do Kate.

— Więc co chcesz zrobić?

— Chciałabym obejrzeć Osney.

— To ci zajmie dziesięć minut.

— Świetnie — odparła. Czula niepokój, pragnienie, by wyjść.

— Wiesz co — powiedział Mark. — Idź na spacer na piętnaście minut, a ja w tym czasie przygotuję herbatę. Będzie gotowa jak wrócisz.

— Cudownie. Wspaniale. Dzięki.

Zeszła ze schodów. W hallu Hindus-doktorant mówił do telefonu z silnym szkockim akcentem. Kate prześliznęła się obok niego i wyszła na ulicę, której drugą stronę stanowiła rzeka. Na wodzie siedziały pardwa i łyska, a na trawiastym trójkącie po drugiej stronie leżały płaty śniegu. Były tam również drzewa.

Kate spacerowała po pięciu uliczkach Osney z rosnącym zachwytem i niedowierzaniem. Jak to możliwe? Mieszka w Oksfordzie przez całe życie i nie wiedziała, że tuż za stacją ciągnie się ta nadrzeczna dzielnica, ulice ceglanych willi z malowanymi stiu-kami, z dziwną, nieomylnie cudzoziemską atmosferą,

wyspa oddzielona od otaczających ją szkół, fabryk i redakcji prasowych cichą oliwkowozieloną barierą rzeki i kanału? Było tu parę pubów, zamknięty sklepik z antykami, mały supermarket, a we frontowych oknach, niemal na poziomie wąskich chodników, stały pelargonie i grupy zwierzątek z brązu i porcelany. Na South Street chłopiec pomachał jej z okna na piętrze, na East Street spotkała mężczyznę z klatką dla ptaków i bochenkiem chleba. Na Swan Street, ślepej uliczce kończącej się białym mostkiem, zobaczyła niezwykłą kobietę w brokatowym kapeluszu. Prowadziła na czerwonej smyczy ogromnego pucha-tego chow-chow. Kate wróciła na West Street rozpromieniona.

— Cudowne miejsce! Nigdy bym nie przypuszczała, że tu jest tak ładnie! Mark przyrządził chińską herbatę w dzbanku z bambusową rączką.

— Po Jerycho to jest jak inny świat — powiedziała Kate. — Woda, światło, atmosfera! W Jerycho nie można oddychać...

— Winien ci jestem przeprosiny — powiedział Mark. Podał jej czarny kubek.

— Nie gniewam się. — Powędrowała wzrokiem ku zachodniemu oknu i łysce, i białej główce, która kołysała się na wodzie.

— Rzecz w tym — głos Marka nabrał głębi — że boję się odtrącenia. Prę naprzód i jestem wściekły, kiedy nie odnoszę natychmiastowego sukcesu.

— Nie odtrącam cię — powiedziała Kate. — Odkładam cię na potem.

— Wiem, wiem. Nie winię cię. Winię samego siebie.

Kate upiła łyk herbaty.

— Zapomnijmy o tym — powiedziała. Nie była tak szczęśliwa od tygodni. — Cudowna herbata.

— Przyjdiesz jeszcze?

— Naturalnie.

Zbliżyła się do okna. Za dwoma maleńkimi ogródkami zobaczyła tyły domów na Bridge Street, a w oknie pierwszego piętra, dokładnie naprzeciwko mieszkania Marka, młoda kobieta wieszała firanki.

— Zobacz — powiedziała Kate. — Mark! Chodź, zobacz!

Staął przy niej. Kate pokazała mu kobietę.

— Chciałabym — powiedziała — chciałabym być tą kobietą.

7

Helen nie chciała mieć biura w Mansfield House. Twierdziła, że przytułek jest nie tylko domem, ale i demokratyczną odpowiedzialnością jego mieszkanek, toteż nie powinno w nim być pokoju służącego rozwiązywaniu problemów. „To sprawia, że ludzie w ogóle przestają je rozwiązywać — mawiała Helen — i ulegają pokusie, jaką jest zwalenie odpowiedzialności na kogoś innego”. W Mansfield House przesiadywała zazwyczaj w kuchni, gdzie mogła mieć pewność, że nikt nie przydybie jej samej.

Było to wielkie pomieszczenie w bocznym skrzydle domu, wychodzące na zaniedbany ogród. Pod jedną ścianą znajdował się rząd kuchenek gazowych, na środku ogromny stół, a dwuskrzydłowe oszklone drzwi, do wysokości metra usmarowane dziecięcymi paluszkami, otwierały się na wyłożony brukową kostką wybieg. Stał tam smagany zimowym deszczem, zapomniany, czarny piec do barbecue. Kuchnia nigdy nie była pusta; pod każdym względem spełniała funkcję wspólnej sali.

Kiedy pani Cheng schroniła się w Mansfield House, wygląd kuchni przyprawił ją o wstrząs. Plemienna wspólnota wszystkiego — od rozpuszczalnej kawy

8 – Niełatwa związki

113

po dzieci — hałas, zaśmiecony stół, pełne popielniczki i nie wymiecione kąty budziły w niej oburzenie i lęk. Przez całe życie funkcjonowała w ściśle, a prawdę mówiąc, brutalnie zarządzanym środowisku bistra „Na wynos” przy Iffley Road i początkowo czuła się zagubiona w tej huczącej, spontanicznej wspólnocie kobiet. Sprząatanie kuchni stało się dla niej kołem ratunkowym i uczepiła się go w tych pierwszych tygodniach, kiedy wszystko wskazywało na to, że zamieniła jedno piekło na drugie, trochę innego rodzaju.

— Zostaw to — mówiły kobiety, kiedy zawzięcie zmywała podłogę wokół ich nóg. — Przestań. Po co to? Nam wszystko jedno.

Tylko Kate rozumiała, czym jest kuchnia dla pani Cheng. Kate wiedziała, że kulturowa obcość nowego życia wywołuje u pani Cheng niepokój nie mniejszy niż przemoc rządząca dawnym. Uciekła z bistra „Na wynos” (pod pozorem udania się do kiosku po gazetę sportową dla męża, jedyną, jaką czytał), ponieważ była przekonana, że mąż ją zwyczajnie zamorduje. Miesiąc wcześniej zobaczyła na dworcu autobusowym odręcznie malowany plakat o przytułku, naklejony byle jak na rozkładzie jazdy, i przyszła do Mansfield House. Podjęcie tych dwóch decyzji zupełnie ją wyczerpało i pozbawiło wszelkiego poczucia tożsamości. Utrzymywanie przytułkowej kuchni w takim porządku, w jakim niegdyś utrzymywała bistro „Na wynos” i pokoje nad nim, było desperacką próbą zapamiętania, poprzez powtarzanie rutynowych czynności, kim właściwie jest.

Zanim jej szorowanie i polerowanie doprowadziło Mansfield House do obłędu, Kate zabrała stamtąd panią Cheng, by mogła wyładować swoją energię na Willi Richmond. Było to wkrótce po przybyciu Leonarda i dom nie przystosował się jeszcze ani do jego

obecności, ani do jego deprymujących kalesonów, pojawiających się w pralni, ani do jego dziwactw w kwestii jedzenia, ani do jego wszechobecnego, ostrego, starczego zapachu.

— Potrzebuję cię — powiedziała Kate do pani Cheng. — Potrzebuję twojej pomocy. Każdy w tym domu wymaga czego innego, nie podołam temu sama. Pani Cheng bywała już potrzebna w swym życiu jako niewolnica do pracy, ale nigdy jako istota ludzka. Nie miała dzieci — jeden z powodów, dla których mąż ją tłukł — i jej instynkty opiekuńcze były uśpione. Leonard wykorzystał je łączywie, jak rozkapryszone dziecko, ale tak naprawdę potrzebowała ich Kate. Kate, ku zdumieniu pani Cheng, potrzebowała pomocy.

I Kate jej płaciła. Pani Cheng nie otrzymała pensa za nic, co zrobiła w ciągu swojego czterdziestoletniego przypadkowego życia. Pierwszą pensję od Kate nosiła przy sobie przez tydzień, pełna niedowierzania, szczęśliwa i przerażona, że pieniądze zostaną jej odebrane. James przekonał ją z czasem o konieczności założenia rachunku oszczędnościowego, ale dopiero wtedy, gdy przedstawił go jako metodę zabezpieczenia skarbu. Oddanie banknotów dziewczynie w kasie towarzystwa budowlanego było dla pani Cheng ciężkim przeżyciem. Jaką ma gwarancję, że je jeszcze kiedyś zobaczy?

— Wystarczy poprosić — powiedziała z uśmiechem dziewczyna.

Pani Cheng wyciągnęła rękę.

— Oddaj — powiedziała.

Dziewczyna oddała jej banknoty i pani Cheng trzymała je długo w dłoni, walcząc ze sobą. Potem wsunęła je z powrotem w otwór okienka.

— Schowaj — powiedziała dziewczynie — schowaj je dobrze.

Pięć lat później pani Cheng była innym człowie-

kiem. Miała własny pokój, spore konto (oszczędzanie stało się jej pasją) i talent w postępowaniu z Leonardem. Chodziła, zamiast się skradać, przybrała na wadze, wstąpiła do chińskiej organizacji kobiecej, której zebrania odbywały się regularnie w środy i soboty. Nie zmieniło się tylko nasilenie jej uczuć do Kate.

Obecny stan ducha Kate ciążył pani Cheng na sercu jak kamień. Biorąc pod uwagę warunki życia Kate, jej cierpienie było dla pani Cheng niepojęte, ale to w żaden sposób nie umniejszało go w jej oczach. Próbowwała pomóc, robiąc gruntowne porządki w Willi Richmond, przesuwając co cięższe meble, myjąc piwniczne okna i zalewając ubikacje taką ilością chloru, że dom cuchnął jak basen miejski. Nie dość że wszystkie te zabiegi przeszły nie zauważone — jeżeli nie liczyć Joss i Leonarda, którzy narzekali gorzko na sterylny stan pokoi — to na dodatek Kate wyglądała i czuła się coraz gorzej. Po jakimś czasie pani Cheng uznała, że należy zrobić coś więcej, podejść do sprawy z zupełnie innej strony. W rezultacie wybrała się do Mansfield House, by odszukać Helen i wyjaśnić jej, najlepiej jak potrafi, że z Kate nie jest dobrze. Helen siedziała w kuchni z dzieckiem na kolanach. Chłopiec rysował mozolnie flamastrem na starej gazecie. Wzdychał ciężko przy robocie, a palce miał umazane niebieskim i zielonym tuszem.

— Porozmawiać na osobności — powiedziała pani Cheng do Helen.

— Proszę bardzo — powiedziała Helen. — Znasz reguły. — Poklepała stołek obok siebie. — Usiądź i powiedz o co chodzi.

Pani Gheng podziwiała Helen, ale jej nie lubiła. Helen była zbyt ważna, zbyt wspaniała w swoich cygańskich strojach i cygańskiej biżuterii, zbyt ekspansywna w gestach i zachowaniu.

— Nie — powiedziała pani Cheng. — Kate.

— Kate?

Pani Cheng skinęła głową. Helen popatrzyła na nią uważnie. Przytułek był bardzo poruszony zachowaniem Kate. „Zupełnie jakby wpadła w panikę— powiedział ktoś — jakby nie mogła temu podołać, nie mogła tego znieść”. Helen wstała, rozsiewając zapach olejku jaśminowego, i posadziła chłopca na sąsiednim stołku.

— OK — powiedziała do pani Cheng. — OK. Pójdziemy do mojego samochodu.

— Mam ci parę rzeczy do powiedzenia — oznajmiła Helen. Zaprosiła Kate na zupę cebulową do bistro nad krytym bazarem. Kate nie jadła zupy, tylko przesuwiała grzanki z jednego brzegu talerza w drugi, jak dziecko bawiące się kaczkami w wannie.

— Chcę — powiedziała Helen — żebyś przestała się zadręczać poczuciem winy.

Kate znalazła krążek cebuli i obwinęła go dookoła łyżki.

— I chcę, żebyś zjadła tę zupę. Kate zjadła krążek cebuli.

— Słuchaj —• powiedziała Helen. Wsparła łokcie na stole i z brzękiem bransolet splotła dłonie. — Związki między kobietami i mężczyznami znajdują się obecnie w stadium przejściowym. Jeszcze długa droga przed nami, a kiedy coś jest na etapie przejściowym, ludzie zaczynają się bać i upadają na duchu. Opinie ulegają polaryzacji. Ludzie cofają się do stanu pierwotnego, bo chociaż nie idealny, jest im przynajmniej znany.

Kate czekała. Długa praktyka w obcowaniu z Helen nauczyła ją, że im rzadziej będzie przerywała, tym Helen prędzej przejdzie do rzeczy. Zjadła kolejną cebulkę i malutki kawałek grzanki.

— Uważam — powiedziała Helen — że twój związek z Jamesem dobiegł naturalnego końca. James nie chce spojrzeć prawdzie w oczy, udaje więc, że przechodzisz trudny okres i wszystko wróci do normy, kiedy z niego wyjdiesz. Ty również nie chcesz się z tym pogodzić, więc uciekasz w poczucie winy. James nie stłukł cię, nie zgwałcił, nie dręczył moralnie, więc uważasz, że nie masz dość dobrego powodu, by odejść, i jesteś stroną winną. Kate sączyła wodę mineralną.

— To powszechny problem — ciągnęła Helen. — Kobiety inwestują o wiele więcej w małżeństwo niż mężczyźni, a twój związek z Jamesem nie jest małżeństwem jedynie z nazwy. Rzecz w tym, Kate, że dałaś mu za wiele z siebie. Jesteś psychicznie wycieńczona. Jeżeli zostaniesz, będziesz nie tylko wycieńczona, będziesz zniszczona.

Helen umilkła. Zaczęła szybko jeść swoją zupę i Kate zrozumiała, że teraz ona powinna coś powiedzieć.

— Lubię opiekować się ludźmi — powiedziała bez przekonania. — Przynajmniej kiedyś to lubiłam.

— Oczywiście. Do tego właśnie zmierzam. Oddałaś zbyt wiele i teraz ponosisz tego konsekwencje.

— Ale James o nic nie prosi. I opiekuje się mną.

— O Boże! — powiedziała Helen, obficie smarując masłem francuski chleb.

— Faktycznie jesteś zagubiona.

— Nie. Jestem smutna, ale nie zagubiona.

— Więc co masz zamiar zrobić?

Kate zawahała się. Helen odchyliła się na oparcie i badała ją wzrokiem.

— Więc?

— Znalazłam dwa pokoje w Osney.

Helen nic nie powiedziała. Podciągnęła rękawy luźnego peruwiańskiego swetra, wyjęła z ciemnych włosów plastikowe grzebienie w tygrysie prążki i wpięła je na nowo pod innym kątem.

— Kate, czy tu chodzi o innego mężczyznę? Kate odsunęła miseczkę z zupą.
— Rzeczywiście poznałam kogoś, ale nie zakochałam się w nim, zakochałam się w tym, jak mieszka, gdzie mieszka.
— Niech zgadnę, czyżby w Osney?
— Nie musisz szydzić — powiedziała Kate, nagle rozzłoszczona.
— Możesz zamieszkać w Mansfield House...
— Nie. Dziękuję ci, ale nie. Będę pracowała na pełen etat u Christine i zamieszkam na Swan Street.
— Z Joss?
— Oczywiście, że z Joss! Helen przyjrzała jej się badawczo.
— Więc nie możemy liczyć na twoją pomoc w Mansfield House?
— Przynajmniej przez jakiś czas, dopóki nie poczuję... — urwała. Nie chciała mówić Helen o zmianie, jaka nastąpiła w jej uczuciach do Jamesa, o tym, że się go boi.
Helen czekała. Kate nie powiedziała nic więcej. Helen zabrała więc z podłogi swoją ogromną haftowaną sakwę i poklepała Kate po ręce.
— Postępujesz słusznie. Człowiek musi sam położyć kres przymusowi i tyranii, nikt tego za niego nie zrobi.
Kate spojrzała jej prosto w oczy.
— Właśnie — powiedziała.
A w kuchni Mansfield House Helen zastała nieznajomą, grzeczną, zadbaną nieznajomą w okularach, która powiedziała, że nazywa się Julia Hunter.
— Jestem znajomą Kate Bain.
— I przysłała pani tu z jej powodu? — zapytała Helen. Julia zrobiła na niej wrażenie kobiety głęboko, niebezpiecznie konwencjonalnej, która namawiałaby

Kate raczej do poślubienia Jamesa niż opuszczenia go.

— Nie — powiedziała Julia z uśmiechem. — Ale dzięki Kate wiem, do kogo się zwrócić. Pracuję dla Midland Television — zamilkła na sekundę, a potem powiedziała z nieświadomą dumą w głosie: — Zbieram materiały do nowego cyklu zatytułowanego „Night Life”.

Kobiety w kuchni przestały mieszać w garnkach i posykiwać na dzieci.

— Telewizja — powiedział ktoś. Wszystkie oczy, wlepione dotąd w ubranie Julii, przylgnęły do jej twarzy. Julia uśmiechnęła się, by ukryć błysk paniki — i litość, jaką czuła przyrównując te dzieci do George'a i Edwarda, w tej chwili pławiących się w rozkoszach przedszkolnej zabawy wielkanocnej.

— Celem programu — powiedziała Julia tak łagodnie, jak tylko potrafiła — jest ukazanie innego życia, które się rozpoczyna, kiedy to bardziej konwencjonalne wróci już z pracy do domu i uzna, że odfajkowało wszystko aż do następnego ranka.

Rozległy się śmiechy.

— Jakoś, cholera, tutaj nie zagląda.

— Chcesz przyjść i sfilmować kąpanie dzieciaków?

— Zapłacicie nam? — zapytała Helen, przyglądając się Julii. — Dom nie jest przedsiębiorstwem dochodowym. Nie stać nas na to, by robić coś za darmo, choć reklama bardzo nam się przyda.

Julia otworzyła usta, żeby powiedzieć, że decyzja należy do producenta, i zamiast tego powiedziała: — Oczywiście.

— Dobra — odparła Helen. Gestem przywołała kobiety stojące kręgiem wokół nich. — Porozmawiajmy. Przedyskutujmy to.

Trochę później Helen odprowadziła gościa do samochodu. Słuchając Julii zmieniła zdanie na jej temat, przestała uważać ją za coś w rodzaju zakonspirowanej policjantki i zaczęła dostrzegać jej przydatność dla przytułku.

— Powiedziałaś, że znasz Kate?

— Tak — odparła Julia. — Nasi mężowie są starymi przyjaciółmi.

Helen oszacowała ją wzrokiem. Julia wyglądała jeszcze młodziej od Kate, choć mogła to być sprawa jasnej karnacji.

— Jeszcze jedna... - Słucham?

— Jeszcze jedna młodociana żona.

Julia wyjęła z torebki kluczyki od samochodu. Jej zdaniem Hugh w niczym nie przypominał Jamesa; to, że byli rówieśnikami, uznała za zwykły zbieg okoliczności. Bądź co bądź, James nigdy o sobie nie dbał i było to po nim widać.

— Cóż za impertynencka, niestosowna uwaga.

— Doprawdy? — powiedziała Helen, niewzruszona.

Julia wsunęła klucz w zamek i przekreśliła. Ta Helen, taka wielka i cygańska, i pewna siebie, należała do kobiet, które nie budziły niechęci Julii, ba, które mogłaby polubić. Przełknęła ślinę. Być może nie da się prowadzić czegoś tak wspaniałego jak Mansfield House, nie będąc bezczelną impertynentką.

Obdarzyła Helen najpiękniejszym uśmiechem, na jaki było ją w tym momencie stać.

— Zadzwoń, żeby ustalić terminy spotkań — powiedziała ponad dachem samochodu.

— I płatności — dodała Helen.

Patrzyła za samochodem. Interesujące. Co sprawia, że kobiety dobierają sobie partnerów dwa razy starszych od siebie? Czy to możliwe, zastanawiała się Helen wchodząc na schody Mansfield

House, czy to możliwe, by robiły to w nadziei, że w ten sposób na zawsze pozostaną dziewczętami we własnych oczach?

Julia zabrała chłopców z przedszkolnego przyjęcia. Byli purpurowi z nadmiaru wrażeń, koszule wystawały im ze spodni w bardzo nieelegancki sposób, a w rękach dzierżyli torby w bardzo żółte i bardzo zębate zajaczki.

— Paf! — wrzasnął George na widok matki.

— Mam nadzieję, że byli grzeczni? — zapytała Julia z niepokojem Frederikę MacBride, przedszkolankę.

— Idealnie grzeczni — odparła Frederica, która mówiła to wszystkim matkom, by zaznaczyć, że żadne dziecko nie może być niegrzeczne w jej obecności. Julia przyklękła, by wepchnąć Edwardowi koszulę w spodnie, podczas gdy on podskakiwał w miejscu, uderzając ją torbą po głowie.

— Dość — powiedziała Julia cicho, spoglądając na niego.

Wydał z siebie głośne westchnienie i opuścił torbę.

— Paf! — krzyknął George, podbiegając ku niej. Julia popatrzyła na niego, Edward również się obejrzał.

— Paf! — powiedział George o wiele ciszej. — Paf — wyszeptał.

W drodze do domu Julia zapytała, co robili na zabawie i co jedli. Powiedzieli, że jedli kielbaski i tort, bawili się w muzyczne zgadywanki i szukali wielkanocnego zająca. Zapytała, czy miło spędzili czas, a oni odparli „tak”. Zapytała jeszcze o wiele rzeczy, a oni odpowiadali „tak, tak, tak”, zajęci zdejmowaniem spodni i majtek, co w pasach bezpieczeństwa było zadaniem trudnym, oraz wlepianiem okrągłych niebieskich oczu we wsteczne luster-

ko, by napotkać wzrok Julii, jeżeli w nie spojrzę. Kiedy dotarli do Church Cottage, byli już z grubsza poumierani i dziwnie spokojni. Wtargnęli do domu, ledwo zdążyła odpiąć im pasy, i odszukali Hugh'a, który chodził po kuchni z telefonem w rękę, jednocześnie śmiejąc się i mówiąc do słuchawki. Miał na sobie dżinsy i różową koszulę z podwiniętymi rękawami, palił papierosa i miał potargane włosy, i Julia widząc go takiego spokojnego i szczęśliwego, poczuła przypływ miłości, a także to cudowne uczucie wewnętrznego omdlewania, wywołane nadzieją, że Hugh zechce się z nią kochać.

Hugh nieudolnie bronił się przed bliźniakami jedną ręką.

— Muszę lecieć, dziatwa wróciła. Jasne, jasne. Wspaniale. Więc możecie kręcić? Dzięki za telefon. Ciao. — Odłożył słuchawkę i pochwycił chłopców.

— Nie oparz mnie! — wrzasnął Edward, zasłaniając się teatralnym gestem przed papierosem.

— Zrobię to, jeżeli zechcę. — Pocałował syna. — Mogę zrobić wszystko, co chcę. Jestem twoim ojcem.

Spojrzał na Julię. Speszony, podekscytowany wyraz jej twarzy mówił sam za siebie. Podeszedł do niej, ciągle z bliźniakami w ramionach, i pochylił się, by ją pocałować.

— A więc myślałaś o mnie?

— Och, Hugh...

— Miałaś dobry dzień? — zapytał, nie odsuwając twarzy.

— Tak! Przytułek zgodził się na zdjęcia. Prowadzi go przerażający babsztyl, jedna z tych apodyktycznych, niezależnych kobiet, które uważają, że mężczyźni są pożałowania godni, ale to wszystko razem będzie wyglądało świetnie na ekranie.

— Rozmawiałaś z nią o Kate?

— Na dół! — zażądał Edward. Wyśliznął się z objęć Hugh'a na podłogę.

— Ja też — powiedział George, idąc w jego ślady.

— Nie, nie rozmawiałam. Powinam?

— James bardzo się martwi. Kate sprawia wrażenie nieszczęśliwej.

Zamknęła się w sobie.

— Och, Boże — powiedziała Julia, ale nie myślała

o Kate. — Jakiś sympatyczny telefon?

— Tak. Ostateczny kosztorys programu. Mieścimy się bez trudu.

— To dobrze...

Hugh przechylił się przez stół i zgasił papierosa w popielniczce w niebieskie koguciki, którą kupili na wakacjach w Portugalii. Potem zdjął Julii okulary i otoczył ją ramionami.

— Czy mi się wydaje — powiedział w'jej włosy — czy nie słyszałaś ani słowa z tego, co powiedziałem?

Zachichotała.

— Ponieważ zastanawiasz się, ile czasu zajmie ci zapakowanie bliźniaków do łóżek, żebym... — przesunął dłonią po jej plecach i zagarnął pośladki.

— Przestań — powiedziała radośnie, wykręcając się. Wsunął palce między jej uda.

— Żebym mógł zabrać cię do łóżka i wypieprzyć jak wszyscy diabli?

— Co? — zapytał George.

— Wypieprzyć mamę jak wszyscy diabli — odparł Hugh, tonem towarzyskiej pogawędki.

— Hugh! — zawołała Julia, oczarowana i zgorszona.

— Mamie widać majtki — oznajmił George.

— Nie mów! — powiedział Edward, spiesząc sprawdzić.

Przyjrzeni się uważnie widocznym fragmentom bielizny.

— Czarne — powiedział Edward do George'a. Julia wyrwała się Hughowi i obciągnęła spódnicę.

Śmiała się zarumieniona.

Hugh spojrział w dół, na siebie. Uśmiechnął się szeroko i przeniósł wzrok na Julię.

— Chodź — powiedział. — Zrobimy dzieciakom najkrótszą kąpiel stulecia. Kąpanie dzieci to jedyna czynność, jaką człowiek może wykonywać zgięty w pół.

Joss leżała na łóżku o wczesnym wiosennym zmroku. Myślała, że po raz pierwszy w życiu jest, być może, odrobineczkę szczęśliwa. Ponieważ nie było to uczucie, do którego zdążyłaby przywyknąć, czy które nauczyłaby się cenić, nie bardzo wiedziała, co z nim dalej zrobić. Leżała więc na łóżku w półmroku, w ciszy, po prostu trwając.

Najdziwniejsze, naprawdę dziwne było to, że źródłem, przyczyną tego wspaniałego stanu była panna Bachelor. Gdyby nie panna Bachelor, Garth nigdy nie zauważyłby Joss i Joss nie leżałaby teraz na łóżku, ślubując nie obgryzać paznokci i wyczarowując jego twarz w półmroku. Odstawiała właśnie pannę Bachelor i jej potworne zakupy do domu jak zwykle, kiedy nastąpiła katastrofa. Z delikatesów na Albert Street wyszedł ktoś ze szkoły, i to nie pierwszy lepszy ktoś, ale ten nowy Amerykanin z szóstej, naprawdę szalowy chłopak, który wygląda jak Tom Cruise. Joss zapragnęła umrzeć. Zapragnęła zamordować pannę Bachelor, a potem zwyczajnie umrzeć, spalić się na popiół i spłynąć studzienką do kanalizacji.

Garth' kupił w delikatesach bagietkę i niósł ją na ramieniu jak karabin. Przez moment Joss myślała, że jej nie zauważy, a nawet jeżeli zauważy, nie pozna, ponieważ dla niego była tylko jedną z czwartoklasis-tek, na dodatek grubą, wiedziała to, zwyczajnie grubą. Ale on zatrzymał się i uśmiechnął tym swoim pięknym, szerokim, szczerym amerykańskim uśmiechem, i powiedział: „Cześć”.

Joss zrobiła się purpurowa. Mogła myśleć tylko

o tym, że trzyma cholerny kosz z papierem toaletowym, herbatnikami i puszkami zupy, i że panna Bachelor ma na sobie swój brązowy prochowiec. Ten prochowiec sprawiał, że idąc z panną Bachelor, Joss umierała ze wstydu.

— Jak się masz, chłopcze? — zapytała panna Bachelor.

Garth nadal się uśmiechał.

— Świetnie, dziękuję — powiedział. — Może pomóc z tym koszem?

Położył lekki nacisk na „tym”. Joss była na granicy omdlenia. Garth zwrócił się do panny Bachelor:

— Chodzimy razem do szkoły. Nazywam się Garth Acheson.

Panna Bachelor popatrzyła na Joss.

— Józefino?

— Poradzę sobie — wyszeptała Joss.

— Na pewno? — zapytał Garth.

— To niezwykle miło z twojej strony — powiedziała panna Bachelor, przesywając Joss wzrokiem — ale myślę, że Joss doniesie go do moich drzwi. Robi to przecież nie po raz pierwszy.

Garth wyciągnął rękę.

— Miło mi było panią poznać. — Pochylił się lekko ku Joss. — Do jutra, Joss. Jej imię! Wypowiedział jej imię!

— Masz maniery kocura-ulicznika — powiedziała panna Bachelor, kiedy Garth odszedł. — I to kocura z podłej dzielnicy.

Joss było wszystko jedno. Szła do domu w zamroczeniu, które następnego dnia zmieniło się w ekstazę, kiedy Garth podszedł do niej w stołówce i powiedział, że jego zdaniem to wspaniale, że pomaga tej starszej pani.

— To naprawdę w dechę — powiedział. Odważyła się podnieść na sekundę wzrok. Jaśniał nad nią jak bóg.

— Podoba mi się twój kolczyk — powiedział. — Super. Kiedy widzę dziewczynę z kolczykiem w nosie, wiem, że mam do czynienia z równą babką.

— W domu mówią, że jest okropny.

— Oczywiście. — Obrzucił ją długim spojrzeniem. — Jesteś fajna — dodał po chwili milczenia i zaprosił ją do kina.

— OK — powiedziała głosem nabrzmiałym radością.

Teraz, kiedy leżała na łóżku, perspektywa kina majaczyła przed nią jak brama do raju. On miał szesnaście lat. Szesnaście! Był w szkole od września i z nikim się nie umówił, z wyjątkiem Sue Fingall, ale wszyscy umawiali się z Sue Fingall, to rozumiało się samo przez się, była uderzająco piękna. Teraz umówił się z nią, Joss Bain, i gdyby nie całkowita pewność, że jest fizycznie odrażająca, mogłaby chyba uznać, że jest szczęśliwa. W rzeczywistości miała tylko ten jeden wieczór, jeden wieczór, zanim on odkryje, że jest równie nudna, jak odrażająca, i nieuchronnie zdecyduje, że nie chce mieć z nią więcej do czynienia. Joss odwróciła się na bok i sięgnęła pod łóżko po pudło z wycinkami. Przeniosła je na dywan i wyjęła dwa zdjęcia wycięte z czasopisma. Spojrzała na dziewczyny na fotografiach. Miały długie, błyszczące włosy i twarde, giętkie ciała w skąpych obcisłych ciuszkach. Joss westchnęła. Własne ciało przestawało budzić jej odrazę dopiero wtedy, gdy okryła je warstwami bezkształtnej czerni, ponurych swetrów i bawełnianych koszulek. Stryj Leonard twierdził, że wygląda jak dziadówka. Ogarnęła ją panika. Wrzuciła fotografie z powrotem do pudła. Pierwszy i ostatni wieczór jej życia był odległy zaledwie o dwadzieścia cztery godziny, a ona nie miała co na siebie włożyć!

Leonard siedział w pokoju obok i dziwił się tej ciszy. Joss przyszła do niego po szkole i klócili się łagodnie o ostatniego herbatnika czekoladowego w puszcze. „Powinieneś mi go dać, jestem twoim gościem”. „Nie jesteś gościem, tylko siódmą plagą egipską” — powiedział i pomyślał, że Joss wygląda prawie, prawie ładnie. Oczywiście nikt z włosami jak szczotka do paznokci, gradową miną i nogami w żołnierskich buciorach nie może wyglądać choćby średnio ładnie, ale Joss wyglądała odrobinę lepiej niż zwykle. Nawet jej to powiedział, a ona rzuciła mu spojrzenie pełne najprawdziwszego szczęścia, marzydzielskie spojrzenie, pełne światła.

Pałała coś? Wcale by się nie zdziwił. Kate była tak nieobecna duchem, że Joss równie dobrze mogłaby w ogóle nie mieć matki. Leonard trapił się tym tak, jak trapił się chwilowym brakiem proszku do czyszczenia sztucznych zębów albo nadejściem chwili, kiedy jego wychudzone stare ramiona po prostu nie wyciągną jego wychudzonej reszty z wanny. Przestawał się martwić tylko wtedy, gdy myślał o programie Hugh'a. Był fascynujący, Leonard niczym się tak nie interesował od lat, nie pamiętał również, żeby ktoś tak interesował się Leonardem Mallowem, tym, co myśli, co ma do powiedzenia.

Ten facet, Hunter, przyjaciel Jamesa, spędził u niego wiele godzin, z kamerą i wszystkimi rekwizytami, i z zespołem filmowym (oto, kto pożarł herbatniki czekoladowe), a jeszcze przedtem były dyskusje z Beatrice i Jamesem, parę rozkosznych kłótni o Boga, dla którego Beatrice nia miała czasu, a który, jak podejrzewał Leonard, błąkał się gdzieś, wpleciony w rdzeń rzeczy, jak krykiet i rządy prawa, coś w rodzaju instytucji. Raz pokłócili się przed kamerami. Beatrice chciała wyciąć ten fragment, ale Hugh ją przekonał, by tego nie robić.

— Macie wrodzony talent — powtarzał im bez przerwy.

Hugh rozmawiał też z lekarzem i kilkoma innymi osobami, które podsunęła mu Beatrice. Ludzie zgadzali się na udział w programie zaskakująco chętnie, nawet ci w domu starców, gdzie pojechali na pierwsze zdjęcia. Leonard pomyślał o tych wszystkich na wpół roślinnych tworcach pachnących siuškami, gapiących się w telewizor z otwartymi ustami, i przeszył go dreszcz.

— Dźgnę się zatrutym parasolem, kiedy przyjdzie mi na to ochota — powiedział do kamery. — Niech się lekarze wypchają. W końcu to moje pieprzone życie, nie?!

— Był pan kiedyś bliski śmierci? — zapytał Hugh, niewidoczny rozmówca. — Uczestniczył pan w wypadku? Albo w wojnie?

Leonard pokazał zęby w uśmiechu.

— Najbliższy śmierci jestem teraz. I coś panu powiem. Nie straszna mi ona, dopóki sam mogę wyciągnąć wtyczkę.

— Naprawdę pan tak myśli? — zapytał go Hugh poza planem.

Leonard odwrócił wzrok. Zakochał się w swoim telewizyjnym wizerunku. — Powiedziałem, co myślę — mruknął.

Potem byli prawnicy. Beatrice zachowała się wspaniale, nic dodać, nic ująć. Zacytowała Rozdział 2 Ustawy o Samobójstwach z 1961 roku i powiedziała, że nawet jeżeli postawią ją przed sądem, otrzyma co najwyżej wyrok w zawieszeniu, ponieważ pomogła bratu na jego własne żądanie.

— Nie zachęcam nikogo do samobójstwa — oświadczyła. — Wypowiadam się jedynie za eutanazją.

Zdradziła Leonardowi, że Towarzystwo Zwolenników Eutanazji założyło telefon zaufania dla przyszłych samobójców. Wystarczyło zadzwonić, by zjawił się

S — Niełatwe związki

pomagier z plastikowym workiem i fiolką tabletek. Leonardowi oczy omal nie wyszły z orbit, ale Hugh nie chciał zamieścić w programie rewelacji Beatrice.

— Możemy być tak kontrowersyjni, jak nam się spodoba, ale nie możemy popełnić wykroczenia. Omówienie metod może być wykroczeniem.

Leonard dźwignął się z krzesła i dowlókł do ściany oddzielającej jego pokój od pokoju Joss. Przycisnął do niej ucho. Żadnego dźwięku.

— Co ty, u licha, robisz? — zawołał James od drzwi.

Leonard podskoczył jak dźgnięty.

— Dlaczego szpiegujesz Joss?

— Jest tak cholernie cicho. Nie słyhać tej piekielnej muzyki.

— Powinieneś być wdzięczny.

Leonard wyprostował się. Spojrzał na Jamesa.

— Gdzie Kate?

— Dlaczego — powiedział James zmęczonym głosem — zawsze o to pytasz?

— Gdzie ona jest?

— Nie wiem.

— Whisky? — zapytał Leonard.

— Ostatnio za dużo piję.

Leonard pokuśtykał w stronę komody z butelkami.

— Dawka lecznicza.

— Przypuszczam, że to chwilowe.

— Po co przyszedłeś?

— Doprawdy nie wiem — powiedział James. — Czuję się na dole trochę samotny.

Leonard wręczył mu szklanę.

— Cholerny dom wariatów — powiedział. — Kate nigdy nie ma, Joss zrobiła się piekielnie cichutka, ty wyglądasz jak zmokły kot. Co się dzieje?

— Ze mną?

— Nie.

— Więc z kim?

Leonard usiadł w swoim niewygodnym fotelu i patrzył na Jamesa nieruchomym wzrokiem.

— Rozumiem — powiedział James. — Chodzi ci o Kate.

Leonard czekał. Przez chwilę James zabawiał się rozhuśtywaniem whisky w szklance.

— Z Kate dzieje się to, Leonardzie, że nagle stałem się dla niej za stary, a ona nie wie, jak mi o tym powiedzieć.

8

Dwa pokoje, które Kate znalazła na Swan Street, były właściwie pokojem z wnęką na garderobę. Wychodziły na północ, na ogrody ciągnące się wzdłuż kanału. Mniejszy pokój, rozmiarów szafy, ten, który Kate przeznaczyła w myślach dla Joss, miał jedynie skrawek okna, reszta ginęła za ścianką działową. Ponieważ mieściło się w nim tylko jedno łóżko i krzesło, pan Winthrop, właściciel domu, powiedział, że policzy Kate czterdzieści pięć funtów tygodniowo za całość.

Pan Winthrop był kiedyś pośrednikiem w handlu starodrukami.

Pośredniczył jeszcze od czasu do czasu, ale wolał naprawiać stare zegary w małej pracowni na tyłach domu. Podczas pracy puszczał nagrania jazzbandów i dźwięki saksofonów mieszały się z rżeniem elektrycznego słoneczka, które grzało od świtu do nocy, chyba że akurat było lato. Pan Winthrop pokazał Kate wnękę na półpiętrze, gdzie stała stara kuchenka i pęknięty zlewozmywak. Potem zaprowadził ją do ich wspólnej łazienki. Kate nie widziała takiej łazienki od dziesięciu lat.

— Kto tu sprząta? — zapytała pana Winthropa.

— Pani — odparł. — Jeżeli pani na tym zależy.

Za to pokoje sprawiały dość pogodne wrażenie. Światło było chłodne, ale było go mnóstwo, a poprzedni lokator zamalował jaskrawą tapetę na ciepły beżowy kolor. Wśród wiktoriańskich mebli, zapuszczonych, ale solidnych, znalazły się dwa wygodne fotele. Kate usiadła w jednym z nich i próbowała wyobrazić sobie Joss w drugim, elektryczny ogień na kominku i wazon z kwiatami na stole. Zawiadomienie Joss o zmianie w ich losie było jej pierwszą zmartwieniem. Drugą było zawiadomienie Jamesa.

Pan Winthrop oznajmił, że nie będzie się gniewał, jeżeli pomaluje pokoje i zmieni zasłony. Kate zaczęła snuć plany i zrobiła listę. Pomyślała, że farbę i materiał na zasłony wybierze razem z Joss, a maszynę do szycia pożyczycy od Christine. Joss pomaluje swój kąć na taki kolor, jaki będzie chciała, oklei ściany plakatami, a łóżko zarzuci indiańskimi poduszkami, tak by w dzień służyło za sofę. Kto wie, może starczy pieniędzy na dywan i lampę z brązu. Z drugiej strony, może lepiej poczekać z tą lampą. W supermarkecie na Bridge Street Kate kupiła proszki do czyszczenia, wiadro i paczkę jednorazowych ubrań roboczych. Poczucie, że rozpoczyna życie na nowo, wprowadziło ją w euforię.

— Czuję — powiedziała do Marka Hathawaya, trochę zażenowana — że zaczynam żyć w prawdzie.

Ofiarował jej pomoc przy malowaniu, wieczorami.

— Jak już powiem Joss.

— Joss — powtórzył. Joss budziła jego niepokój. Czy może istnieć większa przeszkoda dla kiełkującego związku niż czternastolatka, za dorosła na to, by ją odesłać do łóżka, i za młoda, by ją wyprawić z domu? — Liczę na to, że mnie polubi — powiedział, żywiąc w duszy nadzieję, że będzie wręcz przeciwnie.

— Oczywiście, że cię polubi — Kate spojrzała

na Marka. Jego wygląd powinien zachwycić Joss, podobnie jak jego gust, jego nowoczesny, świeży, wyrafinowany gust.

— To cudownie, że się tu sprowadzasz — powiedział Mark. — Po prostu cudownie. Już wyglądasz inaczej, wydajesz się szczęśliwsza.

— To prawda — przyznała Kate. Czowała się szczęśliwa. Nie mogła uwierzyć, jakim zwyczajnym, beztroskim szczęściem napawa ją czyszczenie okien i polerowanie mebli na Swan Street. Mark kupił jej reprodukcję akwareli przedstawiającej wiklinowy fotel na nagiej drewnianej podłodze. Fotel stał przy francuskim oknie, za którym rozciągał się południowy krajobraz, mglisto niebieski i złoty. Kate była nim oczarowana, zdawał się symbolicznie wyrażać to, co teraz czuła, że otrząsa się z przymusu i wstępuje w środowisko dla niej naturalne, naturalne dla jej wieku i osobowości. Przygnębienie ogarniało ją tylko wtedy, gdy myślała o Jamesie, o tym, jakie będzie jego życie bez niej. Zranię go, ale mniej boleśnie, powiedziała sobie, szorując podłogę na Swan Street, niż gdybym miała zostać.

Wracała z jednej z potajemnych wypraw na Swan Street, kiedy zahamował przy niej samochód i otworzyły się drzwi od strony pasażera.

— Kate! — zawołała Julia, wychylona z fotela kierowcy. Zamiast przepaski do włosów miała okulary słoneczne zepchnięte na czubek głowy. Uśmiechała się. Kate stanęła i zerknęła do wnętrza wozu.

— Wyglądasz zupełnie inaczej...

— Szklą kontaktowe — zaśmiała się Julia. — Nowa ja.

— Cześć! — krzyknęły bliźnięta z tylnego siedzenia. — Cześć, cześć, cześć, Kate, cześć...

Rozpromieniła się na ich widok. Ubrani byli w żółte sweterki.

— Wyglądacie jak kaczątka.
— Wsiadaj — powiedziała Julia. — Odwiozę cię do domu.
— Nie trzeba, naprawdę. To tylko dziesięć minut...
— Wskakuj. Nie widziałyśmy się od wieków, mam ci tyle do powiedzenia. — Poklepała fotel pasażera. — A tok w ogóle, co robisz na Hythebridge Street?
— Urozmaicam sobie drogę do domu. — Kate zapinała pas i głowę miała spuszczoną.

Julia włączyła się z powrotem do ruchu.

— Byliśmy na stacji. Prawda, chłopcy? Co robiliśmy na stacji?

— Dziewczyna wsiadła do pociągu — powiedział George. — Ta niebieska dziewczyna. Wiesz.

Julia zerknęła na Kate.

— W końcu uległam i zaangażowałam pomoc. Wydaje mi się, że znalazłam idealną osobę. Była miła, prawda, chłopcy?

— Trochę gruba — powiedział Edward z powątpiewaniem.

— Odrobinę pulchna, a przez to bardziej swojska.

— I miała śmieszne włosy.

— Nie takie znowu śmieszne.

— Miała pulchne włosy.

— I niebieski sweter — oznajmił George Kate.

— I pulchne włosy.

— Była urocza — powiedziała Julia do Kate. — Córka rolnika ze wschodniej Anglii. Bardzo uzdolniona, ma prawo jazdy i w ogóle. Była taka miła dla chłopców. Prawda, chłopcy, że była miła? Szczerze mówiąc, ratuje mi życie. Mam coraz więcej pracy, a Hugh nie wie już, w co ręce włożyć. A gdyby tak bliźniaki zachorowały?

Kate odwróciła się, by spojrzeć na chłopców. Pokazali jej w uśmiechu wszystkie ząbki.

— W życiu nie widziałam nikogo, kto wyglądałby zdrowiej.

— Tak, ale przypuśćmy. W przedszkolu panuje epidemia wietrznej ospy, Frederica szaleje, już mogą być zarażeni.

— Pocętkowani — powiedział George, otwierając szeroko oczy.

— Tom jest pocętkowany, prawda?

— Po uszy pocętkowany...

— W pupie — powiedział Edward ze czcią — też.

— Wielkie nieba! — jęknęła Kate. Mrugnęła do nich. Zaczęli chichotać.

— Dałam ogłoszenie — ciągnęła Julia. — Potem wzięłam na rozmowę cztery najlepsze kandydatki. Ta jest idealna. Ma na imię Sandy.

— Sandy to głupie imię — powiedział George przekornie.

— Nie, wcale nie. A co u ciebie, Kate?

Do Willi Richmond została im zaledwie minuta drogi.

— Nic, co dałoby się porównać ze szklami kontaktowymi i niańką...

Julia roześmiała się.

— Czy to nie absurd? Dwadzieścia pięć lat w okularach i nagle kontaktówki. Byłam chyba szalona, godząc się dźwigać te szkła przez tyle lat, ale Hugh twierdzi, że mu ich brak — dokończyła z nagłym zawstydzeniem.

Samochód zwolnił.

— Chcecie zobaczyć Joss? — Kate odwróciła się ponownie do bliźniaków.

— Joss! — wrzasnęli natychmiast, szarpiąc za swoje pasy bezpieczeństwa. — Joss! Joss!

— Naprawdę powinniśmy wracać — powiedziała Julia. — Oczekuję kilku telefonów...

— Mała filiżanka herbaty?

— Joss! Joss!

— Dobrze — powiedziała Julia, wyłączając silnik. — Dziesięć minut. Kiedy przyjedzie Sandy, nie

będę wiedziała, co zrobić z tą całą cudowną wolnością. — Uśmiechnęła się do Kate. Bez okularów była niezwykle ładna. — Czy to nie cudowne, że życie wchodzi w uroczy zakręt akurat wtedy, gdy najmniej się tego spodziewamy? W Willi Richmond nie było Joss. Kuchnia świeciła pustkami, podobnie gabinet Jamesa, do opuszczonego salonu nie warto było nawet zaglądać, używano go wyłącznie z okazji świąt Bożego Narodzenia. „Mój frontowy pokój”, mówił o nim James. Stół w kuchni upstrzony był karteczkami. „Kochanie — pisał James — wychodzę z Hughem, spotkanie z prawnikami. Wrócę koło szóstej. Mam nadzieję, że przytułek nie przygnębił cię zbyt”. — Nie byłaś w przytułku, prawda? — powiedziała Julia, czytając jej przez ramię. — To nie w tę stronę... „Poszłam do kina — pisała Joss — wrócę późno”. — Zapomniałam — powiedziała Kate. Zwróciła się do bliźniaków. — Tak mi przykro, chłopcy. Zapomniałam, że Joss idzie do kina ze swoim chłopakiem. — Rany! — zawołała Julia. — Z chłopakiem! — To Amerykanin. Ma cudowne maniery. Pierwsza randka Joss, zdaje się. — Nie do wiary! Mała Joss! — Julia spojrzała na bliźniaki. — Jeszcze dziesięć lat i wy będziecie umawiać się z dziewczętami. — Joss szybko wróci? — zapytał George z nadzieją. — Och, kochanie, tak mi przykro, ale wróci bardzo późno. Zupełnie zapomniałam. Poszukam wam ciasteczek. — Spójrz — powiedziała Julia. — Jeszcze jedna wiadomość. — Podsunęła Kate kawałek papieru. Kate przeczytała:

Polazłem na herbatkę z tą pieprzoną wariatką to dopiero gratka dla starego dziadka. P.S. Pojechałem taksówką.

— Leonard — powiedziała krótko Kate.

— Kto to jest pieprzona wariatka?

Kate znalazła puszkę i przycupnęła przy chłopcach, żeby mogli sobie wybrać ciasteczko.

— Bohaterka programu Hugh'a.

— Och — powiedziała Julia z naciskiem. — Słynna panna Bachelor. Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam. Jaka ona jest?

— Nie wiem.

— Nie widziałaś jej?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie było okazji — powiedziała Kate wstając.

— Różowy — obwieścił Edward z zadowoleniem, oglądając nadzienie.

— Przepraszam — powiedziała Kate. — To chyba nie jest specjalnie zdrowe...

— Od czasu do czasu im nie zaszkodzi — odparła Julia uprzejmie. —

Prawda? — Rozejrzała się po kuchni. Pominąwszy nawet bałagan, wyglądała na opuszczoną, jakby nikt się o nią nie troszczył. — Doprawdy Kate, jakie to szczęście, że mieszkając w domu, w którym każdy żyje własnym życiem, masz tyle zainteresowań. Zawsze myślałam, że jestem idealnie szczęśliwa, będąc po prostu mamą, ale teraz, kiedy pojawiło się przede mną tyle możliwości, naprawdę się cieszę, że mogę rozwinąć skrzydła. Strasznie żal mi kobiet, które nie mogą być sobą, a tobie? To znaczy, co byś zrobiła, gdybyś czuła się osaczona?

132

Przy kolacji James postanowił, że przydybie gdzieś Kate i zmusi do konfrontacji z jej własnymi lękami. Zdecydował się dość nagle, ponieważ wyglądała na udręczoną, kiedy podawała mu talerz zwykłego miszmasz.

— Smakowicie pachnie — powiedział zachęcająco. Stryj Leonard popatrzył na swój talerz spođe łba.

Był w świetnym humorze. Wyszedł z domu po raz pierwszy od ponad roku i zdenerwował bratową Beatrice Bachelor mówiąc jej, że wygląda jak okaz zdrowia. Oblał swój miszmasz ostrym sosem i powiedział, że jego zdaniem w tej właśnie chwili jakiś drab gwałci Joss w podziemnym garażu. Kate i James zignorowali go.

— Wyglądała naprawdę ładnie, kiedy wychodziła — powiedział James. — Widziałem ją.

— W co była ubrana?

— W dżinsy, chyba — powiedział po chwili namysłu. — I coś białego? Efekt był o wiele mniej żałobny niż zwykle.

— Chłopak wydaje się miły — powiedziała Kate, myśląc, że powinna być w domu, by podziwiać Joss w dżinsach i czymś białym.

— Powiedział do mnie „sir” — zauważył James. — Zadziwiająco. Jest taki czysty, że można z niego jeść.

— W końcu to Amerykanin.

— Nie chcę tego — powiedział Leonard, odsuwając talerz.

James rzucił na niego okiem.

— Trzeba było nie topić ryżu w chili.

— Ciasto. Objadłem się ciastem. — Leonard odsunął krzesło. — Nie jestem głodny.

— Więc zostaw — powiedziała Kate, zwieszając głowę. Ogarnęła ją nagła, gwałtowna tęsknota za Swan Street. Zapragnęła znaleźć się z dala od pustych rozmów i bezsensownych obrządków. Wyobrazila

sobie stół przy oknie i widok na blednące o zmroku ogrody. Dziabnęła stertę ryżu i opuściła widelec. — To się faktycznie nie nadaje do jedzenia. James wstał i wręczył Leonardowi laskę.

— Jesteś gburowatym, niewdzięcznym starym durniem.

— Wypisz wymaluj — powiedział Leonard, nie okazawszy skruchy, i dźwignął się na nogi. — Stara Beatie mówi, że jestem autentycznym zrzędą.

— Żaden powód do dumy.

— Ha! — powiedział Leonard. Pokuśtykał w stronę drzwi. — Przepraszam — zwrócił się do Kate od progu i wyszedł.

— Tak mi przykro — odezwał się James. — Strasznie przykro. Leonard jest nieznośny.

Kate potrząsnęła głową. Okropnie się bała, że zacznie płakać. Próbowła ująć widelec, ale wysunął się jej z ręki i upadł z brzękiem na stół. James objął ją za ramiona.

— Była Julia — powiedziała, szukając wybawienia. — Przyszła z bliźniakami. Ma szkła kontaktowe i zatrudniła niańkę...

— Chodź ze mną — powiedział James. — Chodź do gabinetu i wszystko mi opowiedz.

— Chcesz odejść — powiedział. — Tak?

Kate usiadła na kręconym krześle przy biurku i spojrzała na pulchnego młodego księcia.

— Tak.

James siedział obok w swoim ulubionym fotelu. Siadywał w nim, żeby przeczytać gazetę i uczyć, i czasami, by uciąć sobie drzemkę po lunchu.

— Możesz wyjaśnić dlaczego? — spytał. Mówił wolno, jakby starał się zachować panowanie

nad sobą. Kate usłyszała jak wstaje, potem dobiegł ją syk gazu, kiedy włączył piecyk.

— Powiedz mi, Kate — poprosił. — Spójrz na mnie i powiedz.
Określiła się wraz z krzesłem. Stał przy kominku, lekko pochylony, i czekał.
— Zmieniłam się — powiedziała.
— Zastanawiam się... — Przeszedł przez pokój i usiadł z powrotem na swoim fotelu, zwrócony do niej profilem. — Zastanawiam się, czy zmieniłaś się ty, czy może ja. Sądzę, że zrobiłem się dla ciebie za stary. Życie z sześćdziesięcioletnim mężczyzną i nieznośnym starcem nie może być wesołe. Tak sobie myślę, że może ten dom nie jest już dla ciebie odpowiednim miejscem. Ani dla Joss.
Kate przełknęła ślinę. Nie zdoła nic wyjaśnić, jeżeli James będzie nadal taki miły.
— Zmęczyło mnie pomaganie ludziom — powiedziała, niemal bezwiednie.
— Wiem.
— Doprawdy? — Zirytowała się nagle. — Doprawdy? Zdaje się, że mądrzy ludzie, tacy jak ty, zawsze popełniają ten sam błąd, uważając, że głupcy, tacy jak ja, są o wiele głupszy niż w rzeczywistości.
— Nie jestem aż tak protekcyjny — powiedział z pewnym ożywieniem.
Kate nie odezwała się. Podciągnęła nogi i objęła kolana ramionami.
— Czy to kwestia obowiązków, które na ciebie nakładamy? — zapytał James.
— Naszych wymagań? Czy... Kochasz kogoś innego? — zapytał po chwili milczenia.
— Nie.
— Jesteś pewna?
— Tylko pokój. Kocham pewien pokój. Chcę w nim mieszkać, z dala od tego domu.
— Rozumiem — powiedział James. Pochylił się do przodu. — Moglibyśmy porozmawiać o różnicy wieku, jaka nas dzieli?

— Nie chcę cię zranić, nie chcę niczego niszczyć. Dlatego muszę odejść.

— Boisz się, że będziesz musiała się mną opiekować?

Spuściła oczy.

— Kochasz mnie? — zapytał. — Czy jeszcze mnie kochasz?

— Nie wiem. Boję się ciebie.

— Boisz się samej siebie — odparł. — Widzisz we mnie to, czym się staniesz.

— Wy tłumaczyć możesz mi wszystko, ale to nie sprawi, że się przestanę bać!

— zawołała. — Nie da się wyperswadować uczuć!

Na chwilę ukrył twarz w dłoniach.

— Och, Kate — powiedział.

Puściła kolana i chwyciła się poręczy fotela.

— Uważasz, że jestem szalona i okrutna, i egoistyczna. Ale wiesz przecież jak to jest, gdy człowiek czuje, że musi zrobić coś, by... się ratować? Nawet jeżeli to kogoś zrani?

— James patrzył na nią nieruchomym wzrokiem. Kate mówiła dalej, niemal z płaczem: — Nie umiem tego wytłumaczyć, nie umiem znaleźć słów, ale czuję, że jeżeli nie odejdę i nie zacznę żyć na własną rękę, moje życie straci sens, że po prostu się rozpadnę, dosłownie, na kawałki.

— Życ jak młoda kobieta — powiedział James. Wzięła głęboki oddech, potem skinęła głową.

— James — głos jej drżał, ponieważ słowa, które miała za chwilę wypowiedzieć, wcale nie oddawały tego, co czuła. — James, próbuję... próbuję zrobić to, co słuszne.

— Chyba zawsze się tego spodziewałem — powiedział łagodnie. — W głębi duszy. — Podniósł na nią wzrok. — Jestem pewien, że myślałaś o Leonardzie i o mnie żyjących tu bez ciebie. Ale czy pomyślałaś o sobie beze mnie?

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Na jedną chwilę

ogarnął ją strach, potem zdławił go o wiele większy, znajomy już lęk przed pozostaniem w Willi Richmond.

— Nic nie będzie łatwe...

— Och — powiedział. — Nic nigdy nie jest łatwe. Nic nie jest warte posiadania w ostatecznym rozrachunku. Jak będziesz zarabiała na życie?

— Wzięłam pełen etat u Christine.

— Wykończysz się...

— Nie.

— Pozwól, że dam ci czek...

— Nie!

— Proszę, Katie, pozwól mi pomóc, pozwól...

— Nie! — krzyknęła, przykładając dłonie do uszu. — Nie! Muszę być wolna! Wstał.

— Oczywiście — powiedział.

— Pani Cheng będzie się wami opiekowała, a Joss będzie wpadała w odwiedziny. Nie odchodzimy daleko.

— Joss!

— Tak, oczywiście. Joss będzie ze mną... Grymas wykrzywił mu twarz.

Wyciągnął rękę i dotknął leciutko ramienia Kate.

— Oczywiście — powiedział. — Oczywiście, Joss pójdzie z tobą.

— Nie — powiedziała Joss.

Była taka wściekła na Kate, że ledwie mogła mówić. Światło, które rozpałił w jej oczach wieczór z Garthem, zgasło jak świeczka. Stała przed matką i patrzyła na nią wzrokiem pełnym nienawiści.

— Jossie...

— Nie chcę — powiedziała Joss. — Rozumiesz? Możesz zrobić każde cholerne głupstwo, jakie ci strzeli do głowy, ale na mnie nie licz. Nie ruszę się stąd.

— Musisz — powiedziała Kate spokojnie. — Nie ukończyłaś szesnastu lat i jesteś moją córką. Musisz mieszkać ze mną.

— Posłuchaj — powiedziała Joss. Miała wrażenie, że po sześciu godzinach szczęścia jej umysł jest poszatkowany i dziwnie rozproszony, w każdym razie nie działał jak należy. Zrobiła ogromny wysiłek, by zebrać myśli. —

Najwyraźniej straciłaś rozum, ale ja z tobą nigdzie nie pójdę. Nie możesz mnie zmusić, nie wiem, o czym mówisz, ale wiem, że nigdzie nie idę. Zostaję tu z Jamesem. — Urwała. Garth powiedział, że James jest w dechę. Ton jego głosu sugerował, że to wspaniale być w dechę, zresztą w dechę czy nie, pokój Joss znajdował się w domu Jamesa, a ona знаła swój pokój, tak jak znała Jamesa i stryja Leonarda. — Oszalałaś — powiedziała do matki.

Kate postanowiła puścić jej to płazem.

— Beze mnie nie czułabyś się tu dobrze. To już nie byłoby to samo. Domy bez matek, bez kobiet, nie są prawdziwymi domami. Oczywiście, w tej chwili nie potrafisz sobie tego wyobrazić, ale mogę cię zapewnić, że nie podobałaby ci się atmosfera tego domu, gdyby mnie w nim nie było.

Joss triumfowała.

— Nie może być nic gorszego niż atmosfera w tym domu przez ostatnie tygodnie, kiedy byłaś taka upierdliwa...

— Nie mów do mnie w ten sposób!

— To ty nie mów do mnie w ten sposób! — krzyknęła Joss. — Nie mów mi, że muszę popełnić jakiś idiotyzm, bo tobie się tak podoba!

Kate chwyciła się krawędzi kuchennego stołu. Nie mogła patrzeć na Joss.

Powiedziała:

— James nie byłby w stanie się tobą opiekować, Jossie. Nie dałby sobie rady. Naprawdę nie dałby sobie rady.

— Zaraz go o to spytam!

— Dobrze — powiedziała Kate ze znużeniem. — Zapytaj go, powie ci dokładnie to samo. Krzyk nie na wiele się zda, musisz po prostu zaakceptować moją decyzję. Po prostu zaakceptować.

James usłyszał ogłuszający huk kuchennych drzwi i stłumione podzwanianie obrazów w hallu. Potem na krótko zapanowała cisza. Siedział w swoim fotelu w gabinecie i patrzył na zamknięte drzwi. Po dwudziestu sekundach drzwi uchyliły się na dwadzieścia centymetrów i zamarły w tej pozycji.

— Joss — powiedział James. Żadnej reakcji.

— Wejdz.

Wsunęła się bokiem. Wyglądała strasznie, wyglądała niemal tak, jak się czuła.

— Siadaj.

Stanąła z dala od niego, tuż przy drzwiach.

— Mama nie jest szalona — powiedział James — ani zła. Jest młodą kobietą i to, co robi, jest zupełnie naturalne.

Joss coś wyszeptwała.

— Co mówisz?

Po raz pierwszy podniosła na niego Wzrok, twarz miała kredowo białą.

— Chcę zostać.

— Jossie — powiedział łagodnie — nie możesz. Musisz być z matką. Nie jestem nawet twoim ojczymem w świetle prawa. Myślę, że byłoby źle, gdybyś została. Rozumiesz?

— Nie.

James pochylił się ku niej.

— Tęskniłabyś za Kate, gwarantuję ci to. Dzisiaj jesteś na nią zła, ale kiedy gniew minie, odkryjesz, że bez niej jesteś naprawdę nieszczęśliwa.

— Nie zmuszaj mnie, nie zmuszaj mnie!

10 – Nietatwe związki

145

James odwrócił wzrok. Dlaczego Joss, taka kolczasta i nieprzystępna, i często zwyczajnie nieznośna, musi być taka wzruszająca?

— Joss, nie wiem, czy dałbym sobie z tobą radę.

— Będę grzeczna — powiedziała idiotycznie i zaczęła płakać. — Będę grzeczna, obiecuję...

James wstał. Podeszedł do Joss i stanął obok zakłopotany, marząc o tym, by ją przytulić, żeby przytulenie jej było czymś łatwym i naturalnym.

— To nie ja powinienem cię wychowywać, Jossie. Mieszkaliśmy razem bardzo długo, ale ja nigdy nie miałem własnego dziecka. To Kate ponosi za ciebie odpowiedzialność.

Joss bąknęła coś niezrozumiale. Pochylił się nad nią.

— Co?

— Lubię cię — powiedziała Joss.

— Nie wolno ci mnie szantażować — powiedział tak tkliwie, jak tylko potrafił.

— Proszę — wymamrotała Joss. Podniosła głowę i spojrzała na niego oczami w czarnych obwódkach rozmazanego tuszu. — Proszę, proszę, proszę...

Joss leżała w łóżku okryta kołdrą, a w pokoju paliło się światło. Dom był bardzo cichy. Kate spała w sypialni Jamesa, James w gościnnym pokoju, stryj Leonard słuchał przez jakiś czas radia, ale teraz je wyłączył, przestał nawet gulgotać nad swoją umywalką i również ucichł. Joss pomyślała, że nie zaśnie już chyba nigdy w życiu. Udało jej się w końcu zawrzeć z Jamesem umowę. Zostanie, próbnie, na trzy miesiące. Upierała się przy sześciu, ale James powiedział „nie”, a ton jego głosu wskazywał, że wycofa się z umowy, jeżeli Joss będzie naciskać. Kate zbladła jak ściana, kiedy jej powiedzieli, i Joss słyszała, jak Kate płacze i płacze bez końca, a James mówi i mówi. Trwało to tak długo, że Joss poczuła się samotna i poszła na górę, do

stryja Leonarda, który nie był dziś okropnym i zabawnym stryjem Leonardem, ale żalonym, smutnym, roztrzęsionym starcem o załamanych oczach.

— To moja wina — powiedział. Głos mu się załamał. — Moja wina. Powiedziałem jej: „Zostań jego żoną albo odejź”. Więc odchodzi. To wszystko moja wina.

Joss naląła mu whisky. Napęliła szklanę prawie do połowy i nie dodała wody. Leonard zakrztusił się, pryskając śliną.

— Przepraszam — powiedziała Joss. Drżała, a zapach whisky przyprawiał ją o mdłości.

— Ona nie chce zostać niczyją żoną — powiedziała. — Chce tylko mieszkać w jakimś pokoju.

— Jakim pokoju?

— W Osney. Ja też miałam się tam przeprowadzić, ale odmówiłam. James powiedział, że mogę tu zostać.

Leonard zeszywniał.

— Nie możesz zostać. Młoda dziewczyna i dwóch starych mężczyzn? Nie możesz zostać.

Głos Joss drżał.

— Muszę. Chcę. — Spojrzała na Leonarda z miejsca, gdzie siedziała, na środku dywanu. — Mieszkam tutaj.

Gapił się na nią przez długą chwilę. Twarz mu zadrgała.

— Tak, chyba faktycznie tu mieszkasz — powiedział wolno.

Tutaj mieszkam, powtórzyła sobie teraz, leżąc przy zapalonym świetle, patrząc w sufit, gdzie zbiegały się wszystkie rysy w ścianach. Tutaj przyszedł po nią dzisiaj Garth. „Nie chciałam tego, nie chciałam, żeby zobaczył, ale on przyszedł i powiedział, że to wspaniale, że tak sobie wszyscy razem mieszkamy. Powiedział, że James jest w dechę. Mamy nie było...” Joss wstrzymała oddech. Nie będzie jej także w przyszłości. James powiedział: „Możesz ją odwiedzać

codziennie. Możesz zostać u niej na noc, jeżeli będziesz chciała. To niedaleko stąd". Nagle zawstydziała się Jamesa, wydawał się kimś innym. Ziewnęła. Ciekawe, czy stryj Leonard śpi, czy leży wyciągnięty na całą długość w tej dziwacznej piżamie, którą zapina pod samą szyję. Przysunęła się do ich wspólnej ściany i popukała w nią palcem. Cisza. Puknęła ponownie. Nic. Szkoda. Nagle, ku swemu zdumieniu stwierdziła, że chce powiedzieć stryjowi Leonardowi, że Garth objął ją w kinie i powiedział: „Wiesz co, Joss? Wiesz co? Jesteś prawdziwą lalą". Na myśl o tym chciało jej się głośno śmiać. Lalą! No cóż, jedno jest pewne, nie powie o tym Kate. Beatrice Bachelor również nie spała. Nie leżała nawet w łóżku, spoczywał tam Kot, ona siedziała w fotelu przy kominku. Spanie nigdy nie było jej mocną stroną, a teraz, przy takim natłoku myśli, sen stał się bardziej nieuchwytny niż kiedykolwiek przedtem. Nie trapiła się tym. Miała przecież trzeźwy umysł, który nie poddawał się nocnym smutkom i straszidłom. Mimo to czuła się niespokojna. Program telewizyjny nie miał z tym nic wspólnego, była pewna swoich poglądów i swojej sytuacji prawnej, źródłem jej niepokoju była sytuacja domowa Jamesa. Żadne z nich nie przyznało się otwarcie do lęku czy cierpienia, ale szczerze wyznania nie były im potrzebne. Świat Jamesa rozpadał się na kawałki i to z powodów, których logiczny umysł Beatrice wolał nie zgłębiać, podobnie jak wolał nie zgłębiać istoty uczuć Beatrice do Jamesa. Były to niezbadane wody, niezbadane i niebezpieczne wody, gdzie mapa logiki nie na wiele mogła się zdać. Wszystko sprowadzało się do kobiety, której Beatrice nie udało się poznać, do tej młodej kobiety, Kate

Bain. James pokazał jej zdjęcie Kate. Beatrice ujrzała drobną, smukłą dziewczynę o ostrej, wyrazistej twarzy, lekko skośnych oczach, z bujną szopą włosów. James powiedział, że te włosy są czerwone, jasno-czerwone. „Marchewka”, pomyślała Beatrice. Było oczywiste, że Kate jej unika, i Beatrice, choć intelektualnie tak pewna siebie, nie czuła się na siłach wymusić spotkanie na kimś jawnie niechętnym. Z drugiej strony uważała to za swój obowiązek. Intuicyjnie wiedziała, co dolega Kate, choć pogardzała intuicją jako źródłem poznania. Kate czuła to samo, co czuła ona pielęgnując rodziców. Kate widziała w sobie ofiarę, a kiedy człowiek widzi w sobie ofiarę, pomyślała Beatrice, traci kontrolę nad własnym życiem, i to jest jeden z powodów, dlaczego wierzę tak silnie w eutanazję. Człowiek musi, po prostu musi, mieć tę kontrolę do samego końca. Spojrzała na swoje łóżko. Kot zagrzebał się pod kołdrą, wystawiając jedynie koniuszek grubego, pasiastego ogona. Kołdra unosiła się lekko w rytm jego pochrapywań. „Nie znoszę kotów” — stwierdził stary Leonard tego popołudnia, a dwadzieścia minut później powiedział tęsknie: „Chciałbym mieć kota”. Chciałby! Czego ona by nie chciała! Beatrice wstała i spojrzała na swoje odbicie w małym lusterku przy drzwiach. Potworną słabością człowieka jest to, że żyje — głupi — nadzieją. — Grace ma rację — powiedziała Beatrice do siwowłosej kobiety w lustrze. — Całkowitą rację. Jesteś głupią, starą babą. Potem przekręciła kontakt lampy, zgasła piecyk i dołączyła do Kota.

Niania Sandy przybyła podczas świąt wielkanocnych i otrzymała bardzo ładny pokój w Church Cottage, z oddzielną umywalką i widokiem na ogród i pastwiska pełne owiec. Przywiozła niezwykle skromny bagaż — jej garderoba składała się niemal wyłącznie z dżinsów i swetrów — i dziesięć minut po tym, jak zaprowadzono ją na górę, była już z powrotem na dole, spokojnie opróżniając zmywarę do naczyń. Bliźniaki, które jadły podwieczorek przy kuchennym stole, z powagą popatrzyły na dużą, wypiętą ku nim pupę i zgodnie, w milczeniu postanowiły wstrzymać współpracę. Julia bardzo pragnęła ukryć przed Sandy, że nigdy dotąd nie zatrudniała pomocy domowej z wyjątkiem pani Phelps, która przychodziła dwa razy w tygodniu do sprząwania. Julia i pani Phelps miały identyczne zapatrywania na kwestię porządku i błyszczących blatów, poza tym pani Phelps była fanką Hugh'a, a praca u prezentera telewizyjnego umocniła jej pozycję na zebraniach wiejskiego Klubu Czwartkowego. Pani Phelps mówiła niewiele i chlubiła się tym, że nigdy nie siada, była więc, w kategoriach efektywności, pracownikiem idealnym. Patrząc jak Sandy wkła-

da czyste talerze do szafki, Julia modliła się, by dziewczyna okazała się równie niekłopotliwa jak pani Phelps.

Julia wprowadziła ją w tajniki diety bliźniaków, obsługi zmywarki, prania wełnianych rzeczy w płynnym mydle, wizyt mleczarza i dostawcy ryb. Sandy wysłuchała jej z wszelkimi oznakami rozbawienia, po czym zwróciła się do bliźniaków: „Chodźcie, chłopaki, pooglądamy telewizję”.

Bliźniaki wstrzymały oddech.

— Tylko w poniedziałki i czwartki — powiedziała Julia.

Sandy wybałuszyła na nią oczy.

— A co robią w inne dni?

— Rysują i malują, i bawią się swoimi zabawkami, a latem biegają w ogrodzie.

— To co ja mam robić?

— Ty — powiedziała Julia ostro — masz bawić się z nimi.

Sandy podrapała się po głowie. Potem pokazała w uśmiechu wszystkie zęby.

— OK — powiedziała. — Jak się da, to się zrobi. Bliźniaki wstały ze swoich stołeczków. Popatrzyły

na nową opiekunkę, a ona popatrzyła na nich.

— A więc — powiedziała Sandy, a w jej przyjemnym głosie wieśniaczki z Suffolk zabrzmiał na chwilę ton przesadnie wyrafinowanej angielszczyzny.

— A więc proszę do zabawy, drodzy chłopcy.

— Jest cudowna — powiedziała Julia do Hugh'a.

— Żadna piękność...

— Jakie to ma znaczenie? Chłopcy uważają ją za siódmy cud świata.

Powinieneś ich słyszeć w wannie.

Hugh uśmiechnął się do żony. Przeżywali teraz taki szczęśliwy okres, spokojny, pełen nadziei. Pochylił się i ugryzł ją delikatnie w ucho.

— Au!

— Nonsens.

— Czy to nie zadziwiające? — powiedziała Julia. — Siedzimy tu sobie i popijamy drinki jak cywilizowani ludzie, a haruje kto inny. Sandy zaproponowała nawet, że zrobi kolację. Jej matka jest szefem kuchni w jakimś ekskluzywnym lokalu i nauczyła ją gotować.

— Hura! — krzyknął Hugh. Spojrzał z zachwytem na Julię. Przez pierwsze tygodnie szkieł kontaktowych tęsknił za okularami — a przynajmniej za tym, by zdejmować je Julii przed pocałunkiem — ale teraz pokochał jej nową, nagą twarz. W tej chwili była niemal piękna. Powiedział:

— Szczęściarz ze mnie.

Zaczerwieniła się i spuściła wzrok na swój kieliszek. Pili szampana, by uczcić przyjazd Sandy i zakończenie pracy nad programem o eutanazji. „Prawdę mówiąc, jest bombowy”, powiedział Hugh. Emisję zaplanowano na koniec kwietnia, a na początku maja wygasła umowa Hugh'a. Teraz, oczywiście, odnowią ją z pocałowaniem ręki. Jakby tego było mało, pilotażowy odcinek pierwszego cyklu „Night Life” spodobał się tylu ludziom, że Rob Shiner, reżyser Julii, już szykował następny. Mieli powód, by napić się szampana. Pczęstowali również Sandy, ale ona powiedziała „nie, dzięki”, pije tylko piwo. Przed kąpielą Edward płakał, ponieważ nie chciał usiąść na jej kolanach i wejść w bezpośredni kontakt ze zwałami piersi i brzucha, ale Sandy nie wspomniała o tym Julii. „Przywykniesz — powiedziała Edwardowi. — Ja przywykłam i ty też będziesz musiał”.

— Biedny James — powiedział nagle Hugh.

— Tak, wiem.

— To trochę nie w porządku, spijać bąbelki, kiedy on ma takie kłopoty.

— Joss wybłagała, żeby pozwolili jej zostać. Trud-

no ją za to winić. Lgnie do świata, który zna. W końcu ma dopiero czternaście lat. Hugh spojrzął z ukosa na swój kieliszek.

— Znasz Jamesa. Nie podda się, nie przyzna, że jego dom zmienił się w piekło na ziemi. Widziałaś się z Kate?

— Nie — powiedziała Julia ostrożnie. — Wiem, że przestała przychodzić do Mansfield House. Od trzech tygodni nie mieli od niej znaku życia. — Urwała. Nie chciała powiedzieć, że Kate jest nieodpowiedzialna i egoistyczna, ponieważ Hugh bronił zawsze Jamesa i wszystkiego, co miało z Jamesem jakiś związek, a sam James — co było faktem bezspornym, aczkolwiek zdumiewającym — nie wypowiedział jak dotąd jednego złego słowa o Kate. Hugh uśmiechnął się do niej szeroko.

— Grosz za twoje myśli.

— Przestań...

— Nieodpowiedzialna, to jedna myśl, zgadza się? Egoistyczna, to druga. — Przybrał złośliwy, szydyczny ton zbulwersowanej pani domu. — „Jak ona mogła zostawić dzieciaka, doprawdy nie wiem, droga pani, i to bez żadnego powodu. To wszystko przez tę emancypację...”

— Zamknij się! — powiedziała Julia ze śmiechem. Hugh odstawił szklanę i wyciągnął się na kanapie z głową na kolanach Julii.

— Zróbmy przyjęcie.

— Przyjęcie?!

— Tak. No wiesz, wybranego dnia zamykasz ludzi w jednym pokoju ze skrzynką alkoholu i wypuszczasz ich po północy.

— Od wieków nie urządzaliśmy przyjęcia...

— Od wieków nie byliśmy tacy szczęśliwi, doskonali i zabawni. Od wieków nie byliśmy uosobieniem sukcesu.

Julia uśmiechnęła się do niego.

- No dobrze.
 - Będą balony?
 - Nie. I confetti również nie.
 - Kochanie, jak myślisz, dlaczego tak się niemądrze zachowujemy? Czy dlatego, że jesteśmy szczęśliwi?
- Julia pochyliła się, żeby go pocałować, i jej włosy opadły mu na twarz miękką zasłoną. Wsunął jej język w usta.
- Jesteś okropny...
 - Wiem. Uwielbiasz to. Zaprosimy Jamesa. Julia wyprostowała się.
 - Jamesa!
 - Tak. Dlaczego nie? Biedaczysko, dobrze mu zrobi, jak pójdzie na przyjęcie i zapomni o kłopotach.

Każdy dzień wydawał się Jamesowi bolesną próbą wytrzymałości, którą musi przejść, zanim jego dręczyciel na krótką chwilę pozwoli mu znaleźć zapomnienie we śnie. Nie był to tylko ból wywołany nieobecnością Kate. Dodatkową udrękę stanowiło prowadzenie Willi Richmond, którą Kate zwała mu na głowę odchodząc. Przyzwyczał się do tego, że, choć bardzo dorywczo, jednak prowadzi dom, i był zdegustowany zrozumiałwszy, ile jest w nim do zrobienia. Łapczywa machina codzienności, korowód posiłków, stosy prania i listy zakupów ciążyły mu za dnia i prześladowały po zażyciu środków nasennych.

Nie rozmawiał z Kate prawie od miesiąca. Widział ją raz, przypadkiem, kiedy jechał High Street, a ona wychodziła z krytego bazaru. Wyglądała młodo i beztrosko, ubrana w kremowy sweter, którego nie pamiętał, czarne spodnie i mnóstwo srebrnej biżuterii. Otaczała ją aura szczęścia i James skulił się z bólu. Joss odwiedziła matkę raz, ale niewiele

mówiła na ten temat, tylko tyle, że pokój jej się nie podoba, nie podoba jej się Osney. Zapomniała dodać, że poznała Marka Hathawaya i że on jej się również nie spodobał, dla zasady. Gdyby nie błogosławiony wpływ, jaki wywierało na Joss niesłabnące, choć niewytłumaczalne zainteresowanie Gartha Achesona, James zadusiłby ją prawdopodobnie własnymi rękami. Była — zresztą nie tylko teraz, zaczął podejrzewać, że zawsze — domowym pasożytem, głównym wytwórcą bałaganu i brudnych naczyń, pochłaniaczem jedzenia we wszystkich porach dnia z wyjątkiem pór posiłków.

Bezpośrednim efektem zadurzenia w Gar-cie było to, że zmonopolizowała łazienkę. Zamykała się w niej na całe godziny, odprawiając rozmaite dziwne obrządki, w rodzaju ufarbowania włosów na czerwono, co nawiasem mówiąc nie wyszło jej najlepiej. Udało jej się natomiast zachłapać ręczniki, zasłony i szczoteczkę do zębów Jamesa. Ponieważ Garth zaprotestował przeciwko czerwieni, czego nie można mu brać za złe, Joss powtórzyła zabieg, tym razem z henną, i pozostawiła łazienkę w stanie, który nasuwał myśl o powodzi herbaty. James stracił panowanie nad sobą i zaczął krzyczeć, Joss obraziła się i pozostała poza domem do jedenastej, co było surowo zabronione. Jeszcze tylko dwa miesiące, powiedział sobie James, wyciągając z pralki kłęb skarpet i rajstop przypominający spaghetti. Tylko osiem tygodni i się jej pozbędę.

Nie było jednak sposobu, żeby się pozbyć Leonarda. Nieobecność Kate wprawiała go w kłopotliwy nastrój. Marudził, wciąż miał jakieś pretensje, i grzebał podejrzliwie w talerzu z jedzeniem.

— Co to jest?

— Kurczak.

— W życiu bym się nie domyślił.

— Takiego samego kurczaka podawałem ci na połowę obiadów, które zjadłeś w tym domu.

- Nie wygląda tak samo.
 - Dziwnie pachnie — powiedziała Joss.
 - Idźcie do diabła! — wrzasnął James. — Oboje! Patrzyli na niego nieruchomym wzrokiem.
 - Mogę dostać ketchupu? — zapytała Joss. James westchnął.
 - Możesz dostać co chcesz. Wszystko mi jedno.
 - Jesteś zły — powiedziała Joss, wytrząsając ketchup.
- Leonard przyglądał się jej uważnie.
- Ja też tego chcę.

James poszedł do gabinetu, usiadł w fotelu i zamknął oczy. Kate, zawołał w myślach, och, Kate, Kate. Otworzył oczy i spojrzał na obrotowy fotel przy biurku, fotel, na którym siedziała tego dnia, kiedy po raz pierwszy przyszła do Willi Richmond, i tego dnia, kiedy przyznała mu rację, tak, chce odejść. Nie winił jej, ale jak mogła mu to zrobić, jak mogła zostawić go na tej strasznej, bezsensownej, ohydnej pustyni czasu i życia? Muszę przetrwać, powiedział sobie James, ale, na Boga, nie chcę. Kto by chciał, po tym, jak jego wielka, życiodajna miłość zabrała się i poszła gdzie indziej? Może to kara za to, że nie dość ją cenilem, nie dość kochałem, nie powiedziałem, że ją tak kocham. Ale kochałem, kocham. Tęsknię za tobą, powiedział James do nieobecnej Kate, tęsknię za tym, żeby mieć cię w ramionach, szczęśliwą, że w nich jesteś, jak kiedyś. Odwrócił głowę i jego wzrok padł na książkę, którą pożyczyła mu panna Bachelor, tłumaczenie ody Pindara. Może Béatrice ma jednak rację, z całą pewnością miała ją w tej chwili. Teraz, pomyślał James, chcę tylko umrzeć.

Poczucie winy dręczące Kate — „jej garb”, jak mówił Mark Hathaway — przeszło metamorfozę. Zamiast czuć się winną, że nie unieszczęśliwia in-

nych, zwłaszcza Jamesa, czuła się winna, że sama jest taka szczęśliwa. Jakby zdjęto jej z ramion ogromny ciężar albo usunięto chroniczny ból głowy, pozostawiając uczucie bardzo zbliżone do uniesienia. Miała wrażenie, że zatoczyła w życiu wielkie, męczące koło i wróciła do swego prawdziwego ja, do osoby, która mogła decydować sama o sobie, planować za siebie, robić nie tylko to, co słuszne, ale i to, co przyjemne. Nie trapiła się nawet nieobecnością Joss, ponieważ było oczywiste, że po zakończeniu okresu próbnego w Willi Richmond Joss i James pożegnają się z uczuciem ulgi. Dręczyło ją tylko jedno, coś, co uświadomiła jej pani Cheng — że pozostawiła za sobą nieszczęście tak głębokie, jak jej obecne szczęście.

— On jest na to za stary — powiedziała pani Cheng o Jamesie. — Już się nie podniesie.

— Będzie mu lżej, kiedy Joss wróci do mnie...

— Pozostanie jeszcze ten stary diabeł — powiedziała pani Cheng.

Kate ogarnęła wzrokiem pokój.

— Nie mogę wrócić.

Pani Cheng nic nie powiedziała: musiała przywołać na pomoc całą lojalność wobec Kate. Kto przy zdrowych zmysłach zrezygnowałby z wygody i bezpieczeństwa Willi Richmond na rzecz pokoju w nędznym domu rozbrzmiewającym od rana do nocy muzyką Glena Millera i The Four Freshmen? A jednak, ku zdumieniu pani Cheng, Kate wyglądała lepiej, młodziej, radośniej. Oczy jej błyszczały. Pani Cheng obrzuciła pokój krytycznym spojrzeniem. Nie był wprawdzie czysty, ale wyglądał jak pokój, w którym ktoś lubi mieszkać.

— Kocham ten pokój — powiedziała Kate.

To była prawda. Kochała go, gdy rano otwierała oczy w garderobie, która wkrótce miała należeć do Joss, i gdy zamykała je przy akompaniamencie szumu

Botley Road. Lubiła spacer do pracy, lubiła swoją pracę, lubiła uczucie, że może się gospodarzyć tym, co zarabia, że rządzi swoim małym królestwem. Co tydzień wysyłała Jamesowi czek dla Joss. Nigdy nie potwierdził odbioru i Kate podejrzewała, że nie wydaje tych pieniędzy na Joss, lecz je dla niej odkłada.

Dwa razy w tygodniu dzwoniła do Joss z ulicznej budki i raz w tygodniu szły razem na podwieczorek. Joss wydawała jej się dziwna, trochę gburowata, trochę wniebowzięta. Kate wyglądała już końca okresu próbnego, chciała zacząć dzielić swoją nowo zdobytą niezależność z Joss, nauczyć ją cenić wolność i samodzielność. Mark przepisał dla niej na maszynie cytat z książki jakiegoś profesora: „Brak w pełni uświadomionego poczucia kontroli nad własnym życiem może wywrzeć destrukcyjny wpływ na psychikę człowieka”. Kate również lubiła ten cytat. Zatknęła karteczkę w rogu lustra w swoim pokoju. Ukazywało jej teraz twarz, na którą, ku swej radości i zdziwieniu, zaczynała spoglądać z przyjemnością. Mark powiedział, że lada chwila się w niej zakocha. Czy ona zakocha się również? — zapytał.

— Daj mi czas — powiedziała. — Daj mi czas na to, bym mogła być sobą.

Hugh i Julia zdecydowali się w końcu na niedzielny proszony lunch.

— Większy ciężar gatunkowy — powiedział Hugh. Zamierzał zaprosić wszystkich, którzy zaważyli

lub mieli zaważyć na jego życiu, starych kumpli z telewizji i ludzi, od których zależała jego przyszłość, Maurice'a Hirshfelda i jego udręczoną starą żonę (ale nie jego młodego kochanka), Vivienne Penniman, a nawet Kevina McKinleya, ożenionego z dziew-

czyną, która pełniła groźnie brzmiącą funkcję wydawcy pisma dla pracujących kobiet. Julia zaproponowała swojego reżysera Roba Shinera oraz Helen i Frede-rikę, która prowadziła przedszkole bliźniąt i regularnie kupowała czasopismo wydawane przez Fanny McKinley. W sumie dwadzieścia osób, które Julia postanowiła podzielić na pół i rozsadzić w kuchni i w salonie.

— Och, i James.

— Rany, prawie zapomniałem. Oczywiście. Biedny James.

Sandy rzeczywiście potrafiła gotować. Julia chętnie się tym niejako w zastępstwie i pozwoliła Sandy uczestniczyć w układaniu menu. Sandy powiedziała, że robi bardzo dobrego kurczaka w pomarańczach z dodatkiem estragonu, i że nikt jeszcze nie oparł się jej roladzie czekoladowej. Z uwagi na to Julia postanowiła przymknąć oko na fakt, że Sandy zniszczyła w praniu sweter Edwarda i kupiła bliźniakom kolorowo opakowaną paczkę ciagutek. Sandy zrobiła ro-ladę czekoladową i Julia powiedziała sobie, że ktoś, kto potrafi tak gotować, ma pełne prawo zniszczyć jeden stary sweter.

Na tydzień przed przyjęciem Julia sporządziła listy. Listę win dla Hugh'a, listę zakupów spożywczych dla siebie i listę potraw dla Sandy. Pracowała dla Midland Television trzy dni i dwa wieczory tygodniowo, i odkryła ze zdumieniem, że czuje duże zadowolenie i ulgę, kiedy wróciwszy wieczorem do domu zastaje bliźniaki w łózkach, a kolację w drodze. Prawda, kuchnia nie zawsze wyglądała tak nieskazitelnie, jakby sobie tego życzyła, a Sandy wykazywała irytującą skłonność do suszenia prania w bębnie zamiast na sznurze w sadzie, jak również upór w kwestii prasowania bielizny i jedzenia czekolady na oczach bliźniąt, ale cóż, nie można mieć wszystkiego, prawda? Człowiek nie może jedynie brać, musi rów-

niez dawać, tak jak musi wykazywać chęć do nauki, żeby się czegoś nauczyć. Julia nauczyła się ostatnio czegoś od Hugh'a. Hugh powiedział, że życie staje się nie do zniesienia, kiedy człowiek traci produktywność, i choć Julia puściła wtedy jego słowa mimo uszu, teraz, kiedy sama była tak bardzo produktywna, zrozumiała, ile prawdy się w nich kryje.

James był spóźniony na przyjęcie zanim jeszcze wyszedł z domu. Zapomniał, że Leonard i Joss muszą zostać nakarmieni, nawet jeżeli on naje się poza domem, gotował więc coś w panicznym pośpiechu, podczas gdy Leonard wypowiadał sarkastyczne uwagi w rodzaju: „Nie zważaj na mnie”, a Joss powtarzała, że ona i tak wychodzi. Potem zapodziały mu się spinki od ulubionej niebieskiej koszuli — kogo obchodzi, w jakiej koszuli wystąpi? — potem był telefon na temat artykułu w gazecie i prawdopodobieństwa, że podłożem ruchu zielonych jest filozofia raj utraconego — to już naprawdę nikogo nie obchodzi! — a na końcu poszukiwanie kluczyków od samochodu. Wybiegając z domu i pozostawiając Leonarda mruczącego gniewnie nad garnkiem fasoli: „A niby skąd mam wiedzieć, kiedy to kurewstwo się ugotuje”, James poczuł, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnie, jest życie towarzyskie w jakiegokolwiek postaci, i gdyby to nie była impreza Hugh'a, odwołałby swoje przyjęcie.

Jechał za szybko. Był ładny kwietniowy dzień, tuż za miastem żywopłoty okrył już zielony meszek, niestety James nie mógł nacieszyć się nim w pełni. Dwa dni wcześniej upuścił okulary na podłogę w kuchni, szkła pękły i teraz każdy krajobraz przypominał rozbitą mozaikę na dnie kalejdoskopu. Dojeżdżając do Church Cottage zdjął okulary, nie chciał wyglądać ani na nieprzytomnego starego kawalera, ani na półgłówka. Wysiadając z samochodu, który postanowił zostawić w alejce, zauważył elegancką parę w średnim wieku i pośpiesznie upchnął w rękaw kurtki (może

powinien był włożyć garnitur?) zwisający mankiet koszuli. Church Cottage wyglądał zachwycająco. Żonkile w ogrodzie niemal przekwitły, ale wielka stara śliwa o zielonkawej korze rozkładała szeroki parasol jasnego kwiecia, żwirowa ścieżka była świeżo zagrabiona, porosty na kamiennych urnach z miniaturowymi tulipanami artystycznie zmierzwiłone, a dym unosił się gościnnie z ceglanych kominów. James przyjrzał się temu wszystkiemu z przerażeniem i zapragnął wrócić do domu.

Mitrzył jak długo się dało, by nie stanąć u drzwi wraz z elegancką parą, ale oni uparli się, żeby na niego zaczekać. Kobieta, zatrważająco miejska i elegancka w zamszowej tunice opadającej na krótką spódnicę, wyciągnęła do niego rękę i powiedziała, że nazywa się Fanny McKinley. Wskazała ponurego mężczyznę u swego boku i powiedziała, że to jest oczywiście Kevin.

— Oczywiście — bąknął James. Ujął jej wąską, chłodną dłoń. Najwyraźniej spodziewano się po nim jakiejś reakcji. Zastanawiał się, co by tu powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy z wyjątkiem mało przekonującej uwagi o ładnym dniu. Czuł się w swoim ubraniu jakby nie tylko w nim spał, ale przeżył parę koszmarów.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Hugh, bardzo kolorowy w kraciastej koszuli.

— Kevin! Cudownie, że jesteś. A oto rozkoszna Fanny. Wolno ucałować? I James. Poznaliście się już, jak widzę. Łapcie kieliszki i wbijcie się w tłum. — Wziął dwa kieliszki szampana z tacy na małym stoliku w hallu i podał McKinleyom. — Za mną! Przedzieramy się!

James obsłużył się sam i poszedł za nimi. Salon pełen był ludzi i narastającego ryku, który świadczył o tym, że przyjęcie nabiera z wolna rumieńców.

11 – Niełatwe związki

161

Julia, skończenie piękna w spodniach i miękkim jasnym swetrze, podeszła szybko do Jamesa i pocałowała go na policzek, jakby upadł i rozbił sobie kolano. Pachniała niczym lilia z górskich dolin.

— Chodź, przedstawię cię Frederice. Frederica była ciemna i rumiana, ubrana w jaskrawy sweter.

— O! — powiedziała, zwracając na Jamesa jasne oczy. — James Mallow! Uwielbiam pana artykuły. Zgadza się z każdym słowem.

— Jaka szkoda — powiedział James. — Nie będziemy mogli się spierać.

— Żałuję, że nie pisze pan więcej o edukacji. Widzi pan, jestem ogromnie oddana sprawie edukacji.

— Obawiam się, że nic na ten temat nie wiem. Głos Frederiki złagodniał.

— Nie ma pan dzieci?

Nagła, nieznośna tęsknota za Joss chwyciła Jamesa za gardło.

— Ani jednego.

Fredenca była bardzo poruszona.

— Ale — powiedziała, próbując opanować sytuację — wygląda pan na ojca. —

Zwróciła się do mężczyzny stojącego obok. — Prawda, że wygląda na ojca?

Mężczyzna był mniej więcej w wieku Jamesa, chudy i żółtozęby, ubrany w różową koszulę i fantazyjną marynarkę. Mrugnął do Jamesa i wyciągnął rękę.

— Terence Gray. Stary kumpel Hugh'a.

— To tak jak ja — powiedział James.

— Chyba nie z telewizji?

— Nie. Nie mam nic wspólnego z telewizją.

Terence Gray splótł palce wokół swojego kieliszka i wzniosł oczy do nieba. —

Rozsądny z pana człowiek. Telewizja zawsze była domem wariatów, a teraz jest czyśćcem.

— Odegrała ogromną rolę w edukacji — wtrąciła Frederica.
Terence obrzucił ją wzrokiem.

— Doprawdy, złotko? — powiedział rozwlekle. — Podobnie jak nasz przyjaciel, nic o tym nie wiem. Uważasz, że ja też wyglądam na ojca?

— Uważam, że wygląda pan na aktora — powiedział James.

— Naprawdę? Strzał w dziesiątkę. Były aktor, obecnie wolny strzelec, reżyser. W następnym życiu będę wysoko opłacanym pracownikiem z limuzyną i szoferem, i wysoką emeryturą. — Zniżył głos i wskazał elegancko odziane plecy Kevina McKin-leya. — Jak on.

— Kto to taki?

— Drogi panie — powiedział Terence Gray, pochylając się ku Jamesowi i pokazując mu swoje żółte zęby. — On jest powodem, dla którego wydano to przyjęcie. Nowy szef Midland Television. Cała przyszłość Hugh'a zależy od pana McK.

Przy lunchu James znalazł się w kuchni, przy stole nakrytym pięknie w tonacji biało-żółtej, z wazonami nareczów ustawionymi pośrodku. Julia posadziła go między Frederiką i zniszczoną kobietą, która powiedziała, że nazywa się Zoe Hirshfeld. Jamesowi Frederica nie wydała się ani atrakcyjna, ani interesująca, pozostawił ją więc jednemu z kumpli Hugh'a, otyłemu mężczyźnie z włosami niemal do ramion, który zdobył sławę jako producent seriali komediowych. Po drugiej stronie stołu, za daleko, by nawiązać rozmowę, siedziała przyjaciółka Kate, Helen. Spojrzała na Jamesa tak, jakby był godny zarazem pogardy i litości, i James postanowił jej unikać. Spuścił wzrok na swój talerz. Leżał na nim mały złoty krążek ciasta wypełniony czymś białym i plamistym.

— Kozi ser — powiedziała jego sąsiadka.

Odwrócił głowę. Ona też była mniej więcej w jego wieku i przywodziła na myśl nadpaloną, umęczoną ćmę. Jej twarz, włosy i ubranie były nijakie i płowe, a w oczach ani śladu życia.

— Bardzo eleganckie danie.

— Cały ten dom taki jest — powiedziała Zoe Hirshfeld. — Nie uważa pan?

— O ile chaty mogą być eleganckie.

— Julia jest elegancka.

— O, tak!

Kobieta dziabnęła ciasto widelcem.

— I młoda — dodała.

— Czy elegancja jest sprawą wieku?

— Wszystko jest sprawą wieku i seksu. — Włożyła do ust kawałek sera i popatrzyła na Jamesa. — Czy jest pan szczęśliwy?

— Nie.

— Widzi pan? Założę się, że był pan szczęśliwy w wieku Julii.

— Tak, chyba byłem.

— Ja byłam — powiedziała Zoe Hirshfeld. — Dopiero co wyszłam za mąż i uważałam, że telewizja jest cudowna. Źle znoszę doświadczenia życiowe, źle znoszę to, czego człowiek musi się nauczyć, a starość wiąże się z doświadczeniem, czy to się komu podoba, czy nie. Trzeba do tego dodać pieprzu.

James spojrzał na swój talerz. Był pusty.

— Nie pamiętam, żebym...

— Gdzie siedzi pana żona?

— Nie mam żony.

— Głupio z mojej strony, że w ogóle pytam — powiedziała Zoe. — Czegoś się chyba powinnam nauczyć, prawda, po tylu latach w telewizyjnym światku? Rozjaśniło mu się w głowie.

— Nie jestem pedałem — oznajmił. Zoe spojrzała na niego znowu.

— To dlaczego nie ma pan żony?

Imię Kate nie chciało mu przejść przez usta. Powiedział:

— Miałem. Umarła.

Po długiej chwili Zoe oderwała wzrok od jego twarzy.

— Nie mogę się już doczekać wdowieństwa — powiedziała.

— Nie spodoba się pani.

— I tu się pan myli. — Zniżyła głos. — Tylko po to żyję, to będzie moja zemsta.

James jechał do domu napakowany po uszy wyśmienitym jedzeniem i opity doskonałymi trunkami, i nie czuł nic z wyjątkiem przygnębienia. Pierwszy wypad towarzyski bez Kate okazał się klęską. Jego stół opanowali koledzy Hugh'a, którzy przy puddingu rozpoczęli nie kończący się cykl anegdot z czasów, kiedy telewizja była siedliskiem amatorów. Ryczeli ze śmiechu, palili papierosy, wydmuchiwali dym prosto w nos sąsiadom i droczyli się po szczeniacku z Hughem, który przyszedł do kuchni z butelką brandy i garścią kieliszków. Frederica podjęła szereg odważnych prób wciągnięcia Jamesa w dyskusję

o szkołach podstawowych, a Zoe rozgrzebywała jedzenie widelcem i mówiła, że warto żyć tylko po to, by wyrównać rachunki z osobą, która zrujnowała ci życie. James w końcu nie wytrzymał i uciekł ze swoją kawą do salonu, gdzie wpadł w ręce Fanny McKinley. Bardzo długo opowiadała mu o potencjalnych rynkach prasowych, a on siedział, patrzył na nią i myślał, jaka jest doskonała, jakby wyrzeźbiona

i wypolerowana, i jakie twarde są jej oczy, pozbawione ciepła, jakichkolwiek ludzkich cech, i że to czyni ją odrażającą.

— Dobrze się bawiłeś? — zapytał Hugh, kiedy James wychodził.

— Świetnie — powiedział James.

Hugh zachowywał się nienaturalnie, aż tryskał jowialnością.

— U ciebie wszystko w porządku?

— Tak — powiedział James.

— Zadzwoń — Hugh klepnął Jamesa w ramię.

Co to była za ulga znaleźć się z powrotem w samochodzie, w pękniętych okularach, i uciec z wymanikiu-rowanego skrawka krajobrazu Hunterów do ukochanego, brzydkiego Jerycho. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie skierować samochodu na południe, do Osney, ale potem pomyślał, że byłoby to równoznaczne z dłubaniem w bolącym zębie, i pojechał do domu. Kiedy znajdzie się w Willi Richmond, obiecał sobie, spędzi godzinę w ogrodzie i może przytnie jakąś roślinę. Dawniej przycinała Kate, Kate, która lubiła ogród.

Leonard zostawił na suszarce garnek po fasoli, nie umyty i nie namoczony. Zostawił również nie umyty talerz na stole, obok niedzielnej gazety, poczęstował się czerwonym winem i nie zakorkował butelki. James nie mógł się zdecydować, które z nich jest bardziej chronicznym niedorostkiem, Joss czy Leonard. W jaki sposób, zastanawiał się, zalewając garnek wodą i zeskrobując zaschniętą masę drewnianą łyżką, w jaki sposób kobiety znoszą swoje rodziny? Nic dziwnego, że żądają czasem wynagrodzenia za swoją pracę. Tylko czy jakakolwiek kwota jest w stanie zrekompensować szkody moralne poniesione w nieustannym obcowaniu z kimś takim jak Joss i Leonard?

Poszedł do pokoju Leonarda. Leonard rozwiązywał z przesadnym skupieniem krzyżówkę.

— Nie mógłbyś chociaż posprzątać?

Leonard nie zareagował. Zaczął nucić, ale bardzo cicho.

— Gdzie jest Joss?

Leonard wykorzystał pierwszą okazję, by odwrócić uwagę Jamesa od własnego przewinienia.

— Jeszcze nie wróciła.
— Mówiła, kiedy wróci?
— Nie mówiła.
— Zrobicie jeszcze raz coś takiego — powiedział James — to ona pojedzie do Osney, a ty do domu starców.
Leonard skulił się. Ręka, w której trzymał gazetę, zadrżała.
— Mówię poważnie.
Leonard zerknął na niego z ukosa.
— Nie miałbyś serca...
— Gdybyś miał wzgląd na moje uczucia — powiedział James — zrobiłbyś coś, cokolwiek, najdrobniejszą rzecz, by mi to okazać. Herbatę podasz sobie sam. Wymaszerował z pokoju i trzasnął drzwiami.
— Miałem taki zamiar — mruknął Leonard do swojej krzyżówki.
Joss nie wróciła o ósmej, do czego była zobowiązana w niedzielę. Nie wróciła również o dziewiątej ani o dziesiątej. Leonard się dąsał i nie chciał dzielić ani niepokoju Jamesa, ani jego gniewu.
— Czy powinienem zadzwonić na policję?
— Nie twoje dziecko.
— Nie, ale dziecko pod moją opieką.
— Zadzwoń do Kate.
— Kate!
— Jej dziecko, bądź co bądź. Jej parszywy bachor. Drżąc ze zmęczenia, niepokoju i emocji, James wykręcił numer pana Winthropa w Osney.
— Tak? — powiedział pan Winthrop, przekrzykując Orkiestrę Marynarki Wojennej Sama Donahue.
— Czy mógłbym rozmawiać z Kate Bain?
— Nie ma jej! — wrzasnął pan Winthrop. — Poszła na przyjęcie.

— Nie wie pan, kiedy wróci?

— Nie wiem, doprawdy nie wiem.

James odłożył słuchawkę. Potem położył na niej głowę. Siedział tak przez jakiś czas z zamkniętymi oczami i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Potem wstał, przeszedł przez gabinet do biurka, znalazł kawałek kartonu i napisał na nim drukowanymi literami:

„Drzwi zamknięte. Nie dzwoń. Idź do Osney”.

Wyniósł kartkę i pinezkę na zewnątrz i przyczepił karton na środku drzwi, gdzie był doskonale widoczny. Potem wrócił do domu, zamknął oba zamki i umocował ciężki, staromodny łańcuch, nie używany od trzydziestu lat.

Joss stała chwiejąc się na chodniku. Była pierwsza trzydzieści, a ona wypła stanowczo za dużo coli z rumem i wypaliła za dużo czegoś, co podawano sobie z ręki do ręki. Czowała się chora i zmęczona, i bardzo złakniona pociechy, jakiej mógł jej udzielić jedynie własny pokój.

Kartka na drzwiach aż kłuła w oczy i można ją było łatwo przeczytać, nie wchodząc nawet na schody. Jej treść przestraszyła Joss trochę, James nawet się nie podpisał. Zaczęła buczeć, trąc oczy rękawem przesiąkniętym zapachem papierosowego dymu. W oknie wuja Leonarda nie paliło się światło, a w tonie notatki Jamesa było coś tak bezkompromisowego, że nawet Joss nie ośmieliła się rzucić żwirem w okno, by go obudzić.

Pociągając nosem usiadła na chodniku i oparła się o latarnię. Mogła wrócić do akademika, zamieszkanego przez uchodźców z prywatnych szkół oksfordzkich, buntujących się sumiennie przeciwko swojemu mieszczańskiemu pochodzeniu, ale bez Gartha nie miała na to ochoty, a Garth poszedł do domu, do swoich liberalnych rodziców-naukowców na Obser-

vatory Street. Ona też mogłaby tam pójść, kłopot w tym, że nie miała okazji poznać jego rodziców, nie mówiąc o tym, że rodzice na ogół nie lubią być budzeni o drugiej nad ranem. Joss wątpiła, czy starczy jej wyrobienia towarzyskiego, by stawić czoło Observatory Street.

„Idź do Osney”, napisał James. Jedyna rzecz, której z pewnością nie zrobi. Raczej przejdzie przez płot i włamie się do szopy, w której James trzyma kosiarkę i krzesła ogrodowe, i tam spędzi noc. Mogła spotykać się z matką na neutralnym gruncie, ale nie chciała mieć nic wspólnego z tak zwanym „nowym” życiem Kate. Otarła się o nie raz, ponieważ ją do tego zmusili, ale nie zrobi tego ponownie.

Wstała. Czowała się strasznie. Garth był trochę... To znaczy, próbował czegoś na przyjęciu, próbował... Joss wiedziała, że spróbuje, prędzej czy później, i kiedy zaczął, myślała, że jej się to spodoba, ale się nie spodobało. W dodatku była zbyt przestraszona, żeby kazać mu przestać. Nie zaszedł daleko, ponieważ ktoś im przeszkodził, a potem był zbyt naćpany, by zaczynać od początku. Joss pomyślała o swojej kołdrze zamkniętej w Willi Richmond i łzy żalu nad sobą spłynęły jej po twarzy i skapnęły na kurtkę.

Podeszła zygżakiem do płotu i przyjrzała mu się, szukając oparcia dla rąk i nóg. Był zrobiony z nachodzących na siebie listew i absolutnie gładki, ani jednej szpary czy pęknięcia. Joss oparła się o niego i pomyślała: „Zostanę tutaj, zostanę tutaj do rana, nie dbam o to, nie dbam o nic”, kiedy uderzyła ją pewna myśl. Wyprostowała się i rozważała ją przez chwilę. Dlaczego nie? Dlaczego nie spróbować? Otuliwszy się połami kurtki, Joss odsunęła się od płotu i ruszyła miarowym kłusem ku Cardigan Street i pannie Bachelor.

10

Nie jadłam owsianki — powiedziała Joss.

— Dzisiejszego ranka jadasz — odparła panna Bachelor.

Joss westchnęła. Jej obecna sytuacja nie sprzyjała protestowaniu przeciwko czemukolwiek, nawet przeciwko owsiance, z czego Joss świetnie zdawała sobie sprawę. Szaropłowa sadzawka rozlała się po dnie talerza; jej kara. Spędziła noc na kanapie w salonie bratowej pani Bachelor, pod Kotem i górą gałgankowych pledów. Panna Bachelor nie wydawała się zdziwiona jej widokiem, zdumiewająco spokojnie przyjęła również fakt, że została wyrwana ze snu o drugiej w nocy. Zrobiła Joss kubek obrzydliwego kakao, w którym pływały kluchy proszku.

— Wybitnie brak mi instynktu macierzyńskiego — powiedziała. — Ale gdybyś miała podobne zapotrzebowanie, poszłabyś do Osney.

Joss spała ciężko i obudziła się z głową pulsującą bólem. A teraz ta owsianka. Marzyła tylko o szklankach zimnej niebieskiej wody i bardzo ciemnym pomieszczeniu, w którym mogłaby je wypić. Brodziła łyżką w owsiance, robiąc jeziorka i zatoczki, które wypełniały się mlekiem.

170

— Kiedy skończysz jeść — powiedziała panna Bachelor, smarując grzanekę dżemem — pójdziemy do Willi Richmond.

— Nie mogę — szepnęła Joss. Wepchnęła trochę owsianki do opornych ust i trzymała ją tam, pełna obrzydzenia.

— Czy chcesz nadal mieszkać w Willi Richmond? Joss przełknęła. Łzy napłynęły jej do oczu. Z góry dochodziło energiczne gulgotanie, znak, że poranne ablucje Grace Bachelor dobiegają końca.

— Mieszkam tam.

— Niekoniecznie — powiedziała panna Bachelor. Joss zaczerpnęła kolejną łyżkę owsianki.

— Mieszkam. James powiedział, że mogę.

— Tylko na jakiś czas. Jeżeli będziesz sprawiała mu kłopoty, zachowywała się niegrzecznie czy samolubnie, wyrzuci cię.

— Nie zrobi tego.

— Zrobi. Jesteś wyjątkowo dziecinna.

Joss czuła, że jest dziecinna. Przełknęła kolejną łyżkę owsianki i chwyciła szklankę z herbatą, żeby splukać ciepłąwą maź.

— Jeżeli nie zmienisz swojego zachowania, wyprosi cię ze swojego domu i postąpi słusznie. Nie ma w stosunku do ciebie żadnych obowiązków. Nie jesteś jego dzieckiem, ani nawet — o czym mi tak skrupulatnie przypominasz — jego pasierbicą. Nie jest za ciebie odpowiedzialny.

Joss podniosła głowę i spojrzała na pannę Bachelor.

— Jeżeli chcesz zostać w Willi Richmond — powiedziała Beatrice — musisz na to zapracować. Zapracować trzeba na każdy wartościowy związek. — Wstała. — Zadzwoń teraz do Jamesa i powiem mu, że jesteś cała i zdrowa, i że odstawię cię do domu. A kiedy wrócę, owsianka ma być zjedzona. Jeżeli znajdę ją w koszu na śmieci, zamówię ci taksówkę do Osney.

Joss patrzyła na nią nieruchomym wzrokiem. Na jej bladej ze zmęczenia twarzy malowała się obraza pomieszana z ulgą.

— Dzięki Bogu! — powiedział James.

— Byłam pewna, że się martwisz.

— Nie zmrużyłem oka. Jak ona śmiała? Jak ona śmiała pozbawić mnie nocnego wypoczynku? Czy ona chociaż żałuje?

— Przypuszczam, że tak. Nie ma oczywiście dość przyzwoitości, by to okazać, ale wyczuwam strach i lekką skruchę.

— Nie jestem pewien — powiedział James, przekładając słuchawkę do drugiej ręki. — Nie jestem pewien, czy sobie z nią poradzę. Z nią i z Leonardem.

— Więc musisz ją oddać.

— Beatrice, to nie jest takie proste, czuję się odpowiedzialny, czuję, że przyczyniłem się do jej obecnego stanu zagubienia...

— Nonsens — powiedziała panna Bachelor. — Ona jest samoistnym człowiekiem, nie możesz patrzeć na nią jak na ofiarę.

— Ale ona jest taka młoda. Czuję, że powinienem...

— Przestań! — przerwała mu panna Bachelor. — Natychmiast przestań. Cierpisz na przerost sumienia. Dlaczego uważasz, że twoim obowiązkiem jest naprawianie cudzych błędów?

— Chyba dlatego, że w moim przekonaniu każde dziecko ma prawo do normalnego życia w rodzinie. I czuję się winny.

— Winny? — krzyknęła Beatrice. — Nie jesteś pierwszym mężczyzną, któremu się to przytrafiło. Życie rodzinne Agamemnona było katastrofą, pamiętaj o tym! Nie jest to grzech pierworodny!

Rzuciła słuchawkę.

— Kto to był? — zawołał Leonard.
— Beatrice. Ma Joss.
— Cholera — powiedział Leonard osłabły z ulgi.
— Powiedziała, że moich kłopotów nie da się nawet porównać z kłopotami Agamemnona.

— Ha! — powiedział Leonard. Zaczął się śmiać swoim świszczącym, skrzekfiwym śmiechem. James oparł się o ścianę przy telefonie i zamknął oczy. W tym momencie oddałby wiele, bardzo wiele, żeby poczuć zdrową, rozkoszną, oczyszczającą wściekłość na Kate.

Kate nuciła, nakrywając stoły w Pasta Please. Na dole, w piwnicznej kuchni, Benjie kłął jednostajnym głosem w garnek z sosem pizzaiola, próbując pozbyć się za jednym zamachem weekendowego kaca i niechęci do poniedziałków. Mieli całą restaurację dla siebie, ponieważ Christine poszła oglądać syna w okręgowych zmaganiach szermierczych. Zadzwoiła, by udzielić im instrukcji, które Kate zanotowała starannie. Teraz, nakrywając stoły i wkładając po jednym goździku w szklane wazoniki, udawała, że restauracja należy do niej.

Zeszłego wieczora była na cudownym przyjęciu. Bywała na cudownych przyjęciach dawno, dawno temu, może nie wieki temu, ale jakieś dziesięć lat. Zapomniała, w jaki nastrój wprawia ją dobre przyjęcie, jaka czuje się lekka, wolna i szczęśliwa, zwiewna po przetańczonej nocy. Wracali z Markiem do domu cichymi ulicami uspionego Oksfordu, śpiewając piosenki, przy których tańczyli. Oksford zdawał się emanować czarem, pełen uspionego życia, które buchnie rankiem i rozleje się po ulicach jak światło. Trzymała Marka za rękę i biegła z nim Queen Street obok głupio upozowanych manekinów w witrynach sklepów. Te najbardziej szykowne zamiast głów

mia-

ły lakierowane drewniane guzy i z jakiegoś powodu wydało im się to szalenie zabawne.

— Spójrz na mnie — powiedział Mark błagalnie do jednego z nich. — Tylko jedno spojrzenie tych czarownych oczu...

Oczywiście, wszedł do domu z Kate. Zdjął buty i starał się stąpać równo z nią.

— Staremu Winthropowi powinno być chyba wszystko jedno? Płacisz czynsz, robisz, co ci się podoba...

— Nie chcę, żeby się krzywił, kiedy sprowadzę Joss.

— Och — powiedział Mark. — Joss. — Ciągłe miał nadzieję, że problem Joss zlikwiduje się sam poprzez rozwianie się w powietrzu. Już przy pierwszym spotkaniu uznał Joss za osobę nad wyraz nieprzyjemną, a jednocześnie niepokojącą. Nie chciał myśleć o Kate jako o matce, chciał myśleć o niej jako o niezależnym duchu, ptaku, którego on wyzwolił z klatki. Wyzwolił, rozumie się, dla siebie.

Kate nie zdradzała jednak chęci zostania jego własnością. Była rozkoszna, beztroska i wesoła, ale on doszedł do punktu, kiedy chciał uzyskać od niej jakieś zobowiązanie. Ona zaś nie była skłonna składać żadnych zobowiązań ani słowem, ani czynem. Była bardzo zgodna w łóżku, ale on chciał czegoś więcej, o wiele więcej, chciał odrobiny przemocy, którą na własny użytek nazywał oddaniem. „Zaufaj mi”, powiedział kiedyś do Kate, próbując nakłonić ją do tego „oddania”. Nie wyglądała na przekonaną. Kiedyś krzyknęła: „Czy myślisz o tym cholernym Jamesie?” a ona spojrzała na niego ze zdumieniem i powiedziała: „Oczywiście, że nie”. Nie uwierzył jej.

Ostatniej nocy próbował ze wszystkich sił zrobić to powoli i delikatnie, i jak zwykle nie potrafił nad sobą zapanować. „Au!”, krzyknęła Kate w pewnym momencie, a nieco później: „Nie tak szybko, nie tak szybko”.

Rozmyślając o tym teraz, podczas nakrywania sto-

łów, Kate postanowiła, że da sobie tydzień bez seksu z Markiem. Nadal jej się podobał i nadal lubiłaby się z nim kochać (czy naprawdę?), gdyby chciała się kochać z kimkolwiek. Ale nie chciała, chciała tylko żyć spokojnie, sama ze sobą. Zresztą w tym tygodniu i tak pracowała przez cztery wieczory, a piątego szła do kina z Helen (przerażająca perspektywa wobec jej ucieczki z Mansfield House, ale musiała przez to przejść, żeby ocieplić ich stosunki), szósty i siódmy zaś zamierzała spędzić samotnie. Ma chyba prawo do dwóch wieczorów tygodniowo, nie jest to wygórowane żądanie. Umówiła się z Markiem dopiero ósmego dnia na oglądanie programu Hugh'a o eutanazji. Do tego czasu, powiedziała sobie Kate, moje życie należy do mnie. Ta właśnie myśl sprawiła, że nuciła nakrywając stoły.

U wylotu krętych schodów prowadzących do piwnicy ukazała się głowa Benjiego.

— Zgadnij co, Kate?

Kate знаła Benjiego. Nie odwracając się nawet od stołu, gdzie wsuwała serwetki do kieliszków, powiedziała:

— Zmieniłeś upodobania seksualne.

— Niestety, pudło. Próbuj jeszcze raz.

— Dzwoniła księżna Diana.

— Poddaj się — powiedział Benjie. — Wyszło mi cholerne oregano. Oregano!

— No i co?

— No i nie miałem czasu wyjść i dokupić, Katie, kochanie, skarbie, złotko, klejnociku.

— Rozumiem.

— Najmniej cztery uncje. Suszone.

— Jesteś beznadziejny.

— Nie we wszystkim — powiedział Benjie, jak było do przewidzenia. —

Zapytaj chłopaków.

Zniknął w piwnicy. Kate wzięła z kasy trochę drobnych i wyszła na ulicę, nadal nucąc pod nosem. Był uroczy dzień, bładoniebieskie niebo i wełniste chmurki,

dzień napawający optymizmem. Kate skręciła w bok z uliczki, na której znajdowała się Pasta Please, i ruszyła żwawym krokiem w stronę Cornmarket Street.

Przebiegła pod arkadami Clarendon Centre, wydostała się na Queen Street i stanęła na chodniku, by poczekać na przerwę w ruchu. Wtedy ich zobaczyła. Stali po drugiej stronie ulicy, James i Joss, obładowani torbami z supermarketu. Radosne uniesienie Kate prysło jak bańka. James i Joss patrzyli w jej stronę, nie widząc jej. Nie wyglądali na szczęśliwych ani nawet zadowolonych *i* faktu, że są razem, wyglądali — i to ją zabolalo — po prostu na znudzonych. Są tacy zwyczajni i naturalni, pomyślała, jak... och, Boże, jak ojciec i córka, mający siebie nawzajem powyżej uszu. Weszli na jezdnię i James instynktownym, opiekuńczym gestem wyciągnął obładowane ramię w stronę Joss. Kate odwróciła się na pięcie i uciekła.

Bliźniaki Hunterów siedzieli w garderobie Julii. Weszły tam, żeby schować się przed Sandy, ale drzwi okazały się cięższe niż powinny i zamknęły się za nimi z hukiem. Nie czuli się tym zaniepokojeni, siedzieli razem w pachnących mamą ciemnościach, a garderoba znajdowała się w sypialni Julii i Hugh'a. Uwolnienie było sprawą pewną. Zresztą w tej chwili bawili się świetnie, słuchając nawoływań Sandy, pchając głowy w nogawki spodni Julii i zachęcając się do coraz większych psot.

— Grubasińska — powiedział George, przyduszo-ny czarnym szyfonem. Edward wypadł z tweedowego żakietu, chichocząc bez opamiętania.

— Gruba Sandy, gruba Sandy, grubasińska Sandy — powiedział George zachęcony reakcją brata.

Edward zeszywniał.

— Ciii...

176

Ciężkie kroki rozległy się na schodach i umilkły na podeście. Nawet Sandy, bezczelna, przymilnie uśmiechnięta Sandy, nie śmiała wtargnąć do sypialni Julii. Drzwi otworzyły się bardzo wolno. Bliźniaki wstrzymały oddech. Edward przytknął oko do szpary w drzwiach i obserwował bezkształtne, płaskie stopy Sandy przemierzające niepewnie wypolerowane deski i greckie dywany. Stopy zatrzymały się koło toaletki Julii. Chłopcy usłyszeli dźwięk, jaki wydają puzderka i buteleczki brane do ręki i odkładane na miejsce, ciche podzwanianie o szkło, pod którym Julia trzymała ich zdjęcia od czasu gdy byli ot, takimi kruszynkami aż do chwili obecnej. Wydawało im się, że Sandy stoi tam bardzo długo, strasznie długo, i zaczęli się skrecać z ochoty do śmiechu i zrobienia siku. Wtedy Sandy powiedziała: „Cholerne dzieciaki” i wyszła.

George wyśliznął się z wizytowej sukni Julii i położył obok Edwarda. Złapali się za ramiona i zaczęli potrząsać, a potem ogarnęła ich fala niepowstrzymanego chichotu i pozbawiła wszelkiej kontroli nad pęcherzem. Śmiali się i siusiali, aż do ostatniej kropli, i siuski wypłynęły z garderoby, i rozlały się po czystej, błyszczącej podłodze.

Sandy stanęła przed Julią, nie okazując cienia strachu.

— Poszłam do toalety. Trzy minuty.

— Szukałaś wszędzie? Absolutnie wszędzie?

— Oczywiście.

— Nawet w mojej sypialni?

— Tam bym nie weszła! — powiedziała Sandy zgorszona.

Julia zaczerpnęła głęboko powietrza. Nie pozwoli, by Sandy zobaczyła, jaka jest przerażona, zwłaszcza teraz, gdy Sandy powiedziała spokojnie:

12 –Nietatwe związki

177

— To tylko kawał. Wyjdą, kiedy zgłodnieją. Coś takiego przytrafiło się Julii po raz pierwszy w życiu. Nigdy się nie zgubiła i nigdy nie zgubiła nikogo naprawdę ważnego. Przeraził ją własny strach, pogłębiony świadomością, że miała taki wspaniały dzień, że wszystko szło jak po maśle. Fanny McKinley zadzwoniła, prosząc o wywiad, a Hugh dowiedział się, że jego program (ostatecznie zatytułowany „Czy wybór należy do ciebie?”) zostanie nadany jednocześnie na wszystkich kanałach niezależnej telewizji, że prasa już zaczyna wokół niego węszyć...

— Czy mam wstawić wodę na herbatę? — zapytała Sandy. — Podsmażę bekon, to może wyjdą.

— Nie — zamierzała powiedzieć Julia, ale niechcący krzyknęła. ' Sandy wybałuszyła na nią oczy.

— Idę na górę — powiedziała Julia. — przeszukam piętro. Wyjdą... wyjdą na moje wołanie.

— Dobra — powiedziała Sandy.

Julia opuściła kuchnię, próbując wmówić w siebie, że obojętność Sandy nie jest obojętnością, tylko spokojem.

— Chłopcy! — zawołała, wbiegając na schody. — Chłopcy? Bliźniaki? Minęła podest, ciągle nawołując, i znalazła się przy drzwiach sypialni.

— George! Edward! Kochani, gdzie jesteście?

Weszła do pokoju. Był tak cichy, że ta cisza wydawała się ostateczna. Chcę do Hugh'a, pomyślała Julia, nie poradzę sobie sama, potrzebuję Hugh'a. Rzuciła żakiet na łóżko i podbiegła do telefonu. Wdepnęła w coś bosą stopą i spojrzała w dół. Pod drzwiami garderoby stała kałuża, kałuża... — Wsadziła w nią ostrożnie palec i z wnętrza szafy dobiegł ją płacz zmęczonych, przemoczonych bliźniaków.

Hugh uznał, że to zabawne. Objął Julię i śmiał się, śmiał bez końca z twarzą w jej włosach, potem poszedł na górę do sypialni bliźniaków i śmiał się, idąc po schodach.

— Sandy miała rację — powiedział w obecności Sandy, co było błędem.

— Zachowałam się jak idiotka — powiedziała Julia, kiedy zostali sami.

— Nie, kochanie, zachowałeś się jak prawdziwa matka.

— Krzyknęłam na Sandy.

— Ona jest nieprzemakalna. Krzyki odbijają się od niej jak groch od ściany.

Na twoim miejscu pokrzyczałbym na nią jeszcze trochę. Czy one nasiu-siały ci w pantofle?

— Tylko w jeden.

— Och, Boże! — Hugh dostał kolejnego ataku śmiechu — rewelacja. Wydały ich siuśki.

— Naprawdę się przestraszyłam. Miałam właśnie do ciebie dzwonić.

Popatrzył na nią.

— Naprawdę?

— Tak.

— Czulaś się beze mnie bezradna? To mi się podoba.

— A mnie się nie podoba, że ona się wcale nie zmartwiła. To mnie przeraziło.

— Przecież mówiłaś, że Sandy jest cudowna... Julia zawahała się. Faktycznie tak mówiła i nadal

uważała, że Sandy jest odpowiedzialna i kompetentna, naprawdę. Tylko nie podobał jej się wyraz twarzy Sandy, kiedy stały w kuchni. Uniosła podbródek.

— Przypuszczam, że była równie przerażona jak ja i dlatego tak się zachowała, czuła się odpowiedzialna.

— Kochanie — powiedział Hugh, przytulając policzek do jej twarzy. — Nic się wielkiego nie stało, prawda? Przecież dzieci nawet się nie zgubiły.

Julia zwróciła na Hugh'a ogromne oczy, a potem złożyła głowę na jego ramieniu. — Nie. Oczywiście, że nie.

— Mamy dobrą passę, nic złego nam się nie przydarzy — powiedział Hugh stanowczo. Wziął Julię za rękę i sprowadził do kuchni. Stół był nakryty dla dwojga, a przy młynku do pieprzu leżała karteczka Sandy. „Nadziejane naleśniki w piecyku. Poszłam grać w kości”. Na piecu, niby gałązka oliwna, stał pantofel, do którego nasiusiały bliźniaki, umyty i podsuszony[^]

— No proszę! — zawołał Hugh z triumfem. — Widzisz! Czy można prosić o więcej?

Leonard zaczął zmywać. Po powrocie Joss stało się jasne, że w Wili Richmond muszą nastąpić zmiany, i Leonard zdecydował, że jemu przypadnie w udziale zmywanie, zajęcie zarazem publiczne i dające możliwości pełnego wykorzystania zdolności pantomimicznych. Parę razy dziennie przyciągał do zlewu stołek na trzech nogach, siadał i robił przedstawienie z wodą i zmywakami, po czym wycierał wszystkie naczynia tą samą ścierką, dzień po dniu.

— Mamy mnóstwo czystych... — mówił James.

— Głupie marnotrawstwo. Co ci się nie podoba w mojej ścierce? Ja nią tylko wycieram, wszystkie zarazki, jakie w niej siedzą, są naszymi zarazkami. Jeżeli nie potrafisz radzić sobie z własnymi zarazkami, to ja, bracie, czarno widzę.

Najbardziej lubił zmywać popołudniami, kiedy nadawano słuchowiska radiowe. Wrzeszczał na bohaterów albo ciskał w odbiornik swoją mokrą ścierką. Pani Cheng, która nie widziała sensu w jego zmywaniu, skoro i tak trzeba było po nim poprawiać, uważała radio za sprzymierzeńca. Ściągało na siebie większość obelg Leonarda. Kręciła się po

domu ze szmatkami i szczotkami, słuchając ryków Leonarda z roztargnieniem, z jakim odnosiła się obecnie do wszystkiego, co nie dotyczyło bezpośrednio Kate. Nie mogła się zmusić, by pójść do Osney po raz drugi. Przeraził ją widok Kate tak szczęśliwej w sytuacji, która wydawała się pani Cheng nienormalna i zła. Czowała, że jej obowiązkiem w tej sytuacji jest doglądać Willi Richmonda, ze szczególnym uwzględnieniem pokoju Joss. Mogła się mylić, ale zdawało się jej, że od pewnego czasu Joss podchodzi jakby z mniejszą nienawiścią do przejawów ładu, który ona, pani Cheng, próbuje zaprowadzić.

— Proszę nie dotykać jej pokoju — powiedział James. — Proszę go zostawić. Jest wyrazem anarchii i nie pozostaje nam nic innego jak go ignorować. Ale pani Cheng nie mogła go ignorować. Myśl o tym, co znajduje się w pokoju Joss, drażyła ją i nękała tak długo, dopóki nie stanęła oko w oko z potworem i nie przystąpiła do ataku wiedziona pragnieniem czystości i ładu. Podczas wakacji było to jeszcze trudniejsze z uwagi na ciągłą obecność Joss. Kiedy więc nadszedł pierwszy dzień nowego semestru, pani Cheng otworzyła drzwi pokoju Joss z uniesieniem i zapalem prawdziwego reformatora. Na łóżku leżał garb.

Pani Cheng podeszła bliżej i zerknęła. Oczy Joss były szczelnie zamknięte. Pani Cheng szturchnęła ją szczotką.

— Dlaczego nie jesteś w szkole?

— Boli mnie głowa — szepnęła Joss. — Powiedzieli, że mogę iść do domu. Panna Gale mnie odesłała.

— Dlaczego boli cię głowa? Masz okres?

— Nie — powiedziała Joss — tylko ból głowy. — Wtuliła twarz w poduszkę.

Pani Cheng zeszła do kuchni. Wuj Leonard wycierał widelce i wrzeszczał: „Nie poddawaj się, głup-

cze, nie poddawaj się!". Czwórka nadawała „Sagę rodu Forsythe'ów". Pani Cheng przeszła szybko przez kuchnię i wyłączyła radio.

— Dlaczego pani to zrobiła?

— Słyszał Joss?

— Nie. Joss jest w szkole. Niech pani to włączy. W życiu nie spotkałem takiego dupka jak Michał Mont...

— Jest na górze. Z bólem głowy.

— Joss? — Leonard upuścił pełną garść widelców. — Co znowu przeskrobała? Cholerny dzieciak. Bawi się w wagary.

— Błada jakaś — powiedziała pani Cheng. Leonard sięgnął po laskę.

— Będzie jeszcze bledsza, gdy z nią skończę. Wykuśtykał z kuchni i pani Czeng usłyszała, jak

wspina się mozolnie po schodach. Po chwili rozległy się krzyki, potem szuranie i postukiwanie Leonarda przeniosło się na korytarz, powędrowało do łazienki i z powrotem do pokoju Joss. Po jakimś czasie Leonard zszedł wolno do kuchni.

— Dałem jej aspirynę.

— Zadzwoń po doktora?

— Wykluczone. Lekarze są dla umierających, nie dla młodocianych symulantek.

— Gdzie James?

— W bibliotece. Wróci o szóstej. Ja — powiedział Leonard, prostując się i patrząc na panią Cheng z wyższością — wychodzę o szóstej. Będę oglądał siebie na ekranie telewizyjnym, wraz z panną Beatrice Bachelor, u jej bratowej. Biorę butelkę sherry. Dziś, mój zżółkły bambusiku, mój mały orientalny półgłówku, dziś jest mój wielki dzień.

Pani Cheng puściła obelgi mimo uszu.

— Nie zostawi Joss samej?

— Z całą pewnością nie — powiedział Leonard. — Znam swoje obowiązki.

Pani Cheng odłożyła ścierki i powiesiła szczotkę za drzwiami do piwnicy. Potem zapięła różowy płaszcz nieprzemakalny, który kupiła dokonawszy rozdzierającego serce wyboru między różowym a kanarkowym, i wyszła. Wtedy Leonard ujął słuchawkę telefonu i zamówił taksówkę. Ma odebrać go z Willi Richmond za piętnaście szóstą i odwieźć na Cardigan Street. Dom wydawał się uśpiony, kiedy parę minut po szóstej James otworzył drzwi. Stał w hallu i nasłuchiwał znajomego pogadywania radia i głuchego bębnienia rocka. Panowała cisza. Na stole w kuchni stał efekt pracy Leonarda — żalosna kupka niekonsekwencji, która szybko stawała się nieodłącznym elementem Willi Richmond. Filiżanki tkwiły w miseczkach do puddingu, głębokie talerze balansowały na talerzykach deserowych, łyżki wystawały z dzbanka do herbaty. James położył teczkę na kuchennym blacie i otworzył szafkę z alkoholem. Znalazł cał whisky, dwie puszki piwa i pół butelki tureckiego wina, jedyne, jakie miał na składzie pan Patel. — Pewien klient powiedział, że jest bardzo męskie — powiedział pan Patel, który nie pił alkoholu, mimo że był chrześcijaninem. James nalał whisky do szklanki i chlupnął do niej wody z kranu. Potem zaniósł szklankę do gabinetu. Było oczywiste, że Leonard, podekscytowany programem „Czy wybór należy do ciebie?”, wybył z domu wcześniej. Równie oczywiste było to, że Joss zarzuciła udoskonalanie swojego zachowania, o co już zaczął ją podejrzewać w ostatnim tygodniu, i wyszła nie odrobiwszy lekcji. Pociągnął tęgi łyk whisky. Nie wiedział, czy martwi się zachowaniem Joss, czy już na nie zobojeźniał i wyczekuje tylko dnia, kiedy będzie mógł odstawić córkę Kate do Osney i powie-

dzieć sobie, że ma to z głowy. Kłopot w tym, pomyślał James, gapiąc się w swoją szklanę, że jakaś część mojej osoby, część, której w ogóle nie rozumiem, wcale nie chce mieć tego z głowy.

Postawił szklanę na stosie książek przy fotelu i włączył gazowy piecyk. Potem poszedł na górę zmienić marynarkę na sweter i w korytarzu uświadomił sobie, że gdzieś na piętrze zamknięty jest kot, który płacze. Stał nasłuchując i zrozumiał, że kot jest w rzeczywistości istotą ludzką, a ta istota znajduje się za drzwiami pokoju Joss. Skoczył naprzód, szarpnął drzwi i płacz zmienił się w zawodzenie.

— Joss! Odwróciła się ku niemu, zawinięta w kołdrę, z twarzą wykrzywioną płaczem.

— Och, Joss! — powiedział James wstrząśnięty do głębi. Usiadł na brzegu łóżka i wciągnął jej opatulone ciało na swoje kolana. — Och, Joss, co się stało, dziecko?

Przyłgnęła do niego. Jej ramiona, nagie i chude, wyłoniły się spod kołdry i oplotły wokół Jamesa. Potem odwróciła ku niemu gorącą, śliską twarz i wcisnęła mu ją w szyję.

— Czy to Kate, czy to mama, chcesz do mamy?

— Nie! — zakrztusiła się Joss, trąc gwałtownie twarzą o jego szyję. — Nie! James uwolnił jedną rękę i odsunął Joss od siebie, żeby na nią spojrzeć.

— Joss — powiedział łagodnie. — Czy to Garth? Rzuciła mu spojrzenie ostatecznej rozpacz i łzy

spłynęły strumieniem po jej policzkach. James przytulił ją i zaczął kołysać, w prawo, w lewo, w prawo, w lewo, jak chore dziecko.

— Och, Joss. Tak mi przykro, tak mi przykro.

— Niedojrzała — wymamrotała Joss w szyję Jamesa. — Tak powiedział. Że jestem dziecko, małe dziecko. Powiedział, że jestem nudna.

James dalej ją kołysał. Stwierdził, że sam ma w gardle kluchę.

— Wiesz — powiedział drżącym głosem — ludzie często mówią o innych niemiłe rzeczy dlatego, że sami tacy są.

— Ja... ja go lubiłam! — krzyknęła Joss zdławionym głosem.

— Oczywiście, że lubiłaś. Wiem. Ale będą inni.

— Nigdy — powiedziała Joss.

— Jossie! Co za nonsens. No już. Wydmuchujemy nos.

Wyprostowała się trochę i otarła nos wierzchem dłoni.

— Fe, brzydko! Masz, weź moją chusteczkę. Rozdzwonił się telefon. Joss zeszywniała lekko.

— Telefon...

— Zostaw — powiedział James. — Jeżeli to coś ważnego, zadzwoni jeszcze raz. Nasze sprawy są w tej chwili ważniejsze. Opowiedz mi, co się stało.

— Powiedział to po lunchu. — Głos Joss nabrał trochę mocy. — Przy wszystkich. Wszyscy słyszeli. Wszyscy.

— Tchórz!

Joss potrząsnęła głową.

— Wiedziałam, że to nie może trwać.

— Następnym razem potrwa.

— Nigdy!

— Bzdury. — Wyciągnął rękę i zmierzwił jej krótkie, wilgotne włosy. — No, staruszko. Zdaje się, że jedziemy na tym samym wózku.

Nie zrobiła żadnego gestu świadczącego o chęci zejścia z jego kolan.

Siedziała tam opatulona, pociągając nosem, i przyglądała się Jamesowi.

Potem pochyliła się i pocałowała go niezdarnie w policzek. James przełknął ślinę.

— Wiesz, co musimy teraz zrobić?

— Co?

— Musimy zejść na dół i wysłuchać, co stryj Leonard i panna Bachelor mają do powiedzenia o śmierci. — Dotknął policzka Joss. — Zresztą, śmiech dobrze nam zrobi, nie uważasz?

Joss przytuliła twarz do jego piersi i zaczęła bardzo słabiutko chichotać.

— Rewelacja — powiedział Mark Hathaway i przycisnął wyłącznik pilota. — Zachwycająca stara kobieta.

Kate milczała. Próbowwała przyzwyczać się do myśli, że oto poznała pannę Bachelor, wprawdzie za pośrednictwem telewizji, ale jednak. Panna Bachelor była bardzo imponująca: pewna siebie, spokojna, chwilami nawet dowcipna. „Ależ skąd”, powiedziała kilkakrotnie do Hugh’a, niewidzialnego rozmówcy, a raz, bardzo stanowczo: „Kompletna bzdura”.

— Co o tym myślisz, Kate?

— Jestem trochę ogłuszona. Mark wstał z kanapy.

— Byłaś ogłuszona, kiedy tu przyszedłeś — powiedział ostro.

Miała całkowitą rację. Próbowwała dodzwonić się do Willi Richmond, żeby porozmawiać z Joss. Telefon dzwonił i dzwonił, i nie odebrał go nawet Leonard. Nie miała żadnych podstaw, by tak sądzić, ale czuła, że oni wszyscy są w domu, słyszą telefon i podejrzewając, że to ona, nie odbierają. Podobne zachowanie nie pasowało do żadnego z nich, ale to uczucie nękało ją jak mdłości. Powiedziała o tym Markowi, a on zrobił się niechętny i odległy, zupełnie jak wtedy, gdy wspomniała o spotkaniu z Jamesem na Queen Street. Doszła do wniosku, że złości się na nią za to, że przez ostatni tydzień nie chciała z nim spać. Kiedy nalewał kawę, spojrzała na wspaniałą, klasyczną linię jego szczęk i trudno jej

było nie zauważyć, że Mark zaciska zęby. Niech to wszyscy diabli, pomyślała Kate, znowu trzeba będzie wyjaśniać, pocieszać i koić.

— Zakładam — powiedział Mark, podając jej kubek z kawą — że twój *cordon sanitaire* nie został usunięty.

— Jeżeli nie potrafimy odnosić się do siebie kulturalnie poza łóżkiem, dlaczego mielibyśmy robić to w łóżku?

Spojrzał na nią z pogardą.

— Seks jest podstawową formą komunikowania się, na wypadek gdybyś nie wiedziała.

Kate patrzyła w kubek z kawą. Mark przyrządzał znakomitą kawę, jej aromat wznosił się ku niej, jakby szydząc, tak jak szydził z niej pokój Marka, ponieważ nie potrafiła być dzieckiem swoich czasów.

— Zresztą to bez znaczenia — powiedział Mark, odwracając się do niej plecami. — I tak nie mógłbym kochać się z kobietą, która myśli wyłącznie o swoim cholernym dzieciaku. O dzieciaku, którego, nawiasem mówiąc, porzuciła...

Kate zamknęła oczy. W uszach dzwonił jej znajomy głos Hugh'a, stanowczy ton Béatrice Bachelor. W pewnym momencie ofuknęła Hugh'a, że zarzuca zwolennikom eutanazji skłonność do egzaltacji. „Przytoczę słowa doktora Johnsona — rzekła panna Bachelor z pewną surowością. — Powiedział, że ci, którzy nie czuli bólu, rzadko w niego wierzą”.

Kate znów spojrzała na Marka. Nie spuszczał z niej wzroku, czekając, żeby podjęła wyzwanie. Kłopot z cierpieniem, pomyślała nagle, polega nie tyle na obojętności tych, którzy go nie znają, ale na zbyt licznych odmianach bólu. Uśmiechnęła się z trudem i wyciągnęła rękę.

— Przepraszam — powiedziała.

— Gratulacje — powiedział Kevin McKinley. Biurko miał zarzucone wycinkami prasowymi. „Śmierć w TV”, brzmiał jeden z tytułów, które Hughowi udało się przeczytać do góry nogami. „Telewizja w obronie prawa wyboru: życie czy śmierć”.

Kevin McKinley uśmiechnął się. Trzymał Hugh'a za drzwiami prawie dwadzieścia minut. „Nie spieszy mi się do starego pierdziela”, powiedział sekretarce. Nie zamierzał poczęstować go drinkiem ani nawet filiżanką kawy. „Czy wybór należy do ciebie?” przyciągnął uwagę jedenastu milionów widzów i wszystkich istniejących gazet w kraju. Gdyby panna Bachelor i Leonard Mallow nie zdecydowali się zachować anonimowości, Jerycho byłoby teraz obleżone przez dziennikarzy.

— Wspaniała starsza pani — powiedział Kevin. Hugh skinął głową. Rozsadzała go duma i ulga, trzymał jednak emocje na wodzy, chcąc zasugerować McKinleyowi, że podobny sukces to dla niego nie pierwszozna.

— Nie sądzę, żeby ITC robiła nam jakieś wstręty. Zawsze mogą powiedzieć, że o niczym nie wiedzieli, czyli szczerą prawdę. Nie zawiadomiłem ich celowo.

— Słusznie.

Wzrok Hugh'a powędrował znowu ku wycinkom. Nie widział jakoś artykułu, na który pragnął zwrócić szczególną uwagę McKinleya. Był to komentarz, w którym znany dziennikarz wyrażał podziw nie tylko dla programu, ale również dla sposobu zaprezentowania go przez Hugh'a. „Gdyby dyrekcja Midland wiedziała, co dobre — pisał dziennikarz — zwróciłaby uwagę na nieoczekiwaną głębię odsłoniętą przez prezentera-wesołka”. Hugh zastanawiał się, jak się dowiedzieć, czy Kevin widział artykuł.

— Przejrzałeś wszystkie gazety?

— Najważniejsze...

— W „Telegrafie” jest znakomity kawałek.

Śmiech Kevina zabrzmiał niemal jak szczeknięcie.

— Gdybym czytał „Telegraph”, siedziałbym u czubków. — Wstał. Pięć minut Hugh minęło. — Nie będę cię zatrzymywał, Hugh.

Hugh zawahał się. Więc na tym koniec? Nie będzie mowy o przyszłości? O następnym programie z cyklu, nie będzie nawet radosnego i nic nie mówiącego „oby tak dalej, stary!”. Najwyraźniej nie. Hugh rozprostował ramiona i uśmiechnął się szeroko.

— Miło przykopać opozycji.

— O tak — bąknął Kevin. Drzwi się otworzyły.

— Mam Los Angeles na linii — powiedziała sekretarka.

— Oczywiście... — zaczął Hugh.

— A więc do widzenia.

— Do widzenia — powiedział Hugh, ciągle z uśmiechem. — Do widzenia.

Wyszedł na korytarz, a drzwi gabinetu Kevina McKinleya zamknęły się za nim tak prędko, że omal nie przycięły mu nogi.

Kate umówiła się z Joss na krytym bazarze. Wybrała bazar, ponieważ znajdował się w pobliżu restauracji, i ponieważ był ludnym miejscem. Po ostatnim telefonie do córki czuła, że będzie lepiej dla nich obu, jeżeli spotkają się wśród ludzi. Miała jej coś do powiedzenia. Chciała zaproponować, by Joss przeniosła się do Osney natychmiast, żeby przestały udawać, że żyją oddzielnie, skoro Joss złożyła już swoją deklarację niezależności i wywalczyła jej uznanie.

Kate powiedziała, że będzie czekać przy małej cukierni, gdzie wypiekano amerykańskie ciastka. Można je było wynieść, gorące i pachnące, w zachwycająco nieangielskiej papierowej torbie. Joss się spóźniła. Kate wsadziła ręce w kieszenie spodni, oparła się o ścianę cukierni i obserwowała ludzi, oksford-czyków kupujących kapustę i funty kielbasy, i turystów, rozglądających się z bezprzedmiotową ciekawością właściwą wszystkim turystom. Każdy coś niósł, torbę, aparat albo reklamówkę, albo zwinięty płaszcz przeciwdeszczowy, albo dzieci, albo książki, gazety, papierowe tuby z kwiatami, albo...

— Cześć — powiedziała Joss. Ona także była obładowana. Przez ramię miała przewieszony czarny

szkolny plecak, w drugiej ręce niosła siatkę, z której wystawała nać selera i koniec ogórka. Joss ubrana była w różowy sweter, i fakt ten wstrząsnął Kate bardziej, niż gdyby Joss przyszła nago. Pozwoliła matce się pocałować.

— Co to takiego? — zapytała Kate, wskazując warzywa.

— Seler — powiedziała Joss. — I ogórek. Kate uśmiechnęła się sztucznie.

— Widzę. Pytałam, dlaczego to nosisz?

— Dlaczego nie? — odpowiedziała Joss. — James nie może robić wszystkich zakupów, a wuj Leonard jest tak niegrzeczny dla pana Patela, że nie możemy go tam puszczać.

Na wspomnienie niezrównanej kurtuazji pana Patela Kate poczuła nagły skurcz serca.

— Herbata? — zapytała.

— Dobrze — odparła Joss. — Ale nie mam wiele czasu.

— Ja też nie.

Joss spojrzała na nią spod oka.

— Więc wszystko w porządku.

Przy malutkim plastikowym stole w kawiarni Kate powiedziała:

— Wyglądasz inaczej.

— Raczej nie.

— Ależ tak. Jakoś tak jaśniej.

— Stokrotne dzięki!

— Miło widzieć cię w różu.

Joss skubnęła sweter i skrzywiła się pogardliwie.

— To sweter Angie. Zamieniłyśmy się.

— Angie? Nie znam Angie...

Joss odgryzła ogromny kęs bułki z rodzynkami.

— Jest ze szkoły — powiedziała poprzez okruszki i cukier.

— Nowa?

— Nie.

Kate nachyliła się nad stołem.

— Jaka ona jest?

— W porządku.

— Joss.

— Przecież mówię — Joss oblizwała palce. — Jest ze szkoły, jest w porządku, zamieniłyśmy się swetrami. — Urwała. — Przyjdzie na kolację. Jest wegetarianką — dodała po chwili.

— Przyjdzie na kolację! Do Willi Richmond? Joss wlepiała w nią wzrok.

— Dlaczego nie?

— Nigdy nikogo nie zapraszałaś do domu.

— No więc zaprosiłam Angie.

— Wyobrażasz sobie, co powie wuj Leonard na wegetariankę? — zauważyła Kate odważnie.

— Och — Joss machnęła ręką. — Nie należy się nim przejmować. \

— Joss, chcę cię o coś poprosić, coś ci zaproponować. Joss wyglądała na znudzoną.

— Chodzi mi o nas, o mnie i o ciebie.

— Tylko bez cikliwych kawałków.

— To nie jest cikliwy kawałek, to poważna sprawa.

— Czyli cikliwy kawałek. — Joss odsunęła żelazne krzesło i wstała.

— Proszę...

— Daj spokój, mamó — powiedziała Joss — po prostu daj temu spokój. — Zaczęła zbierać swoje rzeczy.

— Joss, musisz mnie wysłuchać.

— Nie, nie muszę. Muszę iść. Naprawdę.

— Nie tęsknisz za mną? Joss wyglądała na przerażoną.

— Mówiłam, żebyś się nie roztkliwiała...

— Nie wiem, co się dzieje w twoim życiu! — zawołała Kate. — Nie wiem, co robisz, z kim się spotykasz! Co z Garthem?

— Garth? — Głos Joss brzmiał niemal szyderczo.

— Tak, tak, spotykasz się z Garthem?

— Nie z nim — powiedziała Joss. — Za nic w świecie. — Zrzuciła plecak na ramię.

— Co się stało?

— Nie pamiętam — powiedziała Joss. Przystanęła, by otrzeć się policzkiem o twarz Kate w imitacji pocałunku i jej torba uderzyła o stół.

— Uważaj...

— Na razie, mamó — powiedziała Joss. — Trzymaj się. — I już jej nie było.

— Chce się z panią widzieć — powiedziała sekretarka.

— Jest pani pewna? Jest pani pewna, że nie chodzi o mojego męża, Hugh'a?

— Nie — powiedziała sekretarka. Oszacowała wzrokiem Julię, jakby przyczepiała etykietkę z ceną do każdej sztuki odzieży. — Powiedział, że byłby wdzięczny, gdyby zechciała mu pani poświęcić dziesięć minut przed lunchem. Dwunasta trzydzieści, powiedział.

— Oczywiście.

Zapadło milczenie. Sekretarka, która zeszła do pokoju Julii w nadziei, że spotka Roba Shinera, czekała na podziękowanie. Julie uśmiechnęła się tylko. Zasmarkana krowa, pomyślała sekretarka i wyszła. Gabinet Roba Shinera stał otworem, ale Roba w nim nie było. Kogo to obchodzi, powiedziała sobie sekretarka, kogo to, do cholery, obchodzi? Nie mnie. Odeszła wolno w stronę windy. Julia wykręciła numer domu.

— Przysłał po mnie!

— Kevin?

— Tak. Przysłał tu sekretarkę Chce, żebym przyszła do niego przed lunchem! Hugh cmoknął w słuchawkę.

— Nie daj się im, kochana!

Gabinet Kevina MacKinleya został przemeblowany pod okiem Fanny tak, by dowodził nie tylko władzy,

13 —Nietatwe związki

193

ale i znajomości ostatnich trendów. Znajdowały się w nim eleganckie nowoczesne meble, złoto-czarne zasłony w neoklasyczny deseń, rzędy telefonów i ekranów komputerowych. Jedynymi obrazami były ryciny Francis Bacon. Ogromna figa w terakotowej urnie rzucała rozczapierzony cień na dywan.

— Witaj, Julio — powiedział Kevin. Stał za swoim nowoczesnym klonowym biurkiem i uśmiechał się. — Chciałem zobaczyć się z tobą osobiście. Skinęła głową. Atmosfera pokoju podziałała na nią dziwnie. Była podniecona i przestraszona. Ujęła dłoń Kevina, a potem usiadła na krześle, które jej wskazał.

— Rozmawiałem z Robem Shinerem. Powiedział mi wiele dobrych rzeczy. Julia czekała. Nagle przypomniała sobie chwilę, kiedy siedziała w gabinecie dyrektorki w szkole, pewna, że mianują ją przewodniczącą, a dowiedziała się, że zostanie tylko jej zastępczynią. Była to uzdrawiająca lekcja i Julia wzięła ją sobie do serca. Kevin McKinley powie jej, że podoba mu się cykl „Night Life”, ale nie chce przedobrzyć sprawy i dlatego nie będzie...

— Chcę ci zaproponować kontrakt, Julio. Dwuletni kontrakt.

Wlepiała w niego wzrok.

— Nie wydajesz się zachwycona.

— Ależ jestem, jestem...

— Chcę więcej dokumentu, i to z punktu widzenia lat dziewięćdziesiątych, z poważniejszym podejściem. Robota w sam raz dla ciebie.

— Jestem zachwycona, zachwycona... Uśmiechnął się do niej półgębkiem.

— Cieszę się. — Nastąpiła chwila ciszy, potem Kevin powiedział: — Nie możemy odnowić kontraktu Hugh'a. Z powodu jego wieku. Ale przynajmniej w ten sposób rzecz zostanie w rodzinie, prawda?

Hugh leżał bardzo spokojnie, ale Julia wiedziała, że nie śpi. Jeżeli chodzi o nią, była pewna, że nie uśnie już nigdy w życiu. Niemożliwe, żeby jakakolwiek para małżeńska przeżyła kiedyś równie koszmarne wieczór, i to nie z powodu awantur, lecz cierpienia. Cierpienia, które zaczęło się w gabinecie Kevina McKinleya i rosło, kiedy Julia jechała do domu, a potem rosło i rosło przez cały wieczór, aż zawiodło ich do łóżka, milczących, samotnych, nieszczęśliwych.

— Czy powinnam odmówić? — zapytała Julia. Hugh potrząsnął głową.

— Co by nam z tego przyszło? On mi tego i tak nie odda. Kevin stawia sprawę jasno, ty albo nikt. Skorzystaj z szansy, kochanie — powiedział, nie patrząc na nią. — Skorzystaj z szansy.

Kiedyś Julia wierzyła, że potrafi skorzystać z tej szansy, jeżeli będzie musiała, potrafi uświadomić Hughowi, w sposób stanowczy i łagodny, że musi się z tym pogodzić. Pamiętała, jak siedząc w kuchni, planowała przyszłość spokojnie i rozsądnie. Nie potrafiła zrobić tego teraz, nie dlatego, że straciła spokój i rozsądek, ale ponieważ nie wzięła pod uwagę, co będzie czuła, patrząc na klęskę Hugh'a. Ból był trudny do zniesienia, a jedyna osoba, u której mogła znaleźć pociechę — Hugh — była zarazem jedyną, do której się po tę pociechę zwrócić nie mogła. Nie krzyczał, nie przeklinał, nie płakał ani się nie upił. Próbował nawet zjeść kolację i próbował być wspaniałomyślny.

— Jestem z ciebie dumny.

— Proszę, nie...

— Julio, naprawdę jestem z ciebie dumny. To wspaniała nowina.

— Proszę...

— Przyszła kryzys na Matyska.

Ze swej strony Julia okazała tyle zrozumienia, ile tylko zdołała, tyle łagodności i współczucia, ile było

w ludzkiej mocy. Przyszło jej to bez trudu, chciała trzymać Hugh'a w ramionach i koić, i podziwiać. Ale on nie chciał. Nie dotknął jej ani nie pozwolił, by ona go dotknęła. Odpalał papierosa od papierosa i siedział, gapiąc się w ścianę. Julia próbowała przeanalizować motywy Kevina McKinleya, przekonać Hugh'a, że padł ofiarą rozgrywek personalnych, ale Hugh jej na to nie pozwolił.

— To idiotyzm, ciebie obejrzało jedenaście milionów ludzi, a „Night Life” jeszcze nikt! — zawołała.

— Daj spokój, kochanie.

— Moim zdaniem powinieneś zaprotestować. Dlaczego nie zadzwonisz do Maurice'a, dlaczego nie...

— Julio, nic nie mogę zrobić. Od lat wiedziałem, że taka chwila nadejdzie. Nadeszła dzisiaj.

— Ale masz przecież jeszcze swoje supermarkety: I ten klub zdrowia. Twarz mu się skurczyła. Czyżby się uśmiechał?

— Tak. Ciągle jeszcze mam to.

— Kocham cię — powiedziała później, i powtarzała to ciągle od nowa. — Kocham cię niezależnie od tego, co robisz. I potrzebuję cię. Nie radzę sobie bez ciebie. Kiedy sądziłam, że bliźniaki zaginęły, moją pierwszą myślą było zadzwonić po ciebie...

— Ciii — powiedział Hugh, nie bez czułości.

— Między nami nic się nie zmienia, nic nie może zmienić tego, co jest między nami.

Spojrzał na nią. Tkliwie, ale i trochę szacujące Poczuli się nagle młoda, młoda, niepewna siebie i głupiutka. Wyciągnęła do niego rękę.

— Hugh?

Ujął jej dłoń i musnął wargami. Potem puścił ją ostrożnie i wstał.

— Idę popatrzeć na bliźniaków.

— Pójdę...

— Nie. Chcę iść sam.

Poszedł na górę, a ona siedziała i patrzyła na

przepełnioną popielniczkę przy jego fotelu. Czowała w sobie tyle miłości i bólu, że z trudem to znosiła. Wstała, wyszła do hallu i spojrzała w górę pięknych schodów. Pokój bliźniaków był otwarty. Stała i czekała bardzo, bardzo długo, potem Hugh wyszedł na podest i zobaczył ją, jak stoi z zadartą głową.

— Nie pilnuj mnie — powiedział łagodnie.

— Ale ja się martwię...

— Nie musisz. Dobrze się czuję. Zaczęła wchodzić na schody.

— To nieprawda, to nie może być prawda, och, Hugh, proszę...

Przechylił się lekko przez poręcz.

— Idę wziąć kąpiel. Sam. Chcę być sam.

— Oczywiście — powiedziała, wdzięczna, że może spełnić jego życzenie, choćby chciał tylko, żeby trzymała się od niego z daleka.

Wszedł do łazienki i zamknął drzwi. Julia pokonała resztę schodów i zajrzała do pokoju bliźniaków. Leżały tak jak zawsze, zwrócone ku sobie. Edward odrzucił kołderkę i zobaczyła, że ma górę od innej piżamy. Było jej wszystko jedno. Nie mogła tego nie zauważyć, ale nie miała chęci iść poszukać pasującej połowy. Uklękła na podłodze między łózkami.

— Biedny tatuś — wyszeptała do śpiących chłopców. — Biedny, kochany tatuś.

Hugh spędził w łazience prawie pół godziny, a potem poszedł prosto do łóżka. Julia poszła za nim, żeby zapytać, czy nie chciałby herbaty, a może whisky, ale on uśmiechnął się, potrząsnął głową i zgasił nocną lampkę w sposób, który sugerował, że nadal chce być sam. Więc Julia zamknęła dom, zostawiając tylne drzwi otwarte dla Sandy, poprawiła poduszki na kanapach, zmiotła okruszki z blatów, pogasiła światła i poszła się wykąpać.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie warto popłakać sobie pod prysznicem, szlochać i zawodzić

w parze i odosobnieniu, ale stwierdziła, że nie może. Umyła się skrupulatnie, oczyściła twarz, wyszorowała zęby i wyszczotkowała włosy, szukając pociechy w rytuale gestów, ponieważ taka rozpacz była dla niej czymś zupełnie nowym. Znalazła czystą nocną koszulkę, narzuciła ją przez głowę i poszła do sypialni. Bardzo cicho wsunęła się do łóżka. Wyciągnęła ostrożnie rękę, żeby dotknąć Hugh'a. Nie poruszył się.

— Hugh. — Był to zaledwie szept. Cisza. Sięgnęła do nocnej lampki i przycisnęła wyłącznik, a potem leżała obok niego, i czuła cierpienie, jego i swoje własne, jakby to były dwa pola magnetyczne, przyciągające się nawzajem.

Wracając ze szkoły, Joss zastawała ich teraz często w kuchni. Panna Bachelor robiła kanapki albo przynosiła naprawdę mdłe herbatniki, „petit beurre” lub „maire”. To trochę tak, myślała Joss, jakby czekali na nią dziadkowie, choć przeciętni dziadkowie, z tego co wiedziała o dziadkach, nie wymuszają zeznań na temat zawartości zeszytów i nie wyzywają człowieka od skończonych debili. Joss nie chciała herbaty — a ściśle rzecz biorąc, nie chciała naparu, który pili — ale odkryła, że lubi, kiedy tak siedzą, podzwaniając filiżankami, talerzykami i słoikami potwornej pasty rybnej.

— Nigdy nie schodziłeś na dół — zagadnęła Leonarda. Leonard zmusił Jamesa, żeby kupił mu żółtą wełnianą kamizelkę. — „Na kurewską wiosnę, ty głupcze” — i poplamił ją zupą zaraz pierwszego dnia, a ponieważ nikt nie wiedział, jak spiera się zupę, pozostawili ją na kamizelce.

— Nigdy nie schodziłem, bo nigdy tu nikogo, cholera, nie było.

Panna Bachelor zjawiała się niemal codziennie. Nabrała zwyczaju czyszczenia mosiężnych klamek, pielenia w ogródku i otwierania drzwi uczniom Ja-

mesa, którzy panicznie się jej bali. Dopóki była w domu, Leonard siedział w kuchni, a przy ładnej pogodzie w drzwiach do ogrodu, i zażarcie się z nią kłócił. Próbowwała zlecać mu drobne prace, ale on odmawiał zrobienia czegokolwiek pożytecznego, chyba że na własnych warunkach. Wolał patrzeć, jak piele w ogródku, klęcząc na złożonym ręczniku, i wykrzykiwać obelgi. Pewnego dnia posunął się za daleko, powiedział, że ma tyłek jak wielbłądzica, i panna Bachelor zamknęła się w domu na trzy dni. Tęsknił za nią. Mówił o niej w tak obraźliwy sposób, że w końcu Joss zrozumiała, w czym rzecz, i poszła w odwiedziny na Cardigan Street.

— Przyjdzie? — zapytał James, kiedy wróciła.

— Powiedziała „nigdy więcej”.

— Rozumiem — powiedział James. — Czyli będzie tu jutro.

Hugh dał im kasetę wideo „Czy wybór należy do ciebie?” i Leonard chciał ją oglądać w kółko. Beatrice odmówiła.

— Wiem, co myślę, wiem, co powiedziałam i nie czuję potrzeby przypominania sobie ani o jednym, ani o drugim.

Joss przyznała jej rację, uważała program za trochę niesamowity, a poza tym nudny. Obejrzała go wraz z Jamesem, ponieważ on sobie tego życzył, a ona czuła się zobowiązana—nie, więcej niż zobowiązana, niemal rozczulona, czuła się tak, jakby chciała siedzieć przy nim i oglądać wszystko, na co miałby ochotę. Stwierdziła, że zgadza się w dużej mierze z Beatrice, choć nie przyznałaby się do tego za nic w świecie.

— Spójrz na siebie — powiedział do niej Leonard któregoś dnia. — Tylko spójrz. Cholerna kupka nieszczęścia. Co za parszywy widok. Oczywiście, trudno cię winić, biedne, cholerne dziecko. Rozbity dom i w ogóle. Żadnego miejsca na świecie.

— Bzdura — powiedziała panna Bachelor, która

rozwiązywała krzyżówkę w gazecie. Leonard z trudem znosił fakt, że robi to o wiele sprawniej niż on.

Joss, rozparta niedbale pod lodówką z miseczką płatków kukurydzianych w rękę, czekała na dalszy ciąg. Leonard pochylił się ku Beatrice.

— Wcale nie bzdura. Co będzie myślała o swojej matce, kiedy dorośnie? Albo o swoim niewydarzonym ojcu? Albo o Jamesie? Jakie będzie miała pojęcie o życiu domowym? Nic dziwnego, że brak jej rozumu i manier.

Beatrice wpisała siedem pionowo.

— Ma rozum i uczy się manier. A jeżeli chodzi o dom... — Uniosła głowę i spojrzała na Joss. — Dzieci tworzą własne domy.

Leonard parsknął. Joss przestała przeżuwać płatki.

— Domem było dla niej łono matki i musiała je opuścić. Przypuszczam, że domem była dla niej również szkoła podstawowa i ją też musiała opuścić.

Teraz jej domem jest pokój w Willi Richmond i szkoła, a kiedy dorośnie, zbuduje sobie domy wzdłuż drogi życia. Społeczeństwo będzie jej domem.

Joss namyślała się nad tym, co usłyszała. Leonard powiedział:

— Jej dom powinien być tam, gdzie jej matka.

— Powinien?

— To chyba, cholera, naturalne?

— A co ty o tym myślisz? — zapytała panna Bachelor, zwracając się do Joss.

Joss czuła się zażenowana.

— Nie chcę o tym mówić...

— To zupełnie zrozumiałe. Dlaczego miałabyś o tym mówić? Świadomość domu to bardzo osobista sprawa. Jestem pewna, że matka powiedziała ci to samo.

— Moja matka...

— Przykro mi — wtrąciła panna Bachelor — że nie poznałam twojej matki.'

— Nie poznała pani...?

— Nie. Nigdy nie spotkałam twojej matki.
— Jest dobrą kobietą — powiedział Leonard niespodziewanie.
Obie wytrzeszczyły na niego oczy. Nagle wydał im się bardzo smutny.
Zobaczył, że na niego patrzą. Joss czekała, kiedy zacznie wrzeszczeć, ale nie zaczął, tylko siedział i patrzył. Potem Beatrice wróciła do swojej krzyżówki, a Joss poszła do spiżarki po ziemniaki na kolację.
— Dobry wieczór, sir — powiedział Garth Ache-son do Jamesa.
James wyszedł ze sklepu pana Patela z pudłem zakupów. Skinął Garthowi głową. Garth miał na sobie baseballową kurtkę i bardzo czyste dżinsy, a na twarzy wyraz płochliwej ufności.
— Mogę panu pomóc?
— Nie, dziękuję — powiedział James. Zdrowie bijące z twarzy Gartha Achesona wydało mu się oznaką niewrażliwości.
— Proszę pana — zapytał Garth — czy mogę przyjść zobaczyć się z Joss?
— Nie wydaje mi się — powiedział James.
— Pan by sobie tego nie życzył?
— Myślę, że ona by sobie tego nie życzyła.
— Naprawdę mi przykro — powiedział Garth. Ramiona mu trochę obwisły.
— Ja nie chciałem...
— Nie jęcz — powiedział James nieżyczliwie. — Nie możesz ranić ludzi, a potem skomleć, ponieważ konsekwencje są nieprzyjemne.
— To wspaniała dziewczyna.
— Wiem. A teraz pozwolisz, że pójdę do domu. Ruszył Walton Street. Garth dreptał za nim przez jakiś czas.
— Czy powie jej pan... czy mógłby jej pan powiedzieć, że mnie pan widział?

— Widziałem Gartha — powiedział James do Joss, kiedy rozpakowywali zakupy.

Poderwała głowę.

— Co mówił?

— Chce przyjść, zobaczyć się z tobą.

— Rany!

— Chcesz, żeby przyszedł?

Joss gapiła się na paczkę marchewki, którą trzymała w ręku.

— Nie. Ale nie przeszkadza mi, że on chce. James wyciągnął rękę ponad stołem i poczochnął ją

po głowie.

— Moja dziewczynka! Joss próbowała się uchylić

— Odwal się — powiedziała.

Sandy miała wychodne. Julia siedziała na podłodze w pokoju dzieciennym, a bliźniaki krążyły bez celu, popłakując. Popłakiwały ostatnio bardzo często, poza tym czepiały się jej nóg i robiły nedorzecznie dziecinne rzeczy. Chciały na przykład jeść łyżeczką albo spóźniały się do toalety, mimo że już od roku doskonale radziły sobie i z widelcem, i z sedesem. Choć wypucowane jak dawniej, nie wyglądały już tak krzepko, a ich ubranka straciły w rękach Sandy świeżość, wydawały się zużyte, niemal zdarte.

— Nie rób tego — powiedziała Julia ze znużeniem, kiedy klamerka bucika zadrasnęła ją w nogę. — Edward, proszę, bądź ostrożny.

Edward podczołgał się wyżej z kciukiem w buzi, ułożył się na jej kolanach, przyciskając je boleśnie do podłogi. George wpełzł na Edwarda.

— Boli! — Edward wydał z siebie przeciągły jęk.

— Nie boli — powiedział natychmiast George.

— Boli! Mama, mama, boli...

196

— Uspokójcie się — powiedziała Julia. Odepchnęła George'a i usunęła Edwarda ze swoich nóg. Potem dźwignęła się z podłogi i usiadła na kanapie, gdzie jeszcze niedawno sadowiła się z bliźniakami, żeby poczytać im bajeczkę. Teraz popełzły za nią nieubłagane, kwilące.

— Przestańcie! — zawołała nagle z wściekłością. — Zostawcie mnie w spokoju! Natychmiast przestańcie!

Zatrzymali się na chwilę. Potem Edward ruszył naprzód i Julia wybuchnęła płaczem.

— Nie! — powiedział George, przerażony. Rzucił się na nią, a jego usteczka drżały niebezpiecznie.

Opamiętała się i parsknęła głośno.

— Przepraszam, przepraszam... — Patrzyli na nią z przestraczem. — Jestem trochę zmęczona. Mamusia jest zmęczona. To wszystko. — Mrugnęła do nich i zdobyła się na smętny uśmiech.

— Nie płakać — powiedział George niepewnie.

— Nie, oczywiście, że nie. Niemądra mamusia. To ich uspokoiło.

— Niemądra mamusia! Julia wstała.

— Teraz zrobimy sobie herbatki. A co powiecie na grzanki?

Zadzwoił telefon i Julia rzuciła się, by go odebrać. Może to Hugh, to musi być Hugh, otworzył supermarket i dzwoni, żeby powiedzieć, że poszło wspólnie i jedzie do domu.

— Pani Hunter?

— Tak...

— Julio, tu Vivienne Penniman.

— Och! — powiedziała Julia, uśmiechając się do słuchawki. — Miło cię usłyszeć. Jak się masz?

— Dziękuję — powiedziała Vivienne. — Czy mogłabym rozmawiać z Hughem?

— Jeszcze nie wrócił. Pojechał do Coventry, do tego...

— Wiem. — Ton jej głosu nie był szczególnie przyjazny. — Dzwonili właśnie z supermarketu.

— Coś mu się stało?! — krzyknęła Julia, ogarnięta nagłą paniką.

— Nie ma się czym martwić, moja droga — powiedziała Vi vienne, tym razem o wiele serdeczniej. — Drobne potknięcie organizacyjne. Powiesz mu, żeby do mnie zadzwonił?

— Oczywiście.

Odłożyła słuchawkę. Bliźniaki ciągnęły krzesła przez kuchnię w stronę szafki, na której stał pojemnik na chleb i opiekacz do grzanek.

— Nie dotykajcie noża...

Krzesła się zderzyły i rozległ się pisk George'a, który wsadził między nie palec.

— Au, au, au, au...

Edward próbował rozsunąć krzesła i pchnął je w złą stronę. George wydał przesywający krzyk. Obiegając stół, Julia usłyszała poprzez zawodzenie synów zgrzyt opon na podjeździe. Hugh wrócił, dzięki Bogu, dzięki...

— Krew! — wrzasnął George.

— Nie, kochanie, jest tylko przytrzaśnięty, biedny paluszek. Wsadzimy go do ciepłej wody i od razu zrobi się lepiej...

— Nie ja! — zawodził Edward. — To nie ja!

— Wiem, że nie ty, kochanie. Wiem, że to był wypadek.

Tylne drzwi otworzyły się wolno. Cała trójka odwróciła się ku nim z ulgą. W drzwiach stał Hugh podtrzymywany przez kierowcę, który zabrał go do Coventry. Z twarzy i zachowania obydwu widać było od razu, że Hugh nie jest chory, lecz beznadziejnie pijany.

Aj! — jęknął Benjie. Siedział na kuchennym stolku i trzymał się za głowę.
— Co znowu? — zapytała Kate. Lubiała Benjiego, chyba z racji jego nieporadnej niewinności. Tej sympatii nie zniszczyły nawet nieobliczalne wybryki kucharza, ale jego zaabsorbowanie własną osobą bywało bardzo męczące.

— Poszedłem się upić — powiedział Benjie.

— Znowu?! Dlaczego jesteś taki głupi?

— Były moje urodziny. Nigdy nie pamiętasz, że mam urodziny...

— Nie wiedziałam, że są twoje urodziny. Co za sens upijać się we własne urodziny?

Benjie sprawiał wrażenie urażonego.

— Zawsze upijam się w swoje urodziny.

— Szczyt głupoty!

Patrzył ponad jej ramieniem w szeroką, stalową paszczę pieca do pizzy.

— Tequila szlem... — powiedział marząco.

— Co?

— Bierzesz tequilę, dodajesz lemoniady i pijesz od razu, zanim uciekną bąbelki. Wypiłem tuziny. Tuziny, tuziny, całe tuziny. — Oderwał wzrok od

pieca i spojrzał na Kate. — Smakowałby ci taki tequila szlem.

— A jak to smakuje?

— Nie wiem. Nie pamiętam. Hej! — powiedział, a jego zamglony wzrok nabral ostrości. — Ty też nie wyglądasz najlepiej.

Kate napełniała pieprzem drewniane młynki. Ręce trochę jej się trzęsły, ziarenka pieprzu odbijały się od krawędzi młynków i spadały na blat stołu.

— Wszystko w porządku. Po prostu nie spałam dobrze.

— Kłopoty z kochaniem? — zapytał Benjie, na którego kłopoty spadały wyłącznie pod postacią wódki albo kochasiów.

— Nie — powiedziała Kate, choć nie była to do końca prawda. Mark zachowywał się jak obrażona primadonna, a Kate nie mogła poświęcić mu tyle uwagi, ile sobie życzył. Miała inną, o wiele poważniejszą troskę: Joss.

— Więc pieniądze?

— Nawet nie — powiedziała Kate. — To znaczy, nie mam ich tyle, żeby móc o nich nie myśleć, ale nie spędzają mi snu z powiek. — Urwała. Mówienie Benjiemu o Joss miało się z celem. Życie rodzinne było dlań równie odległe, jak życie na Marsie. Miała jednak ochotę porozmawiać z kimś, kto nie byłby kobietą. Poruszyła temat Joss z Helen po wyjściu z kina, a Helen wypowiedziała się w sposób jednoznaczny. „Musisz się odwołać do prawnika, jeżeli nie możesz odzyskać Joss w inny sposób. Jutro. Zabierz się do tego jutro. Doprawdy, Kate, co za sens być wolną, skoro nie potrafisz użyć tej wolności, żeby działać?!” Kate próbowała wyjaśnić, że musi brać pod uwagę życzenia Joss, i że ona, Kate, zupełnie straciła kontakt z Jamesem, ale tylko rozgniewała tym Helen. Co gorsza, Kate rozumiała jej gniew. To prawda, że

była żalosna i słaba, przynajmniej takie sprawiała wrażenie, ale czuła, że nie mogłaby, wzorem Helen, panoszyć się w życiu innych ludzi, mówić im, co mają robić i myśleć. Na pozór Helen i Kate rozstały się tego wieczora w przyjaźni, ale straciły do siebie serce.

— Poprosiłam moją córkę, żeby ze mną zamieszkała — powiedziała Kate — a ona odmówiła w paru zwięzłych słowach.

Benjie wciągnął powietrze przez zęby. Wstał, zapominając o kacu, i rozpoczął kucharski rytuał gromadzenia desek do krojenia, rondli i noży.

— Więc ona jest ciągle z Jamesem?

— Tak. Myślę... — Kate umilkła, po czym powiedziała ze smutkiem: — Myślę, że jej się tam teraz podoba, myślę... — znów urwała.

— Ile ona ma lat?

— Czternaście.

— Zdaje się — Benjie sięgnął po wianek czosnku — że ona chce ci po prostu zaleźć za skórę. Mówi, że jej się tam podoba, żeby cię utruć, przysporzyć ci trochę zmartwień.

— James jest bardzo łagodny.

— I stary, prawda?

— Nie — powiedziała Kate bez zastanowienia. — Nie jest bardzo stary.

— Widziałem go — powiedział Benjie, szatkując zawzięcie. — Ma siwe włosy.

— Joss zna go, odkąd skończyła sześć lat.

— A ciebie zna, odkąd się urodziła. Próbuje cię zranić. Cały czas to robiłem mojej mamie. Teraz, kiedy odeszła, żałuję, ale kiedy żyła, nie przepuściłem żadnej okazji. Joss blefuje. — Odwrócił się od swojej deski i spojrzał wprost na Kate. — Nie daj się na to nabrać, Katie. Idź tam i stań z nimi twarzą w twarz. Każdy potrzebuje mamy, choćby się zaklinał, że jest inaczej.

Majowe słońce kładło się na ogrodzie Church Cottage jak błogosławieństwo. Klomby, zasadzone przez Julię, wydawały się pękać od kolorów — plamy prymulek i bratków, rzędy tulipanów, ostrza rozmarynów. Julia zaprojektowała ogród bardzo starannie, sięgając do niezliczonych ksiązek. „To ma być coś niezbyt schematycznego — powiedziała. — Coś prostego”. Hugh przytaknął, nie słuchając. Nie przepadał za ogrodnictwem. „Dajcie mi łaciny taras — mawiał, żeby podrażnić Julię — coś, co można zamiatać, a nie kosić. Coś z dużą ilością równych płaszczyzn, na których da się postawić drinka”.

Siedział teraz w ocienionym kącie i spod ronda słomkowego kapelusza patrzył na ogród Julii. Był wyjątkowo ładny, jak sama Julia, i w obecnym stanie ducha Hugh przyjmował to jako wymówkę. Leżał przed nim uroczy i niewinny, dokładnie taki, jak jego żona: wybacząca, niewinna, bezradna ofiara jego głupoty. Nie wypowiedziała jednego słowa krytyki, nie zgańła jego zachowania w Coventry, lojalnie broniła go przed zaciekłym potępieniem Vivienne Penniman. Wyznał jej wszystko, opowiedział o tym[^] jak przyjechali do Coventry wcześniej i jak skłamał kierowcy, że idzie do katedry, ale zamiast do katedry poszedł do pubu i pił whisky przez całą godzinę, i ta whisky trafiła go dopiero w supermarkecie, gdzie omal nie odpłynął. Opowiedział jej również o tym, jaki był wściekły na Midland Television i jak strasznie rozczarowany.

— Popełniłem wszystkie okropności, jakie można popełnić — powiedział jej — z wyjątkiem puszczenia pawia. Wszystkie.

Julia siedziała i słuchała, z oczami pełnymi współczucia. Vivienne powiedziała przez telefon, że wątpi, by mogła znaleźć Hughowi pracę, na pewno nie od razu, i oczy Julii zaszyły łzami. Płakała nad mężem. Przez cały wieczór, całą noc i wszystkie kolejne dni

i noce była dla niego niewiarygodnie, bezwzględnie słodka. Siedząc teraz beczynn timer na leżaku i patrząc na jej ogród, Hugh pomyślał, że nie zniesie więcej tej słodyczy, po prostu nie wytrzyma.

Im szlachetniej się zachowywała, tym bardziej nikczemne wydawało mu się własne postępowanie, na zasadzie kontrastu. Nigdy nie kochała go równie spontanicznie jak przez ostatnie dni, ale kto wie, czy nie dlatego, że okazał się ostrzyżonym Samsonem. W jej miłości nie było triumfu ani śladu wyższości. Wręcz przeciwnie, wydawała się bardziej od niego uzależniona, bardziej uległa. W obliczu tak otwarcie manifestowanego uczucia, idealnej, powieściowej miłości, czuł się jeszcze większym draniem. Szlachetne uczucia i nieskazitelne zachowanie były ostatnimi rzeczami, jakich w tej chwili potrzebował. Co gorsza, sądził, że swoją szlachetnością Julia wyrządza mu więcej złego niż dobrego, i gnębiło go poczucie winy, ponieważ była to jawna niesprawiedliwość wobec Julii.

— Panie Hunter!

Uniósł rondo kapelusza i odwrócił głowę. W otwartych drzwiach kuchennych stała Sandy. Wycierała dłonie w ścierkę do naczyń i wrzeszczała. Zawsze wrzeszczała, nigdy nie podeszła dość blisko, by powiedzieć coś normalnym głosem.

— Tak?

— Telefon!

Dźwignął się z leżaka. Nawet telefon był teraz zagrożeniem, a nie wysłannikiem nadziei. Hugh powlókł się do salonu i ujął słuchawkę.

— Hugh Hunter.

— Hugh, tu Maurice...

— Maurice!

— Miałem zamiar zadzwonić tydzień temu, ale byłem tak strasznie zajęty. Chciałem tylko pogratulować Julii i powiedzieć, jak mi przykro...

14 — Niełatwe związki

209

— Nie ma sprawy — przerwał mu Hugh.
— ... absolutnie wbrew moim życzeniom, jak sam wiesz, ale nie mam, niestety, dostatecznej władzy, by...
— Cieszę się ze względu na Julię — powiedział Hugh. — To jej się należało. Jakie to ma znaczenie, które z nas dostało tę robotę?!
— Cudownie — powiedział Maurice z ulgą. — Wiedziałem, że zrozumiesz. Powiedziałem Kevinowi...
— Odniosłem wrażenie, że podobał mu się „Czy wybór należy do ciebie?”
— O tak, absolutnie, był zachwycony...
— Więc nie rozumiem...
W słuchawce na chwilę zapadła cisza.
— Anno Domini, Hugh! To proste. Ja jestem następny w kolejce. — Roześmiał się słabo. — Dołączę do ciebie jesienią. Jakie masz plany?
— Plany?
— Dlaczego dokądś nie wyjedziesz? — zapytał Maurice. — Zrób sobie wakacje.
— Julia jest taka zajęta...
Maurice, który od dziesięciu lat nie spędził wakacji z Zoe, powiedział:
— Nie myślałem o Julii. Jak mówisz, jest bardzo zajęta. Dlaczego nie wyjedziesz sam?
— Nie jestem w tej chwili najlepszym towarzyszem dla siebie samego — powiedział Hugh, nagle zmęczony udawaniem, że czuje się świetnie. Głos zadrżał mu lekko. Maurice usłyszał to drżenie i postanowił zakończyć rozmowę.
— Więc znajdź sobie towarzystwo. W końcu od czego są przyjaciele? Wybierz się z przyjacielem, zaszalej, nabierz dystansu. Kłopot z naszym telewizyjnym światem polega na tym, iż podchodzisz do niego tak blisko, że poza nim nic już nie widać. Spotkamy się, kiedy wrócisz z wojaży, umówimy na drinka. Głowa do góry, stary! Przekaż gratulacje swojej uroczej żonie.

Hugh odłożył słuchawkę. Trząsał się i było mu zimno. Pokój wydawał się mroczny i chłodny, a przez okna widział jasny, rozświetlony ogród, ten bezduszny ogród, bezduszny jak cały świat, który nie wiedział, jak to jest pójść w odstawkę w wieku sześćdziesięciu jeden lat.

— Panie Hunter? Odwrócił się ku drzwiom.

— Tak?

— Jadę teraz po bliźniaki, a potem, po lunchu, pani Hunter powiedziała, że może zajmie się pan dziećmi przez parę godzin, kiedy pójdę na zakupy. Kate stanęła przed drzwiami Willi Richmond i przycisnęła dzwonek. James chciał, żeby zatrzymała klucze, ale odmówiła, uważając, że nie ma do tego prawa, skoro zdecydowała się zamknąć richmondzki rozdział swojego życia. Kiedy zatelefonowała, by się z nim umówić na rozmowę, James wydawał się zaskoczony; zaskoczony, ale szczęśliwy.

— Przyjdź we wtorek — powiedział. — Wpadnij na drinka. — Zamilkł na chwilę. — Leonarda nie będzie. Wychodzi teraz we wtorki, na brydża, wyobraż sobie. Beatrice zabiera go gdzieś taksówką.

We wtorki, o czym Kate wiedziała, Joss chodziła teraz na zajęcia kółka dramatycznego — skutek znajomości z Angie i dziewczyną imieniem Emma. Kate wyliczyła sobie, że jeżeli zjawi się w Willi Richmond o piątej trzydzieści, będzie miała dość czasu, by omówić sprawę z Jamesem przed powrotem Joss o szóstej. Potem oboje porozmawiają z Joss. Nie łudziła się, że Joss pójdzie z nią do domu tego wieczora, choć musiała długo walczyć z nadzieją, zanim ją od siebie odsunęła.

Nie było to łatwe, stać przed tymi drzwiami, prawdę mówiąc było przerażająco trudne, i Kate

zesztywniała z lęku. Nie widziała Jamesa od trzech miesięcy, jeżeli nie liczyć przelotnego spotkania na ulicy. Tyle się zmieniło w jej uczuciach przez ten czas, myślała o nim jak o kimś obcym. Lecz kiedy otworzył jej drzwi, wcale nie wydał jej się obcy, tylko bardzo bliski. Ujął ją za łokieć i wciągnął do domu z uśmiechem.

— Kate! — Pochylił się, żeby pocałować ją w policzek. Odwróciła głowę i musnął tylko ustami jej włosy. — O Boże!

Podniosła na niego wzrok i powiedziała serdecznie:

— Jak się masz?

— Chyba dobrze.

Wyglądał dokładnie tak, jak przed trzema miesiącami, nie był ani grubszy, ani chudszy, ani starszy, ani młodszy. Miał na sobie niebieską koszulę, którą znała (przecierała się na łokciu) i sztruksowe szare spodnie, które dała mu na Gwiazdkę dwa lata temu. Czy ubrał się tak specjalnie?

— Wyglądasz ślicznie — powiedział. Odwróciła głowę. Nie po to tu przyszła, nie tego

oczekiwała, przyszła, żeby porozmawiać o Joss.

— Kiedy wróci Joss?

— Około szóstej — powiedział James. Otworzył przed nią drzwi gabinetu, jakby była kimś obcym. — Wejź.

Gabinet również wyglądał tak samo i pachniał tak samo. Dopiero ten zapach wzbudził w Kate nieznośną tęsknotę. Rozejrzała się szybko, żeby zająć czymś myśli; zielony dywan, pulchny książkę, wytarte fotele, stosy książek i papierów, wszystko wyglądało dokładnie tak, jak jedenaście tygodni temu.

Jedynym obcym elementem były peonie na stoliku przy oknie. Joss dostała je od matki Gartha Achesona, Bluey, która wyhodowała je w ogrodzie na Observatory Street. „Zabierz je do domu i daj matce — powiedziała Bluey. — Żyją tak krótko, że wszyscy musimy się nimi nacieszyć”.

Joss nie uznała za stosowne poinformować pani Acheson, że nie mieszka z matką. Podziękowała Bluey i dała peonie Jamesowi. „Nigdy jeszcze nie dostałem kwiatów” — powiedział James, bardzo zadowolony. „Naprawdę?” „Mężczyźni chyba w ogóle rzadko dostają kwiaty, w każdym razie Anglicy”. — „Ja ich nie chcę — powiedziała Joss wspaniałomyślnie. — Możesz je sobie wziąć”.

— Urocze kwiaty — zauważyła Kate grzecznie, jak gość.

— Dostaliśmy je od matki kolegi Joss.

— Którego kolegi?

— Gartha.

— Gartha! Myślałam, że Garth ją porzucił!

— Garth — powiedział James z satysfakcją, która zirytowała Kate — próbuje ją odzyskać. Joss traktuje go z cudownym chłodem. — Podszedł do biurka, na którym stała tacka z butelką białego wina i dwoma kieliszkami. — Napijesz się?

— Chętnie. — Kate usiadła w fotelu przy kominku. Poczula się trochę lepiej, była teraz silniejsza, bardziej stanowcza. Coś w zachowaniu Jamesa, pozy, które przybierał, przypomniało jej, czemu go opuściła.

— Wiesz — powiedział James, podając jej kieliszek wina. — Naprawdę zaczynam się cieszyć obecnością Joss. Zawsze ją lubiłem, oczywiście, ale teraz ją cenię, naprawdę cenię.

Gniew rozbłysnął w niej jak ogień. Jak on śmie?! Jak on śmie mówić z taką, z taką... dumą?! Przelknęła złość razem z łykiem wina i powiedziała krótko:

— Dlatego tu przyszedłam.

Uśmiechnął się. Chyba jej nie rozumiał. Stał, spoglądając na Kate, z kieliszkiem wina w ręce.

— Słucham?

Spojrzała mu prosto w twarz.

— Przyszedłam zabrać Joss. Ta komedia ciągnie się

zbyt długo. Joss jest moim dzieckiem i powinniśmy być razem. Zostając tutaj, próbuje mnie tylko sprowokować, a ty ją do tego zachęcasz. — Urwała, widząc przerażenie na twarzy Jamesa. Odwrócił się od niej i podszedł do okna.

— No więc? — zapytała Kate.

Nie odpowiedział. Nie widziała teraz jego twarzy, ale było coś w układzie jego ramion i pleców, co ją przeraziło. Mój Boże, pomyślała Kate, mój Boże, on będzie chciał ją zatrzymać, będzie chciał o nią walczyć! O moją córkę, moją! Zaczęła mówić bardzo prędko:

— Pozwolę ci się z nią widywać, James! Będzie mogła tu przychodzić kiedy zechce, ale tak dłużej być nie może. Ustanowienie tych trzech miesięcy to głupi pomysł, jak okres próbny w nowej pracy. Postawiła na swoim, została potraktowana jak osoba dorosła, więc wyjdzie z tego z honorem. Ale musi wrócić do mnie i liczę na ciebie... — Wielkie nieba, pomyślała Kate, mówię jak Helen — liczę na to, że jej to ułatwisz, nie dasz jej odczuć, że jest traktowana jak dziecko, że musi dzielić lojalność między nas...

— Zamknij się — powiedział. Kate zerwała się w fotela.

— Jak śmiesz mi mówić, żebym się zamknęła?! Rozmawiamy o moim dziecku, James...

— Nie spieram się z tobą — powiedział, odwracając się ku niej. — Będę za nią strasznie tęsknił, ale oczywiście, powinna mieszkać z tobą. Myślałem tak na początku, i myślę tak teraz.

— Wobec tego...

— Kate — powiedział James, patrząc na nią wzrokiem pełnym miłości. — Miałem nadzieję, że przyszłaś tu z zupełnie innego powodu.

— Och, nie! — zająknęła się. — Skąd ci to...? Nie, nie, James, ja nie mogę...

— Nie — powiedział. — Widzę, że nie możesz.

Nie powinienem się łudzić i spróbuję nie robić tego w przyszłości, dla twojego i mojego dobra. Kate osunęła się na fotel.

— Nie miałam pojęcia, czuję się strasznie, tak mi przykro...

— Nie ma potrzeby.

— Nie chcę cię ranić. Nigdy nie chciałam, tylko że...

— Wiem — powiedział. — Wolałabyś, żebym cię nie kochał i za tobą nie tęsknił. Jeżeli to cię pocieszy, powiem ci, że ja też bym wolał. Ale nie martw się. Radziłem sobie dotąd, będę radził sobie nadal, podobnie jak ty radzisz sobie z innymi sprawami. — Odstawił kieliszek na tacę. — Kate! Wychodzę teraz. Zostawię cię tutaj, żebyś poczekała na Joss, i wrócę dopiero po siódmej. Powiedzmy, wpół do ósmej. — Urwał. Chciał dodać: „Powiedz Joss, żeby przychodziła kiedy zechce”, ale uznał, że to nie byłoby fair. Zamiast tego podszedł do Kate; pochylił się i pocałował ją w czoło.

— Wezmę klucz — powiedział. — Zatrzaśnij drzwi, kiedy będziecie wychodziły.

Pomyślał, że pójdzie do jakiegoś pubu, King's Arms na przykład, gdzie zawsze można było liczyć na obecność watahy studentów, i będzie pił do siódmej trzydzieści, a potem wróci do domu i będzie pił dalej, dopóki nie skończy się alkohol, albo nie urwie mu się film. Ale dzień był śliczny, wiosenne wieczorne światło zarazem miękkie i klarowne, a poza tym odkrył, że wprawdzie chce być pijany, lecz nie ma ochoty przechodzić przez proces upijania się. Pomyślał o swojej ulubionej trasie spacerów, wzdłuż kanału, uznał jednak, że na melancholię lepiej robi mu rzeka. W taki uroczy majowy wieczór będą po niej pływały uniwersyteckie drużyny wioślarskie, a

nerzy będą pedałowali wzdłuż brzegów, wrzeszcząc przez megafony. Widok cudzego wysiłku fizycznego powinien podziałać zbawiennie na kogoś w jego stanie ducha.

Był to długi spacer. James przeszedł przez centrum miasta, potem przez dziedzińce i krużganki Christ Church na Meadows, gdzie gasnące światło kładło się łagodnie na trawnikach i szerokich alejkach. Szedł wolno, pogrążony w swoim smutku, stając co parę kroków, by spojrzeć na panoramę lub na wieżyczkę odcinającą się ostro na tle nieba. Zdawał sobie sprawę, że nie widzi nic, że zamarł w nim puls życia, ponieważ został ogołocoony ze wszystkiego.

Nigdy nie uważał, że Joss do niego należy. Zawsze rozumiał, że nie ma do niej prawa. Teraz dowiedział się również, jak to jest, gdy człowiek myśli o kimś jak o swojej własności, tak jak on myślał, na własną zgubę, o Kate. Ale coś narodziło się ostatnio między nim a Joss, coś, czego nie można jeszcze było nazwać intymnością, ale co oboje bez wątpienia lubili. Joss nie stała się ani na jotę miłsza we współżyciu, grzeczniej sza, ani na jotę bardziej ujmująca, ale zaczęła go dostrzegać, a w rezultacie uznawać jego prawo w ich wspólnej egzystencji. Nabrała w stosunkach z nim większej pewności siebie i okazywała większą ufność, jakby przestał być niegodny zaufania choćby tylko! z tego powodu, że jest dorosłym. Uważał, że jest odważna. Poza tym, besztana nieustannie przez niego, Leonarda i Beatrice, stawiała zadziwiająco niewielki opór. Prawdę mówiąc, gdyby nie świadomość, że powinna mieszkać z matką, a nie z nim, James zaryzykowałby stwierdzenie, że Joss jest szczęśliwa.

Wszedł na ścieżkę flisacką i minął nowoczesne budynki przystani uniwersyteckiej. Niektóre były jeszcze otwarte, młodzi ludzie kręcili się niemrawo w środku, albo siedzieli na zewnątrz i gawędzili.

— Mówię mu, słuchaj, nie ma mowy, żebym

przeczytał „The Faerie Queene” do piątku, a on na to...

– Odwróciłem się, a tam stała ta dziewczyna...

– Nie ma najmniejszego sensu pisać eseju przy tak bezkrytycznym podejściu...

– Ktoś chce galaretkę?

– Patrzcie na niego, zwały tłuszczu! Nic dziwnego, że nie daje się ruszyć łodzi...

– Boże, masz zupełnie presokratyczne poglądy... James minął ich wolno. Byli jeszcze bardzo młodzi,

ci ludzie, pięć, sześć lat starsi od Joss. Kiedy Joss będzie w ich wieku, jemu stuknie siedemdziesiątka, Kate przekroczy czterdziestkę, a Leonard może już w ogóle nie żyć. Zatrzymał się przy ostatnim budynku i usiadł na brzegu z nogami na pontonie, od którego odbijały łodzie. Niebo było łagodne i spokojne, a ponad wodą rozbrzmiewały głosy ludzi. Ludzi, którzy spacerowali w odległych alejkach, których czeka zwykły wieczór wypełniony kolacją, pubem i wiadomościami telewizyjnymi. Cóż, pomyślał James, wspierając łokcie o kolana i patrząc w wodę ponad swoimi podskakującymi stopami, muszę po prostu żyć dalej. Bez wątpienia coś się jeszcze wydarzy, nastąpią jakieś zmiany, ale nie mogę ich planować ani na nie czekać. Będę widywał Joss i nawet jeżeli w tej chwili nie mam Kate, miałem ją kiedyś. Smutek nie odchodzi, wiem to z doświadczenia, ale człowiek się do niego przyzwyczaja, uczy się z nim żyć.

Wstał i przez chwilę balansował na pontonie zgodnie z rytmem fal. Potem wspiął się na brzeg i wyruszył w drogę powrotną do Willi Richmond.

Przez ostatnie sto metrów żywił szaloną nadzieję. Pomyślał z nagłą radością, że Joss odmówiła pójścia z Kate, że miała miejsce kolejna awantura i że znajdzie Joss w kuchni jedzącą płatki kukurydziane i czytającą czasopismo rockowe, upartą i triumfującą. Ale

ledwie przekręcił klucz w zamku, zrozumiał, że dom jest pusty. Poszedł do gabinetu, potem do kuchni i stwierdził, że Kate umyła kieliszki i postawiła je na suszarce, a butelkę włożyła do lodówki. Na stole kuchennym nie było nic z wyjątkiem słoików marmolady i miodu, które teraz stały tam zawsze. Poszedł na górę. Leonard jeszcze nie wrócił, nie wróci przed dziewiątą. Pokój Joss był otwarty. James wszedł. Musiała się pakować w szalonym pośpiechu, bo z pootwieranych szuflad zwisały części garderoby. James próbował ją sobie wyobrazić przy pakowaniu. Czy wrzeszczała na Kate, była podekscytowana, czy po prostu zrezygnowana? Zauważył, że wzięła swoją kołdrę, łóżko sprawiało wrażenie ogołoconego. Nie wiedział, czy to zły znak, świadczący o tym, że wyniosła się na zawsze, czy dobry, bo będzie miała coś znajomego w obcym otoczeniu.

Chodził po pokoju, wkładając bluzki i sweterki z powrotem do szuflad, podnosząc skarpetki i majtki z podłogi, upychając zgniecione sreberka po batonach czekoladowych w przepelnionym koszu na śmieci. Zaczął słać łóżko i nagle poczuł, że tego nie zniesie. Łóżko przypomniało mu noc, kiedy Kate odeszła, a on położył się i głupio, bezradnie zanurzył twarz w jej poduszce. Pani Cheng zajmie się pokojem Joss. James upuścił naręcze brudnych rzeczy na podłogę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Cholerna Joss! Cholerna Kate! Mogłyby przynajmniej zostawić kartkę.

Zszedł do kuchni i otworzył szafkę z alkoholem. Stało tam ciągle tureckie wino, ale stało samotnie. Nie wiadomo czemu skojarzyło mu się z przyjęciami z lat sześćdziesiątych i to wspomnienie było ogłuszająco przygnębiające. Zamknął szafkę. Zamiast pić, będzie jadł. Zrobi sobie coś do jedzenia i wypije resztę białego wina, a potem wróci Leonard i skieruje jego myśli na inne tory. Jak powiedzieć Leonardowi, że Joss odeszła?

Otworzył lodówkę. W środku znajdował się smętny kadłub kurczaka, szerniała główka sałaty i jakieś mało zachęcające resztki w miseczkach i na talerzach. Oprócz tego stały tam idiotyczne jogurty, które kupiła Joss, w pojemnikach w misie. James zatrzasnął lodówkę. Nie był to wieczór odpowiedni na kanapkę, wyjdzie i kupi rybę z frytkami, i butelkę porteru. Sięgnął już do drewnianej baryłki na kredensie, w której trzymał pieniądze na gospodarstwo, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi.

Cholera, pomyślał James. Zerknął na zegar. Siódma czterdzieści pięć. Zakazana godzina mormonów, świadków Jehowy i innych utrapieńców. Hugh otworzył kiedyś takiemu drzwi; misjonarz zapytał z przejęciem: „Czy znasz Boga, synu?” a Hugh powiedział: „Osobiście. To ja Nim jestem”. James ruszył przez hall, szykując się do wypowiedzenia sakramentalnych słów: „Nie dzisiaj”. W progu stał Hugh. Hugh z płócienną torbą w jednej ręce i butelką w drugiej.

Siedzieli obok siebie w blaknącym świetle, w dwóch fotelach, w gabinecie Jamesa. Na podłodze między nimi leżał papier po rybie z frytkami, świecący plamami tłuszczu. Butelka whisky była w połowie pusta. W pokoju gościnnym na górze, naprzeciwko sypialni Leonarda, leżała płócienna torba, którą Hugh rzucił na łóżko.

— Nie możesz tu zostać — powiedział w pierwszej chwili James. — Musisz wrócić. Do Julii i chłopców. Nie możesz uciec tylko dlatego, że ona zachowuje się jak anioł.

Ale potem przeczesał półki z książkami i znalazł to, czego szukał — tom listów Sylwii Townsend Warner.

— Posłuchaj! — powiedział, przerzucając kartki. — Posłuchaj tego. Czy w tym tkwi problem? —

I przeczytał ustęp. „Jestem głęboko przekonana, że najgorszą krzywdą, jaką człowiek może zrobić osobie, która go kocha, jest odziać się w błyszczącą, nieprzeniknioną zbroję nienagannego zachowania”.

— Tak — powiedział Hugh. — To jest to.

— Dzięki Bogu! — powiedział James. — Dzięki Bogu, że przyszedłeś, chociaż na tę jedną noc. Kiedy miałem Joss, miałem nie tylko ją, miałem również Kate, w pewnym sensie. Byłem na najlepszej drodze, by porozczulić się nad sobą, zanim przyszedłeś, a tego nie znoszę.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę. Przed domem zatrzymał się samochód.

— Leonard — powiedział James. — Leonard i Beatrice. Przyprowadza go, wypija filiżankę herbaty, a potem odprowadzam ją do domu.

Trzasnęły drzwi i spod schodów dobiegł urywany szmer głosów.

— Co się stało? — powiedział Leonard. — Co się z nią stało?

Odpowiedź Beatrice dobiegła wyraźnie.

— A jak myślisz? Mężczyzna zawsze wybierze wygodę. Odrzucił ją, jak odrzuca się zużytą rękawiczkę.

— Jest pewnie w gabinecie — powiedział Leonard. — Zalany w trupa.

Drzwi się otworzyły; ukazały się w nich dwie stare czujne twarze.

— Co się dzieje? — zapytał Leonard. — Go on tu robi?

James wstał i podszedł do nich.

— Z przykrością informuję, że Joss odeszła — powiedział. — I z przyjemnością zawiadamiam, że przyszedł Hugh.

13

Joss leżała w półmroku, ściskając kurczowo róg kołdry. Było dosyć cicho, choć nie tak, jak w Willi Richmond, gdzie miała pokój na tyłach domu. Nie chciała myśleć o swoim pokoju w Willi Richmond, ale obraz przyczaił się gdzieś w zakamarku umysłu i denerwował ją, pobudzając do płaczu. Ten pokój tutaj był dziwaczny. Siedząc na brzegu łóżka mogła dotknąć obu ścian, a okno było przepołowione ścianką działową i o wiele za wysokie. Za tą ścianką, na kanapie w saloniku, spała Kate.

Kate... Joss czuła taki zamęt w głowie, że nie wiedziała już, czy Kate jest mamą, czy po prostu Kate. Kiedy zobaczyła ją, zmywającą kieliszki w Willi Richmond, poczuła nieodparcie, że jednak jest jej dzieckiem. Oto mama, przy znanym zajęciu, w miejscu, gdzie należało się jej spodziewać, stoi przy zlewie, przy którym stawała od czasu, gdy Joss była małą dziewczynką. Widok Kate zmywającej naczynia wyprowadził Joss z równowagi, uczynił ją słabą i potulną, więc kiedy Kate powiedziała, że jadą do Osney, Joss kiwnęła głową i powiedziała „dobrze”. Bez walki, bez krzyków. Kate pomogła jej się spakować i zadzwoniła po

taksówkę, i dopiero w tej taksówce Joss przypomniała sobie o kołdrze.

— Nie potrzebujesz jej, Jossie... Kupiłam ci nową...

— Potrzebuję — powiedziała Joss z nagłą rozpaczą. — Muszę ją zabrać, muszę...

Wpadła z powrotem do domu i rzuciła się na górę. Jej pokój wyglądał strasznie, jakby został zdemolowany, znieważony. Ogarnęła ją panika. Nie mogła odejść, nie mogła zostawić pokoju i... I Jamesa, i Leonarda... Z drugiej jednak strony, nie mogła pozwolić, by taksówka zabrała od niej Kate. Stała na środku pokoju, obezładniona, bełkocząc jakieś słowa. Z dołu dobiegł dźwięk klaksonu i Joss jęknęła. Zaczerpnęła głęboko powietrza, zdarła kołdrę z łóżka i ukryła w niej twarz.

— Pomocy! — powiedziała w miękkie fałdy. — Pomocy!

Klakson odezwał się ponownie. Tuląc kołdrę jak ukochane zwierzątko, Joss zbiegła ze schodów i wypadła na ulicę.

— Przestraszyłaś mnie — powiedziała Kate. — Myślałam, że zmieniłaś zdanie. Że nie pojedziesz ze mną.

Joss pochyliła głowę i zagrzebała się w kołdrze. Nie mogła patrzeć na Kate, nie mogła patrzeć na nic, aż do chwili, gdy Kate powiedziała cicho:

— Jesteśmy na miejscu.

Mieszkanie pełne było kwiatów, a w torbie z ulubionego sklepu Joss czekał na nią czarny sweter z kapturem.

— Możesz go wymienić na coś innego — powiedziała Kate.

Pościeliły razem łóżko Joss i poszły na pizzę. Joss wypila trochę wina i poczuła się lepiej, choć w dziwny sposób, trzpiotowaty i trochę histeryczny. Dużo się śmiały i Kate powiedziała: „Och, będziemy się świet-

nie bawić!", i Joss przyszło do głowy, że może będzie tak rzeczywiście. W pizzerii znajomi Kate podchodzili do ich stolika. Kate przedstawiała im Joss, i Joss czuła się podekscytowana, a zarazem wytrącona z równowagi, ponieważ Kate nie знаła tych ludzi i nie mówiła w ten sposób, kiedy była po prostu mamą, w Willi Richmond.

Wieczór był w sumie udany, aż do chwili, gdy Joss znalazła się w łóżku, sama ze swoją kołdrą. Wtedy zaczęła się martwić. Ile czasu zajmie jej teraz dojazd do szkoły i jaki autobus tam jeździ? Czy Angie będzie mogła do niej przychodzić, i Emma, i co będzie w te wszystkie wieczory, kiedy Kate pójdzie do Pasta Please i zostawi ją samą z obrzydliwym, starym Winthropem, który wyglądał tak, jakby utkwiał w wilgotnym kącie i tam spleśniał. Gdzie pomieści swoje rzeczy i gdzie będzie mogła się zaszyć, jeżeli zechce być sama, i co James i Leonard pomyślą, kiedy wrócą i jej nie zastaną? Nagle przypomniała sobie o jogurtach, które kupiła, w pojemnikach w misie, o wszystkich tych smakach, których James nie cierpiał, a ona uwielbiała, bananowych, czekoladowych i karmelowych. Wspomnienie jogurtów czekających na nią w lodówce Willi Richmond to było więcej niż Joss mogła znieść. Bardzo cicho, z fałdami kołdry w ustach, Joss zaczęła płakać. Kate ją słyszała. Kanapa nie była najwygodniejsza, za krótka nawet dla Kate, a przeżycia wieczoru nie sprzyjały uspokojeniu umysłu. Dziwne, pomyślała Kate. Ma wszystko, czego chciała, osiągnęła zamierzony cel, i to ze zdumiewającą łatwością, a jednak sytuacja, którą stworzyła, nie była naturalna i żadne udawanie nie mogło tego zmienić. Leżała w swoim ukochanym pokoju, z którego mogła oglądać statki na

kanale, widok niezmiennie poruszający, a Joss znajdowała się zaledwie parę metrów od niej, tak jak kiedyś, przed nastaniem Jamesa. Było nawet lepiej niż wtedy, a jednak nie do końca tak, jak być powinno.

Zdaje się, pomyślała Kate, bezskutecznie próbując wpasować się w kanapę, że jesteśmy zbyt podekscytowane. Po tak długiej przerwie musimy przyzwyczajać się do siebie stopniowo. Ale trzy miesiące to wcale nie tak długo, i widywałyśmy się co tydzień... Wyteńczyła słuch. Joss ciągle płakała, tyle że ciszej. Kate ześliznęła się z kanapy i podeszła na palcach do drzwi.

— Jossie? Cisza.

— Jossie, nie martw się. Wszystko się ułoży, to stało się zbyt nagle, nie byłaś przygotowana. I nie martw się o szkołę. Na jutro zamówiłam taksówkę, a potem rozpracujemy autobusy. — Umilkła. — Tak się cieszę, że jesteś ze mną. Że wróciłaś.

— Ehe — powiedziała Joss słabo. Przestała płakać.

— Śpij dobrze. Croissanty na śniadanie. Croissanty, pomyślała Joss.

Dlaczego croissanty?

W Willi Richmond kupowano je tylko od wielkiego święta, to znaczy w dniu urodzin jej mieszkańców, z wyjątkiem oczywiście urodzin stryja Leonarda. Spróbował croissanta tylko raz.

— Cholerna bułka! — powiedział, patrząc w dół na eksplozję umaślonych okruchów na swoich piersiach. — I zaufaj tu, człowieku, piekielnym Francuzom!

Joss zacisnęła zęby. Nie będzie myślała o wuju Leonardzie.

— Śpij dobrze — powiedziała Kate głosem przepełnionym miłością.

Joss wzięła głęboki oddech.

— Ty też.

— Tak sobie pomyślałam — powiedziała Bluey Acheson — że może miałby pan ochotę na domowe ciasteczka?

Z szerokim uśmiechem podała mu pudełko. James natknął się na Bluey na progu, kiedy otworzył drzwi, myśląc że to może listonosz z przesyłką.

— Jestem matką Gartha...

— Aha! — powiedział James, odwzajemniając uśmiech. — Pierwsza właścicielka peonii.

— To ja!

James otworzył drzwi trochę szerzej.

— Proszę wejść. — Minęła go, schludna postać w dżinsach i czerwonej kamizelce. — Niestety, straszny tu bałagan...

— Muszę się do czegoś przyznać — powiedziała Bluey Acheson. Miała błyszczące brązowe włosy, związane z tyłu czerwono-niebieską wstążką. — Garth mi powiedział. Mówił, że znaleźliście się w niezłych tarapatach, więc postanowiłam wpaść, skoro Randy'ego i tak nie ma.

— Randy'ego?

— Mojego męża — wyjaśniła Bluey Acheson bez entuzjazmu. Jest fizykiem. Dlatego siedzimy w Oksfordzie. Pojechał na odczyt do Kopenhagi czy dokądś tam...

— Pani Acheson...

— Proszę mi mówić Bluey.

— Bluey, obawiam się, że mój stryj jest jeszcze w piżamie.

Był w piżamie. Siedział nad rozbabranymi resztkami śniadania i mrucał do siebie hasła z krzyżówki. Naprzeciw niego siedział przy stole Hugh w kaszmirowym swetrze i flamastrami znalezionymi w gabinecie Jamesa pisał ilustrowany list do bliźniaków. Otwarte na oścież drzwi ukazywały ogród zalany łagodnym majowym słońcem i pannę Bachelor, jak zawsze w brązowym prochowcu, wyrrywającą martwe krzaki forsycji.

15 – Nietatwe związki

225

— Proszę wszystkich o uwagę — powiedział James. — Przedstawiam panią Bluey Acheson, matkę Gartha, która była tak dobra i przyniosła nam ciasteczka.

Bluey uśmiechnęła się promiennie. Hugh podskoczył ku niej z wyciągniętą ręką.

— Droga pani Bluey Acheson, nie powinna pani przekraczać progu tego domu, jest pani stanowczo zbyt czysta. — Kiwnął na Leonarda. — Wstawaj, ty niehigieniczny, stary gracie!

Leonard nie ruszył się z miejsca. Przyglądał się Bluey badawczo.

Uśmiechnęła się do niego.

— Masz Joss? — zapytał Leonard nagłaco. Bluey zrzędała mina.

— Mam tylko ciasteczka...

— To już dziesięć dni — powiedział Leonard oskarżycielsko, jakby to Bluey była winna przeprowadzki Joss do Osney.

Bluey usiadła. Leonard miał na sobie wyjątkowo odrażający stary szlafrok w kratę, który odsłaniał pizamę. Jeszcze się nie ogolił. Bluey spojrzała na niego jakby był okazem zdrowia i urody.

— Garth był u Joss — powiedziała. — Zabrał ją do kina. Myślę, że ona ma się świetnie.

— Właśnie, że nie ma się świetnie! — wrzasnął Leonard. — Nie ma prawa! Bluey spuściła wzrok. Garth wcale nie powiedział, że Joss ma się świetnie, powiedział, że jest chora z tęsknoty za Willą Richmond, ale zostanie w Osney, bo uważa to za swój obowiązek wobec matki. „Czuję się winna, gdziekolwiek mieszkam”, powiedziała Ga-rthowi. A potem, choć o tym już matce nie powiedział, Garth próbował wykorzystać chwilową słabość Joss i ją pocałować, a ona przygrzmociła mu w szczękę pięścią uzbrojoną w paskudnie twarde, indiańskie pierścienie.

— Nie sądzi pan, że powinna być z matką? — zapytała Bluey Leonarda.

Leonard był nieszczęśliwy i wściekły. Pogroził Bluey zwiniętą gazetą.

— A co ze mną?

James postawił przed nią kubek z kawą.

— Musi pani zastosować taryfę ulgową wobec mojego stryja. Złością i grubiaństwem pokrywa złote serce.

Bluey uśmiechnęła się. Popijała kawę i rozglądała się po kuchni. Była nieprawdopodobnie zapuszczona i wyglądała, zdaniem Bluey, po prostu wspaniale, taka ludzka i fantazyjna.

— Podoba mi się tutaj — powiedziała. Hugh wybałuszył na nią oczy.

— To niemożliwe! — powiedział, wspominając (choć surowo sobie tego zabronił) wystudiowany urok kuchni w Church Cottage.

— W porównaniu z tą kuchnią moja jest nijaka — powiedziała Bluey. — Żadnych książek, foteli, żadnych... — urwała.

— Butelek? — podpowiedział James. Roześmiała się.

— Och, są, ale tylko takie przyzwoite, wie pan, olej z oliwek i sosy winegret, i mnóstwo innych rzeczy, które według „Gourmet Magazine” powinnam posiadać.

James i Hugh przysunęli się do niej z krzesłami. W chaosie, który ich otaczał, jawiła się jak świeżo zerwany alpejski fiołek.

— Jej mąż ma na imię Randy¹ — powiedział James do Hugh'a.

— Pani chyba żartuje? — powiedział Hugh do Bluey.

Zaprzeczyła ruchem głowy, zachwycona sytuacją.

— W Stanach to wcale nie znaczy to samo, co tutaj. — Skryła twarz za kubkiem z kawą, chicho-

221

¹Randy (ang) — lubieżny.

cząc. — Moja siostra ma na imię Pokey² i to też nie znaczy to samo co tutaj. James i Hugh patrzyli na nią z uśmiechem. Była uroczym, ślicznym i słodkim prezentem, który dobre wiatry wwiały im przez frontowe drzwi. Leonard wstał z trudem, posapując i chrząkając jak stary hipopotam. Znalazł laskę i pokuśtykał w stronę drzwi na taras.

— A czym się pani zajmuje w czasie, gdy Randy zajmuje się fizyką? — zapytał Hugh.

Leonard wytoczył się do ogrodu. Beatrice słyszała, jak idzie, ale odwróciła się dopiero wtedy, gdy niemal zaświszczał jej w ucho.

— Dlaczego się nie ubrałeś? — zapytała.

— Bo jest kurewska sobota! — dziabnął laską w trawnik. Wymagał skoszenia. — Mają tam kobietę.

Dopiero teraz Beatrice odwróciła się, z rękami pełnymi martwych kwiatów.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Matka Gartha. Wygląda jak lalka. Upiekła nam ciasteczek.

— Jak to ładnie z jej strony!

— Ładnie! — powiedział Leonard. — Ha! Baby się zwiedziały, że w Willi Richmond jest trzech samotnych mężczyzn i bingo! Zlatują się jak pszczoły do miodu. Najpierw ty, teraz ona.

Beatrice poczerwieniała.

— Jaki jesteś niedelikatny. — Obróciła się z powrotem do forsycji. Była dziesiąta trzydzieści i Beatrice miała lekką nadzieję, że James przyniesie jej filiżankę kawy i pogawędzi przez chwilę, ale nie powiedziała tego Leonardowi.

— Dlaczego się nie ubierzesz? Wyglądasz niestosownie.

Leonard łypnął na nią chytrze okiem.

222

— Obawiasz się, że rozplomienię panią Acheson swoim dezabilem?
Beatrice parsknęła z pogardą. Chichocząc, Leonard pokuśtykał przez trawnik w stronę domu.
Mam wrażenie, pomyślał, mam nieodparte wrażenie, że stara prukwa jest zazdrosna. Ani chybi, zakochała się we mnie.
Chwiejnie wtoczył się do kuchni. James i Hugh śmiali się z czegoś, co opowiadała Bluey. Nikt nie zwrócił uwagi na Leonarda.
— Cholerni głupcy! — powiedział dość głośno i przekuśtykał obok nich. Poszedł na górę się ubrać.

Randolph Acheson wrócił ze swojej podróży naukowej z Holandii i odkrył, że jego żona Bluey nawiązała nowe przyjaźnie. Fakt, że nowi znajomi są starsi od niej średnio o trzydzieści lat, zdziwił go trochę i do tego zdziwienia ograniczyła się jego reakcja. W skrytości ducha ucieszył się, że znalazła przyjaciół, ponieważ była z natury towarzyska, a Oksford jakby nie zauważał jej istnienia. Randolph obawiał się, że to dlatego, iż Bluey jest niedoszłym naukowcem i całe miasto o tym wie. Dobrze zapowiadający się hydrobiolog, którego poślubił siedemnaście lat temu, stopniowo wymienił swoje naukowe i laboratoryjne dysertacje na książki kucharskie i katalogi mody. Randolph, choć nigdy nie powiedział tego głośno, podejrzewał, że Bluey nie ma prawdziwie naukowego umysłu i że poszła na studia tylko dlatego, iż był to ogólnie przyjęty zwyczaj w bogatej podmiejskiej dzielnicy Chicago. A tak naprawdę lubiła piec ciasto, poznawać ludzi i chodzić na przyjęcia. Im się robiła starsza, zauważył Randolph, tym chętniej się do tego przyznawała, nie wykazując cienia wstydu.

Zdobycie nowych przyjaciół oznaczało, że Bluey będzie rzadziej bywała w domu. Nie dotykało to

Randolpha w najmniejszym stopniu, ponieważ wychodził do laboratorium o siódmej trzydzieści rano, a wracał o dwudziestej drugiej. Jego ubrania były nadal pięknie uprane i uprasowane, pomarańcze na poranny sok znajdowały się w lodówce, w małym domu, który wynajął, nie poniewierały się zwiędłe kwiaty. Jedyna różnica polegała na tym, że Bluey przestała go błagać, by zabrał ją do kina, na kolację czy do Londynu. W sumie Randolph uznał, że znajomość ze starszymi angielskimi ekscentrykami wyjdzie Bluey na dobre. — Fajowi ludzie — powiedział Garth ojcu. — Spodobałoby ci się, są niesamowici. Żywcem wyjęci z powieści.

I to powieści osadzonej w innym, intrygującym wieku i społeczeństwie, dodała w myślach Bluey. Była urzeczona Willą Richmond, na którą zdawały się składać splątane warstwy losów ludzkich, ściany książek i dziwnych obrazów, pogarda dla komfortu i mody. Obecność w tym domu Jamesa, Leonarda, Hugh'a, Beatrice i pani Cheng wydała się Bluey czymś zupełnie naturalnym, jakby natknęła się na wymarłą formę egzystencji, po czym odkryła, że jednak tli się w niej życie. Kiedy jednak spędziła więcej czasu w Willi Richmond i poznała historie jej mieszkańców, jej zaciekawienie przerodziło się w gorącą sympatię. Współczuła im, ponieważ cierpieli równie dotkliwie, jak cierpiała ona, będąc żoną człowieka, który z każdym upływającym rokiem stawał się bardziej bezosobowy, odległy, nijaki. Z głębokim oburzeniem obserwowała reakcję Ran-dy'ego, kiedy po urodzeniu Gartha straciła zainteresowanie hydrobiologią. Poszukiwała ucieczki w prowadzeniu domu, w zwyczajnych sprawach, które zdawały się reprezentować ciepłą rzeczywistość poza chłodnym, sterylnym światem nauki. Wiedziała doskonale, że Randy pogardza nią za szydełkowanie i czytanie książek kucharskich, i przez kilkanaście lat

powtarzała sobie, że jego opinia nie ma dla niej znaczenia. Ale kiedy odkryła, że James i Hugh nie tylko podziwiają jej umiejętności, ale są nimi żywo zainteresowani, przyznała sama przed sobą, że Randy zagłodził ją duchowo, że jest zatrwazająco samotna. Popołudnie spędzone w kuchni Willi Richmond na pieczeniu ciasteczek malinowych i przyszywaniu guzików do męskich koszul oznaczało dla niej tyle, co wyjście na słońce po długim okresie chłodu i deszczu.

To słońce przygrzewało szczególnie mocno, gdy w Willi Richmond znajdował się James. James nie powiedział Bluey o Kate, ale zrobił to Hugh. Hugh powiedział jej również o Joss. Początkowo Bluey nie uważała Joss za odpowiednią dziewczynę dla Gartha, który był przystojnym, porządnym, starannie wychowanym chłopcem i wydawał się za dobry dla takiej burkliwej małej wywłoki jak Joss. Ale skoro James był do niej przywiązany, a Hugh zapewnił Bluey, że tak właśnie jest, Bluey postanowiła poddać Joss jeszcze jednej inspekcji. Kto wie, może jest w tej dziewczynie więcej niż Widać gołym okiem, nawet okiem matczynej przenikliwości. Bluey miała ochotę zapytać Hug-ha, jak silne jest jego zdaniem przywiązanie Jamesa do Kate, ale delikatność jej na to nie pozwoliła. Musiała pocieszyć się myślą, że James nie wygląda na kogoś, kto usycha z tęsknoty, czego niestety nie dawało się powiedzieć o Hughu. Bluey uznała, że Hugh jest bardzo atrakcyjny, choć zbyt czarujący, by mógł zasługiwać na zaufanie. I z całą pewnością usychał. Widziała jego śliczną, smutną żonę, a James opowiedział jej o uroczych bliźniakach. Wydawało się oczywiste, że z czasem Hugh wróci do domu, do żony i dzieci, a wtedy James pozostanie sam w Willi Richmond, z Leonardem jako jedynym towarzyszem. Poczucie się bardziej samotny niż przedtem i bardziej niż kiedykolwiek skłonny docenić obecność kogoś, kto będzie dla niego miły. Często mówił, że jest miła.

— Jesteś miłą istotą — mówił, spoglądając na sałatę Waldorf, którą przygotowała na kolację, albo na świeżo zacerowany sweter Leonarda, albo na pęczek niebieskich bratków na swoim biurku. — Tyle dla nas robisz, czuję się z tego powodu nie w porządku.

— Ale ja chcę to robić.

— Wiem. I dlatego to jest takie miłe.

— Nie mam nic innego do roboty. Nie pracuję. Randy'ego i Gartha przez cały dzień nie ma w domu. Zawadzam ci?

— Ani trochę. Po prostu czuję, że otrzymujemy więcej niż dajemy, i nękają mnie wyrzuty sumienia.

Spojrzała mu otwarcie w oczy.

— To, co otrzymuję, w zupełności mi wystarcza.

— Wobec tego dziękuję ci — powiedział James. Pochylił się i pocałował ją w policzek. — Szczerze dziękuję.

Jedynym elementem niepokojącym była obecność w Willi Richmond panny Bachelor. Bluey trochę się jej bała. Przy pannie Bachelor czuła się niemal tak źle, jak przy Randym. Gdyby Beatrice nie była taka stara, Bluey posądzałaby ją o słabość do Jamesa, ale panna Bachelor była nie tylko stara, ale zbyt uczona i trzeźwa na to, by żywić romantyczną słabość do kogokolwiek. A jednak, kiedy Bluey patrzyła na Jamesa, na jego życzliwą, ciepłą, zniszczoną twarz, gęste, nigdy nie doczesane włosy, na jego dłonie i ramiona, na postawę człowieka, który dobrze się czuje z własnym ciałem, wtedy instynktownie wiedziała, że stopień podatności na romantyczną słabość nie zależy ani od wieku, ani charakteru. To dziwne, obce życie w Oksfordzie, które wydawało jej się dotąd nieprzyswajalne, stało się nagle nie tylko interesujące, ale i zrozumiałe.

Na tydzień przed swoimi piętnastymi urodzinami Joss zamalowała ostatni pusty kwadracik na kartonie po płatkach. Pocięła karton na mnóstwo małych, zgrabnych kawałeczków, wsypała je do starej puszki po farbie, którą znalazła na podeście w śmieciach pana Winthrop, i spaliła. Potem przejrzała na chybił trafił materiał do nadchodzących egzaminów i czekała na Kate. Kate nie pracowała tego wieczora i powiedziała, że wróci około piątej. Powiedziała też, że przyniesie kolację, czyli jakieś danie z restauracji. Joss lubiła spaghetti, ale człowiekowi może się przejeść spaghetti, może mu się przejeść wszystko, zwłaszcza ponoszenie ofiar. Przez ostatni miesiąc Joss przestudiowała ten temat gruntownie i doszła do wniosku, że poświęcanie się ma sens tylko wtedy, gdy do czegoś prowadzi.

Kate wróciła parę minut po piątej, klapnęła na najwygodniejszy fotel, zrzuciła pantofle i powiedziała, że przez Pasta Please przewalił się tabun turystów, w tym autobus Japończyków, którzy zamówili wszyscy to samo i wpędzili Benjiego w histerię. Joss zrobiła jej herbaty.

— Bóg zapłać — powiedziała Kate z wdzięcznością. Przymknęła oczy i popijała wolno herbatę. Joss przyglądała się matce przez dłuższą chwilę. Kate miała inaczej ścięte włosy, trochę krócej, i było jej z tym do twarzy. Zanim zaczęły razem mieszkać, Joss nigdy nie patrzyła na Kate tak beznamiętnie, bardziej jak na obcą osobę niż matkę, teraz zaś robiła to często. Nie mogła się powstrzymać, choć nie sprawiało jej to przyjemności. Było raczej żenujące. Emma powiedziała, że Kate jest super, i Joss poczuła się dumna, szczęśliwa i wytrącona z równowagi, wszystko na raz.

— Mamo...

Kate otworzyła oczy.

— Tak?

— Mamo — Joss usiadła okrakiem na krześle. — Mamo, muszę już iść.

— Nie wiedziałam, że wychodzisz — zdziwiła się Kate. — Dokąd się wybierasz?

— Nie jestem umówiona — wyjaśniła Joss lakonicznie. — Chciałam powiedzieć, że muszę już iść do domu. Do Willi Richmond.

Bardzo ostrożnie Kate postawiła kubek z herbatą na dywanie obok fotela.

— Joss, to jest twój dom. Joss nawet się nie skrzywiła.

— Dla ciebie — powiedziała — ale nie dla mnie. Spojrzały sobie w oczy.

— Nie byłaś ze mną szczęśliwa? Myślałam, że jesteś. Wydawałaś się szczęśliwa.

Joss milczała.

— Było nam ze sobą dobrze! — zawołała Kate.

— Tak.

Kate zacisnęła dłonie na poręczach fotela i pochyliła się ku Joss.

— Więc dlaczego?

Joss nie podobał się wygląd Kate, ton jej głosu, ale nie miała wyjścia.

Wiedziała, że to nie będzie łatwe, spodziewała się, że Kate nie zrozumie, poczuje się urażona, uzna jej odejście za osobistą porażkę.

— Po prostu muszę wrócić — powiedziała ostrożnie, próbując zachować spokój. — To nie ma nic wspólnego z tobą, ale ja nie mogę tak żyć. —

Umilkła, po czym powiedziała z naciskiem: — To nie jest naturalne.

— Nienaturalne!

— Nie.

— To, że matka i córka mieszkają razem, jedzą razem, zartują i bawią się razem jest nienaturalne?

— To nie — powiedziała Joss z uporem. — Ale mieszkanie tutaj tak. Ty grasz...

— Gram?

— Ty nie żyjesz — powiedziała Joss, zadziwiając samą siebie. — Ty po prostu brniesz przed siebie.

235

Zapadła cisza. Kate wstała i podeszła do okna. Joss zdawało się, że matka stoi tak bardzo długo. Potem Kate wróciła na fotel i odezwała się bardzo spokojnym głosem:

— Rozmawiałaś z Jamesem.

— Nie — powiedziała Joss. — Ze stryjem Leonardem też nie.

— Więc dlaczego mówisz takie rzeczy? Nigdy dotąd tak nie mówiłaś.

Joss wzięła głęboki oddech.

— Zrobiłam tabelkę. Miała dwadzieścia osiem kwadracików, jeden na każdy dzień. Każdego dnia zamalowywałam jeden. Dzisiaj zamalowałam ostatni.

Powiedziałam sobie, że pomieszkam tu miesiąc i nie zbliżę się nawet do Jamesa, stryja Leonarda i Jerycho, i dotrzymałam słowa. Ale teraz idę do domu.

Kate ukryła twarz w dłoniach.

— Dlaczego? — wyszeptała przez palce.

— Ponieważ tam jest bardziej jak w rodzinie.

— Z Jamesem?

Joss nie odpowiedziała od razu.

— Tam jest mój pokój i moje rzeczy — odezwała się po chwili, ale zdawała sobie sprawę, że to tylko część prawdy.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała Kate. Joss spojrzała jej prosto w twarz.

— Dlaczego nie pójdziesz ze mną?

— Och, nie...

— Dlaczego nie? James weźmie cię z powrotem...

— Nie chcę wracać. Teraz jestem wolna, nie widzisz tego? To jest najważniejsze w życiu, myślałam, że to rozumiesz, że przez ten ostatni miesiąc, kiedy było nam tak dobrze razem, kiedy byłaś dla mnie taka miła, myślałam, że zrozumiałaś...

— Nie, nadal uważam, że zgłupiałaś.

Kate zacisnęła pięści. Nie może pozwolić, by ta rozmowa przekształciła się w kłótnię.

– Czy zostałabyś ze mną, gdybym znalazła inne mieszkanie, gdybyśmy wybrały je razem?

W Joss zamarło serce, tego się nie spodziewała. Uciepiała się oparcia krzesła.

– Nie – powiedziała.

– Rozumiem. Więc jedynym miejscem, gdzie łaskawie zgodziłabyś się ze mną mieszkać, jest Jerycho, choć wiesz, że tam jestem nieszczęśliwa?

– Ja jestem nieszczęśliwa tutaj – powiedziała Joss. – Dlaczego ja nie mam prawa wyboru, skoro ty je masz?

– Ponieważ jesteś jeszcze dzieckiem – odparła Kate bez przekonania.

– Daj spokój! – powiedziała Joss z pogardą.

– Czy tu chodzi o Marka? Joss westchnęła.

– Nie.

– Nie lubisz go.

– Uważam go za bęcwała, ale nie dlatego chcę wrócić do domu.

Powiedziałam ci już, dlaczego.

Kate wstała. Wyglądała tak wątko i delikatnie, że Joss poczuła się jak ostami podlec.

– Chcesz odejść, bo choć jestem twoją matką, nie potrafię stworzyć ci domu. Joss milczała. Chciała powiedzieć coś miłego, ale nie wiedziała jak to zrobić, żeby nie zacząć przeproszać. Instynkt mówił jej, że miałyby to fatalne skutki. Spuściła wzrok na starą imitację tureckiego dywanu i zaczęła liczyć kwiaty na jego brzegach.

– Och, Joss! – wyszeptała Kate złamanym głosem. – Jossie...

Dziewięć, dziesięć, liczyła Joss. Bardzo pragnęła powiedzieć „przepraszam”. Jedenaście, dwanaście, trzynaście, skręt w lewo...

– Co ma James, czego ja nie mam?

Gniew buchnął w Joss, dławiąc wszelką tkliwość. Zerwała się, przewracając krzesło.

— On mnie o nic nie prosi! — krzyknęła. — I ciebie też o nic nie prosił!
Potem wypadła z pokoju, zbiegła po ciemnych schodach do hallu i na ulicę.
Za zamkniętymi drzwiami pracowni ulubienica pana Winthropa na ten tydzień, Peggy Lee, śpiewała: „Gdzie się podziały tamte szczęśliwe dni, gdzie podziały się kwiaty?...” Huk frontowych drzwi wstrząsnął domem, Peggy Lee zająknęła się i pan Winthrop wyskoczył ze swej jaskini, by naurągać Kate. Joss zapomniała o Hughu. Zapłaciła taksówkarzowi, przeniosła bagaże i kołdrę na schody, przycisnęła dzwonek, cały czas wyobrażając sobie, że ujrzy w progu Jamesa. Miała zamiar powiedzieć „wróciłam” i czekać. Ale to nie James otworzył jej drzwi, lecz Hugh w bladoniebieskiej koszuli i białych spodniach. James, pomyślała Joss z pogardą, nie założyłby białych spodni, nie w jego wieku.

— Dobry Boże! — powiedział Hugh.

— Wróciłam...

— Widzę. Czy Kate o tym wie?

— Dała mi pieniądze na taksówkę.

— Niech mnie kule, odesłała cię!

— Nie! — zawołała Joss, już z gniewem. — Chciała, żebym została, ale ja chciałam wrócić.

Hugh sięgnął po najbliższą torbę.

— Będzie chyba lepiej jak wejdiesz.

— Ja tutaj mieszkam — powiedziała Joss z wściekłością.

— Tak, ale myślałem...

— Co pan tu jeszcze robi?

— O Boże! — powiedział Hugh. — Chyba tego nie zniosę.

Joss, zakutana w swoją kołdrę, przepchnęła się obok niego do hallu.

— Gdzie jest James?

— Poza domem.

— Stryj Leonard?

— W ogrodzie, pije herbatę. Z Beatrice...

Joss upuściła kołdrę na podłogę, minęła biegiem kuchnię i wypadła do ogrodu. Stryj Leonard i panna Bachelor siedzieli pod wierzwą przy płocie.

Stryj Leonard miał na głowie swoją panamę z czarną wstążką i poszarpanym rondem.

— Wróciłam! — zawołała Joss. — Wróciłam! Oboje podnieśli głowy.

— Co za cholerna niespodzianka! — powiedział Leonard. Wyciągnął ku niej drżące, pocętkowane ręce.

— Józefino! — zawołała Beatrice. — To niesłychane!

Joss przebiegła trawnik i upadła przy nich na kolana.

— Dlaczego on tu jest?

— Hugh? Doprawdy, nie wiem. Skończony nudziarz...

— Józefino, czy twoja matka...

— Gdzie jest James? Kiedy wróci?

— Wyglądasz gorzej niż kiedykolwiek. Okropne dziecko. Po jakie лихо wróciłaś? Było tu bez ciebie trochę spokoju...

— James poszedł na wystawę sztuki współczesnej z panią Acheson...

— Bluey...

— Dziwaczne imię.

— Miła kobitka, nie to, co...

— Leonard!

— Naprawdę próbowałam mieszkać z mamą — powiedziała Joss. — Z ręką na sercu. Było fajnie, ale...

Czekali.

— Udawałyśmy — dokończyła Joss. Beatrice uśmiechnęła się do niej promiennie.

— Bardzo nam ciebie brakowało.

— Mnie wcale.

Joss spojrzała na Leonarda.

— Mnie ciebie też nie.

— Dlaczego wróciłaś?

— Żeby uciec od pana Winthrop.

— Kim jest pan Winthrop?

— Właścicielem domu, w którym mieszka mama. Cuchnie. — Wyszczrzyła zęby do Leonarda. — Niemal tak jak ty.

— Cholerna impertynentka!

— Dlaczego James umówił się z Bluey? Ona jest mężatką.

Leonard i Beatrice wymienili spojrzenia.

— Jest bardzo miła i ma niezwykle osiągnięcia w dziedzinie gospodarstwa domowego.

Joss podniosła się z trawy.

— W którym pokoju on mieszka? Chyba nie w moim?

— Hugh? Nie. Pani Cheng strzegła twojego pokoju jak lwica swoich małych.

— Pójdę na niego popatrzeć. Na mój pokój. Potem zadzwonię do Gartha i Angie. — Ruszyła w podskokach w stronę domu.

Patrzyli za nią.

— Kochane dziecko — powiedziała Beatrice mocno zmienionym głosem. ⁴

— Weź na wstrzymanie — burknął Leonard z niesmakiem. Zerknął na Beatrice. — Jeżeli się rozkleisz, napluję ci do herbaty.

Julia siedziała w salonie i czytała list od Hugh, po raz ósmy czy dziewiąty. Z całą pewnością nie był to list przynoszący otuchę. Pełen ukrytych wymówek, wydawał się Julii reprimendą, której Hugh udzielał samemu sobie. Nie krył, że pisze dlatego, iż ona go

o to błagała, twierdząc, że potrzebuje czegoś bardziej namacalnego niż rozmowy telefoniczne, po których czuje się taka nieszczęśliwa.

„Byłabyś o wiele mniej nieszczęśliwa — pisał Hugh — gdybyś zostawiła mnie w spokoju na jakiś czas. Moje zachowanie jest naganne, a ponieważ na inne mnie w tej chwili nie stać, byłbym wdzięczny, gdybyś nie prowokowała mnie do żadnego zachowania. Nie zrozum mnie źle — nie jestem szczęśliwy, wpadłem w rodzaj letargu i tylko w tym stanie mogę funkcjonować”. Cały list był w tym tonie, wykrętny i niejasny. Julia odebrała go jako odtrącenie, odtrącenie jej

1 wszystkiego, co sobą reprezentowała, domu, który stworzyła, stylu życia, który mu narzuciła. Totalnemu odrzuceniu nie podlegały jedynie bliźniaki. Julia pomyślała z nieśmiałą nadzieją, że Hugh nie może przecież akceptować dzieci, nie przyjmując jej i ich życia razem. Nie wątpiła ani przez chwilę, że Hugh szczerze kocha synów i tęskni za nimi, ale im dłużej był poza domem, tym bardziej ich idealizował, tym większy mieli dla niego urok, para biednych, porzuconych aniołków. Prawda wyglądała tak, że bliźniakom daleko było w tej chwili do aniołków, stały się po prostu nieznośne.

Wypowiedziały posłuszeństwo nawet Sandy i wróciły do stanu dziecięcego anarchizmu, który polegał na darciu książek, seplenieniu i rozrzucaniu jedzenia po stole. Im smutniejsza była Julia, tym gorsze stawało się ich zachowanie. Julię prześladowała myśl, że Sandy w końcu odejdzie, co wstrząśnie na nowo światem bliźniaków. Julia potrzebowała pomocy, choćby tak marnej, jakiej udzielała Sandy.

Odłożyła list i łyknęła wino z kieliszka, który przyniosła sobie do salonu. Kiedy po raz pierwszy przeczytała list, w ubikacji po śniadaniu, rozplakała się z gniewu i żalu. Teraz, po całym dniu pracy i dziewię-

18 —Nielatwa związki

241

ciu czytaniach, była zdecydowanie mniej przygnębiona, zmienił się również jej stosunek do Hugh'a. To ją zaciekało. Przecież Hugh nie powiedział nic nowego w tym liście, po prostu wyraził jeszcze raz swoją bezradność, wzruszającą, rozdzierającą serce bezradność małego chłopca. Dzisiaj nie czuła jakoś wzruszenia. Spojrzała na list, ale go nie podniosła. Stwierdziła, że nie chce go podnieść, że jego widok ją złości.

Poszła do kuchni. Sandy nie sprzątnęła po kolacji i na stole pełno było okruchów, kuleczek zielonego groszku i sadzawek mleka. Julia ominęła wzrokiem śmietnik na stole, otworzyła lodówkę i dołąła sobie białego wina. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie ugotować jajka, ale uznała, że szkoda fatygi. Jeszcze raz otworzyła lodówkę, znalazła resztkę brie i pomidora, i zaniósła jedzenie, bez talerzyka, z powrotem do salonu. Siadając w fotelu nadepnęła na list Hugh'a i to dało jej chwilę triumfu. Jestem pewna, pomyślała nadgryzając brie, jestem pewna, że lituje się nad sobą nie mniej niż ja litowałam się nad nim jeszcze dzisiaj rano. Dlaczego nie lituję się teraz, dlaczego czuję inaczej niż rano w kiblu? Co to jest, zastanawiała się, pozwalając, by sok z pomidora spłynął jej po brodzie, co to jest, co sprawia, że wyczerpuje się nawet anielska cierpliwość?

Nachyliła się i położyła na wpół zjedzony ser i pomidor na liście Hugh'a. Potem podeszła do okna i spojrzała na swój letni ogród, niebieskoszary o zmierzchu. Wsparła czoło o szybę. Miała dzisiaj spotkanie robocze z Robem Shinerem na temat drugiego cyklu „Night Life”. Omówili również pomysł Julii, by prześledzić życie pięciorga dzieci o różnym pochodzeniu społecznym na przestrzeni pięciu lat. Kiedy skończyli, Rob zaproponował wypad do baru na sandwicza. Zawsze szli na sandwicze, Rob i Julia, więc powiedziała „tak”, z wdzięcznością. Zjedzenie

kanapki w towarzystwie Roba oznaczało, że nie będzie musiała czytać listu od Hugh'a. Jedli kanapki z wołowiną, kiedy Rob zaprosił ją na kolację.

— Na kolację?

— Myślę — powiedział Rob — że trzeba cię rozweselić.

— Jak to miło z twojej strony — odparła Julia szczerze.

Rob dolał jej wody mineralnej.

— I jak egoistycznie. Chcę iść z tobą na kolację. — Spojrzał na nią. — Twoje zachowanie ostatnimi czasy, zero sklamrzenia, dowodzi, że należysz do najwyższej kategorii kobiet, a ja lubię zabierać wspaniałe kobiety na kolację.

Julia namyślała się przez chwilę. Umysł miała tak pełny Hugh'a, że potrzebowała czasu, by przestawić go na myślenie o Robie. Rob. Spojrzała na niego. Wyglądał dokładnie tak samo jak przedtem, sympatyczny, lekko podniszczony pan w średnim wieku, ubrany w skórzaną kurtkę i dżinsy.

— Wysłałam z wprawy — powiedziała.

— Fałszywa skromność.

— Wcale nie...

— On cię zostawił — powiedział Rob. — Nie powiedział, kiedy i czy w ogóle wróci. Masz zamiar żyć jak zakonnica, aż się łaskawie zdecyduje?

Julia napiła się wody.

— Jestem rozwiedziony i wolny — ciągnął Rob. — Ty jesteś w separacji.

Jesteśmy parą wolnych strzelców. Trzeba podbudować swoją miłość własną. To przeważało szalę, pomyślała Julia, przytulona czołem do chłodnej szyby, ta uwaga o własnej godności. Ta godność ucierpiała mocno w ciągu ostatnich tygodni, kiedy Julia pogrzyżyła się w rozpacz, zupełnie jak kobiety w Mansfield House, z którymi przeprowadzała wywiady do „Night Life”.

Mówiły (a ona nie do końca je rozumiała), że człowiek katowany

przez lata zaczyna wierzyć, że może być tylko ofiarą. Ona zaczęła wierzyć, że Hugh ma rację, że poprzez sam fakt swego istnienia wyrządziła mu krzywdę, a więc ponosi odpowiedzialność za obecny stan jego umysłu. A co ona tak naprawdę zrobiła? Julia oderwała czoło od szyby i spojrzała spode łba na swój ogród. Udzielała pociechy i wsparcia, udowodniła, że potrafi utrzymać ich wszystkich. Nie robiła mu wyrzutów, ani razu, nawet wtedy, gdy się upił w supermarkecie w Coventry. I nagle podczas spotkania z Robem Shinerem zrozumiała, że nie miałyby absolutnie nic przeciwko temu, by ktoś ją za to wszystko pochwalił.

— Gdyby mężczyzna zrobił to, co zrobiłam ja — powiedziała głośno w przestrzeń pustego salonu — gdyby Hugh zrobił dla mnie to, co ja zrobiłam dla niego, byłby bohaterem. Nikt nie ma zamiaru uznać mnie za bohaterkę, więc zadowolę się każdym okrucieństwem uznania, jaki ktoś zechce mi rzucić. Pochyliła się i uniosła list Hugh'a za dwa rogi, tak że utworzył hamak dla resztek sera i pomidora, i wyniosła go do kubła na śmieci. Potem napisała kartkę do Sandy, nakazując jej sprzątnąć kuchnię przed pójściem spać, i oparła ją o karton mleka, w bardzo widocznym miejscu. Jutro sama obudzi bliźniaki i zrobi im porządne śniadanie, koniec jedzenia na łapu capu. Potem pojedzie do studia i powie Robowi Shinerowi, że z przyjemnością, z ogromną przyjemnością zje z nim kolację.

James leżał w łóżku, wsparty na poduszkach, i czytał relację Boswella z podróży z doktorem Johnsonem. Bohaterowie zjedli właśnie kolację w Zamku Inveraray, księżna utarła nosa Boswellowi i wpadła w zachwyty nad doktorem Johnsonem. Jamesowi daleko było do stanu euforii, w jakim znajdowała się księżna, ale z pewnością czuł się lepiej niż w ciągu

ostatnich miesięcy. Spędził uroczne popołudnie, a kiedy wrócił, dom pulsował rockiem, a Joss smażyła w kuchni kielbaski.

— Cześć — powiedziała, nie patrząc na niego.

— Jossie!

Powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Podszedł do radia, wyłączył je i cisza zalała kuchnię jak strumień zimnej wody.

— Wpadłaś na kolację?

— Wróciłam.

— Na dobre?

— Aha — powiedziała Joss, przewracając niepotrzebnie kielbaskę.

— Miałaś... pokłóciłaś się z Kate?

— Nie mogę tam mieszkać.

James obszedł stół i otoczył Joss ramieniem. Zesztywniała tylko na sekundę.

— Nie powinienem mówić, że się cieszę, ale zrobię to. Cieszę się, że wróciłaś.

— Ja też — powiedziała Joss, zawzięcie przewracając kielbaski.

— Więc jaki jest układ, Willa Richmond pół na pół z Osney?

— Nie — powiedziała Joss. — Będę widywała się z mamą tak jak przedtem, ale zamieszkałam tutaj. — Wsparła się łokciami o blat. — Powiedziałam jej, że też powinna wrócić. Ale ona nie chce.

— Nie — powiedział James po chwili milczenia. — Nie.

Joss rzuciła mu spojrzenie.

— Co przez to rozumiesz?

— Że może... Że może to się skończyło... — Skończyło?

— Prosiłem, żeby wróciła. Wtedy, kiedy przyszła po ciebie. Dała mi wyraźnie do zrozumienia, że nie chce, więc uczę się żyć, nie pielęgnując podobnych nadziei.

— Jezu! — powiedziała Joss.

Na tarasie rozległo się postukiwanie i w otwartych drzwiach do ogrodu stanął Leonard.

— A, James! Jesteś nareszcie. Co z nią teraz zrobisz? Cholerna dziewczucha. Cholerna dziewczucha leżała teraz, ku wielkiemu zadowoleniu Jamesa, w pokoju po drugiej stronie korytarza, owinięta w swoją kołdrę. Powrót Joss nie był oczywiście sprawą aż tak prostą. Czekwały go pertraktacje z Kate, ale najważniejsze było to, że wysłużona szczoteczka Joss znajdowała się w jego łazience, a odwieczna kłótnia Leonarda z Joss o to, czy zrobić głośniejsze, czy ciszej, uniemożliwiła Jamesowi obejrzenie wiadomości o dziewiątej. Hugh był dość miły dla Joss przy kolacji i nadął się dopiero wtedy, gdy James odmówił zdania szczegółowej relacji z popołudnia z Bluey Acheson.

Było to bardzo miłe popołudnie. Na wystawie sztuki współczesnej — jej wybór, nie jego — błądzili po metalowym polu kukurydzy, nad którym unosiły się ogromne kolorowe motyle i kwiaty. Bluey była zachwycona. James uznał, że to bardzo głupie.

— Ale głupstwa są czasem zachwycające.

— Nie wtedy, gdy traktuje się je śmiertelnie poważnie.

— Kiedy to właśnie jest żart!

— A więc bardzo pretensjonalny żart.

— James!

— Fakt, że tobie się to podoba, nie oznacza, że musi podobać się mnie.

— Nie musi ci się podobać, ale nie powinieneś tego z góry przekreślać.

— O! — powiedział James, biorąc ją za rękę. — Lubię podroczyć się po przyjacielsku. Brakowało mi tego.

Bluey nie zabrała mu dłoni i robiła, co mogła, by jej nie wypuścił, ale zrobił to parę minut później. Na domiar złego, nie próbował ująć tej dłoni ponownie,

przez całą drogę na Observatory Street. Szedł przy Bluey z marynarką przewieszoną przez ramię, rozmawiał, uśmiechał się i był — niech to diabli, pomyślała — taki kochany i apetyczny.

Zaprowadziła go do swojego małego ogrodu i posadziła na werandzie, żeby mógł podziwiać powojnik, i przyniosła mu mrożonej herbaty.

Opowiedziała mu o swoim dzieciństwie w Chicago, o studiach i o tym, jak wyszła za mąż, ponieważ zrobiły to jej przyjaciółki („To brzmi niewiarygodnie staroświecko”, powiedział James, a Bluey zawołała: „Ale to prawda! To właśnie przytrafia się dziewczętom wychowanym tak jak ja! Feminizm nie miał na nas żadnego wpływu”), a potem o przyjeździe do Anglii, gdzie wszystko jest takie obce. Uśmiechnęła się do Jamesa.

— Ty również wydajesz się cudzoziemski. Choć oboje mówimy po angielsku. Popatrzył na nią z namysłem.

— Ty za to wcale nie wydajesz mi się obca, tylko niezwykle świeża i młoda.

— Czy na tyle młoda, bym mogła pozwolić sobie na zuchwalstwo?

— Spróbuj.

— Czy porozmawiasz ze mną o Kate?

— A — powiedział James. Odstawił szklanekę na biały stolik przy swoim łokciu. — Chyba nie. Wcale nie uważam, żeby to było zuchwalstwo z twojej strony, ale znajduję się na tym etapie rekonwalescencji, kiedy sama myśl o chorobie jest niemiła.

— Jestem po prostu ciekawa. — Popatrzyła na Jamesa. — Ty nie jesteś ciekaw moich stosunków z Randym?

James zaczął się śmiać.

— Dobry Boże! — powiedział. — Obawiam się, że nie. Och, Bluey, jesteś naprawdę słodka — powiedział, po czym pochylił się, ujął ją za ramiona i pocałował w usta.

Pan Winthrop czatował na Kate. Ściszył Peggy Lee niemal do szeptu, wyłączył elektryczne słoneczko i otworzył na oścież drzwi pracowni, żeby usłyszeć, jak Kate przekręca klucz w zamku.

Pana Winthropa odwiedził dzisiaj niezwykle schludny, skromnie ubrany Nigeryjczyk w okularach. Zapukał do jego drzwi i zapytał, czy pan Winthrop nie ma pokoju do wynajęcia. Pan Winthrop powiedział, że kto wie, może i ma. Młody Nigeryjczyk otworzył walizkę i pokazał panu Winthropowi swoje dokumenty. Był studentem prawa, i choć zajęcia na uczelni rozpoczynały się dopiero jesienią, on przyjechał do Oksfordu wcześniej, żeby całe lato przesiedzieć w uniwersyteckiej bibliotece. Pan Winthrop zauważył, że w walizce znajduje się również Biblia, a jej właściciel jest czysty i wygląda na intelektualistę.

— Ma pan przyjaciół? — zapytał.

— Jeszcze nie — odparł młody Nigeryjczyk — ale spodziewam się zawrzeć przyjaźnię w kościele.

Pan Winthrop otworzył mu pokój Kate kluczem, który trzymał na takie właśnie okazje.

— Pięćdziesiąt pięć funtów tygodniowo, elektryczność i telefon ekstra — powiedział.

Młody Nigeryjczyk spojrział na pokój Kate, na jej poduszki i zdjęcia, na kubek do kawy stojący pośród papierów i książek, na pustą butelkę po mleku z jedną pomarańczową lilią.

— Ładny pokój — powiedział. — Kiedy obecny lokator się wyprowadza?

— Łada dzień — odparł pan Winthrop. — Sprawia mi mnóstwo kłopotów. — Spojrzął na gładką czarną twarz za połyskującymi okularami. — Nie chcę kłopotów. Nie chcę żadnych kobiet i dzieci.

Młody człowiek uniósł ciemne, czyste dłonie w geście wyrażającym dezaprobatę.

— Prowadzę spokojne życie. Zawsze może się pan zwrócić do mojej uczelni.

Pan Winthrop przypomniał sobie Biblię.

— Żadnych śpiewów? Żadnych tamburynów i pobożnych nonsensów? Nigeryjczyk nie wyglądał na urażonego. Uśmiechnął się.

— Jestem cichutki — powiedział. Pan Winthrop sprowadził go na dół.

— Niech pan przyjdzie we wtorek, to powiem panu coś konkretnego.

— Zaliczka? — zapytał młody człowiek.

Panu Winthropowi oczy omal nie wyszły z orbit. Opanował się z największym trudem.

— We wtorek — powiedział.

Wyprowadził młodego człowieka na Swan Street.

— Nie chciałbym sprawić kłopotu tej damie — powiedział Nigeryjczyk łagodnie.

Pan Winthrop pomyślał o Kate. Parsknął.

— Tym niech się pan nie kłopotuje — powiedział. — Żadna z niej dama.

Teraz, kiedy Joss zamieszkała znów w Willi Richmond, Angie i Emma odprowadzały ją często do

domu po szkole. Garth — nigdy. Joss uznała, że on czuje się niezręcznie spotykając tam matkę, patrząc jak Bluey strzyże stryja Leonarda albo robi nadzienie do kurczaka. Joss miała dużo współczucia dla Gartha, miała również plany wobec Bluey.

Mimo kulinarnych wyczynów Bluey Joss nadal robiła zakupy. Zazwyczaj zabierała ze sobą Angie i Emmę, żeby mieć wyrękę przy niesieniu siatek i audytorium przy pełnieniu swoich kobiecych obowiązków. Robiły zakupy częściowo w supermarketach, częściowo na bazarze, gdzie było weselej, a produkty nie dusiły się pod folią. Potem Joss fundowała dziewczętom coca-colę z pieniędzy, które brała z drewnianej baryłki w kuchni. Baryłka była ostatnio zawsze pełna, do czego przyczyniał się w dużej mierze Hugh, i Joss uznała, że Hunter nie zbiednieje od trzech puszek coca-coli albo włoskich lodów w waflu.

Któregoś dnia szły właśnie odebrać swoją nagrodę, kiedy Angie powiedziała: — Spójrzcie na tego dzieciaka.

W barze z hamburgerami mały chłopiec przyciskał nos i język do szyby. Ponieważ usta miał pełne tego czegoś, co jadł, widok był odrażający, ale dla Joss dziwnie znajomy. Wyciągnęła szyję.

— Przecież to bliźniaki! — zawołała.

— Jakie bliźniaki?

— Bliźniaki Hunterów. — Odwróciła się i wcisnęła Angie torby z zakupami.

— Zanieście to do domu. Muszę się zobaczyć z bliźniakami.

— Cholera... — powiedziała Angie spod góry pakunków.

— No idźcie. Zaraz do was dołączę. Nie bądźcie jędze.

Zostawiła je na środku chodnika i wpadła do baru. Sandy siedziała przy oknie, paląc i czytając gazetę. Edward rozmażywał frytką ketchup, a George tkwił z twarzą rozpląszczoną na szybie. Stół, cały w węży-

kach cukru i soli, zawalony był brudnymi talerzami i papierowymi kubkami.

— Cześć, bliźniaki! — zawołała Joss.

Edward odwrócił się i pisnął radośnie. George oderwał się od szyby i rzucił w ramiona Joss.

— Jestem Joss — powiedziała Joss do Sandy. — Znam bliźniaki.

— Możesz sobie pogratulować — mruknęła Sandy.

— Joss! — krzyknęły bliźniaki. — Joss, Joss, cześć, Joss, cześć, cześć!

Joss pochwyciła je na ręce i pacnęła na krzesło naprzeciwko Sandy.

— Pani jest nianią?

— Jestem Sandy — powiedziała Sandy. — Chcesz kawy?

— Wolałabym koktajl — odparła Joss. — Bananowy.

— My też! — krzyknęły bliźniaki natychmiast. Sandy obrzuciła je wzrokiem.

— Buzie w ciup! — powiedziała i dźwignęła się z krzesła. — Pani H. może ci postawić koktajl.

Joss patrzyła, jak Sandy toczy się w stronę kasy.

— Wiecie co? — powiedziała do bliźniaków. Przytuliły się do niej i czekały.

Buzie miały umazane ketchupem.

— Wiecie, gdzie jest wasz tata? Natychmiast zrobiły się czujne.

— Tatuś? Nasz tatuś?

— Jest u mnie w domu — powiedziała Joss. — Mieszka ze mną.

— W twoim domu?

— Tylko na trochę.

— W tym domu, gdzie ty mieszkasz? W tym domu ze schodkami?

— Aha.

Zaczęły chichotać, oczy płonęły im jak ślepki wiewiórek.

- Śpi w twoim łóżku?
- Nie, ma swoje.
- Nasz tatuś? Nasz własny tatuś?
- Wasz, wasz.

Sandy wróciła z wysoką szklanką pianistej cieczy i trzema słómkami. Postawiła szklankę i wręczyła po jednej słonce Joss i bliźniakom.

— Nie będzie ci przeszkadzało jak sobie pociągną? Edward ukląkł na krzesło, żeby mieć lepszy dostęp do szklanki.

— Tata jest w domu Joss — powiedział ze słómką w buzi.

— Wiem — odparła Sandy.

'— Więc dlaczego nic pani nie powiedziała? — zawołała Joss z oburzeniem.

— A bo to moja sprawa?

— On wróci? — zapytał George.

Joss pociągnęła zdrowo łyk koktajlu bananowego. Smakował tak, jak się spodziewała. Był pyszny, gęsty, syntetyczny.

— Tak. Wróci.

— Lepiej uważaj — powiedziała Sandy ostrzegawczo. — Kim jesteś, żeby im mówić takie rzeczy?

— Joss jest już dużą dziewczynką — zakomunikował Edward.

— Mam piętnaście lat. Sandy parsknęła cicho.

— Piętnaście!

— Nasz tatuś ma na imię Hugh.

— Wiem.

— Możemy go zobaczyć?

— Niedługo — powiedziała Joss ostrożnie. Biedne bliźniaki, są tylko dziećmi.

— Ale powiem mu, że was widziałam. Powiem, że piliśmy koktajl bananowy.

George upuścił nagle słómkę i zsunął się z krzesła. Chwycił Joss za rękaw.

— Idę z tobą.

— Ja też, Edward też idzie! — zawołał Edward z rozpaczą.

— Boże! — powiedziała Sandy. — Zobacz, co narobiłaś. Oczywiście, że nie możecie iść z Joss, musicie wrócić do domu, do mamusi.

Joss otoczyła chłopców ramionami. Płakali teraz, wielkie łzy spływały po ich umorusanych, różowych policzkach.

— Jeszcze nie powiedziałam ostatniego słowa — syknęła Joss do Sandy. — Wiem, co robię.

Mark Hathaway poprawiał wypracowania na temat poezji Sylwii Plath. Mark uwielbiał Sylwię Plath i szczyił się tym, że omawia jej twórczość w sposób jasny i przejrzysty, wręcz natchniony. Toteż gdy klasa wykazywała odporność na przekazywane treści, popadał w depresję i mówił sobie, że marnuje talent w prowincjonalnej szkole. Postanowił, że poprawi połowę wypracowań i zrobi przerwę na kieliszek wina. Jeżeli skończy przed dziesiątą trzydzieści, pójdzie na Swan Street do Kate.

Po zniknięciu Joss sprawy między nimi przybrały zdecydowanie lepszy obrót. Przez pierwsze dni Kate była bardzo kolczasta i nieprzystępna, ale bez Joss w charakterze rywalki Mark mógł poczekać, mógł nawet wykazać pełne współczucie zrozumienie. Po pięciu czy sześciu dniach Kate przyszła na West Street i choć nie powiedziała „przepraszam” (na co Mark liczył), była miła, potulna i czuła. Następnego wieczora odprowadził ją po pracy do domu i natknął się w hallu na pana Winthropa.

— A pan dokąd? — zapytał Marka.

Mark otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale uprzedziła go Kate.

— Do mojego pokoju, który, dopóki za niego płacę, jest terenem prywatnym.

Była to bardzo satysfakcjonująca noc, jedna z najprzyjemniejszych, jakie razem spędzili, i Kate nawet nie wspomniała o Joss. Pozwalało to mieć nadzieję, że ich związek wchodzi w nową fazę, w której Kate odwzajemni jego uczucia. To pomogło mu znieść rozczarowanie, jakim była myśl, że natchniony wykład o Sylwii Plath padł na nieurodzajną glebę.

Pod dziewiątym wypracowaniem napisał: „Zastanawiam się, czy celowo wypaczasz znaczenie obrazowości”. Uznał, że to bardzo elegancka reprimenda. Odłożył czerwony długopis, przeczesał palcami włosy i odchylił się na krześle. Ktoś zapukał do drzwi. Było to nieśmiałe puknięcie, zupełnie mu nie znane. Nie ruszając się, zawołał „proszę!” i w drzwiach stanęła Kate. Mark zerwał się z krzesła.

— Kate!

Wyglądała na strapioną.

— Przepraszam, że tak niespodziewanie — powiedziała.

— Nie żartuj! jestem zachwycony! — Pocałował ją, zsuwając jej z ramion bawełniany żakiet i zaprowadził na sofę.

— Wyrzucił mnie — oznajmiła.

— Co?!

— Stary Winthrop mnie wyrzucił. Powiedział, że mam moralność ulicznicy, że hałasuję, i że może dostać za ten pokój więcej.

— Tylko to ostatnie jest prawdą.

— Mam się wynieść do piątku. — Kate zagryzła wargę. — To była okropna rozmowa.

Mark ujął jej rękę.

— Biedna Kate. Biedna Katie. Tak mi przykro. Spojrzała na niego. Oczy mu błyszczały.

— Nie wygląda na to, żeby ci było przykro.

— Cóż, prawdę mówiąc...

Próbowała zabrać mu dłonie, ale przytrzymał je ze śmiechem.

— Co cię tak bawi? Czy to, że zostałam wyzwana od ostatnich przez obrzydliwego starucha i teraz nie mam gdzie mieszkać?

— Masz gdzie mieszkać.

Myśli Kate pobiegły na oślep ku Jerycho.

— Chyba nie sądzisz, że powinnam...?

— Zamieszkaś tutaj.

— Tutaj! — pisnęła. Cofnęła dłonie i popatrzyła na niego, jakby widziała go po raz pierwszy. — Ale to jest twoje mieszkanie, urządziłeś je dla siebie!

— Przypuszczam, że urządziłbym je dla ciebie, gdybym cię wtedy znał.

— Och, Mark!* — powiedziała Kate, podnosząc na niego ogromne oczy. — To strasznie miłe, ale...

— Ale co?

— Czy to... Czy to nie oznacza czegoś trwałego? Trwałego związku?

— Oczywiście! — Mark uśmiechnął się szeroko. Zerwał się na nogi. — Zrobię ci drinka.

— Nie potrzebuję drinka...

— Owszem. Musimy to uczcić. Spójrz, mamy tu hektary przestrzeni. Kupię jeszcze jedną taką szafę z listewek na twoje rzeczy, a jak wiesz, mam już bardzo wygodne łóżko, co najmniej dwie łyżeczki, dwa kubki i dwie szklanki.

— Pochwycił ją w ramiona. — Katie! — powiedział z rozjaśnioną twarzą. — Kate, zamieszkaż ze mną i bądź moja przez cały czas!

— A co z niezależnością? — zapytała słabym głosem.

— Na co człowiekowi niezależność, skoro odnalazł właściwą zależność? Kocham cię, Katie, o czym świetnie wiesz.

Oderwał się od niej na chwilę, by przynieść dwa kieliszki różowego wina.

— Uśmiechnij się do mnie. Spróbowała.

— Beznadziejne — powiedział. — Nie jesteś zadowolona. Nie cieszysz się? Łyknęła wina. Pomyślała: „Kate, zachowujesz się jak idiotka, co się z tobą dzieje? Mieszkanie jest urocze, spędzisz z Markiem miło czas. Przecież nie chcesz mieszkać sama bez Joss, a poza tym, jeżeli coś nie wypali, zawsze możesz odejść. Co innego ci pozostaje, ty głupia, przymulona krowo? Jest mi źle bez Joss, krzyknęła w duszy, potwornie źle, ale co mogę zrobić? Brzmi to jak porada z najgłupszego czasopisma dla kobiet, ale nie zatrzymam jej, jeżeli nie pozwolę jej odejść. Muszę jakoś żyć, muszę znaleźć trochę ciepła, kogoś, komu będzie na mnie zależało, choćby w taki dziwny, niezrozumiały sposób. Napila się jeszcze wina i spojrzała na Marka.

— Jesteś strasznie miły — powiedziała. — Zamieszkać z tobą. Zamieszkać z ogromną przyjemnością. I będę się bardzo starała zachować porządek.

— Mówi Julia — powiedziała Julia do słuchawki. — Czy mogłabym rozmawiać z Joss?

— Przykro mi, ale wyszła z kolegą — powiedział James.

— Chodzi o to, że widziała się dzisiaj z bliźniakami w Oksfordzie. W ogóle nie powinno ich tam być, jeżeli chodzi o ścisłość, ale nie dlatego dzwonię. Chciałam zapytać Joss, co o nich sądzi. Są teraz strasznie trudni, czemu nie można się dziwić, ale już zupełnie nie wiem jak sobie radzić i...

— Julio — przerwał jej James łagodnie. — Powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła. Później.

— Niestety — powiedziała Julia innym tonem — później mnie nie będzie. Czy mogłabym zadzwonić jutro? Rzecz w tym, że jestem umówiona na kolację.

Hugh leżał na łóżku i palił papierosa. Prócz szumu przejeżdżających z rzadka samochodów przez otwarte okno dolatywały odgłosy letniego wieczoru, gwar rozmów, zgrzyt nożyc ogrodowych, muzyka, syk polewaczki. James zaproponował wyprawę do pubu, ale Hugh, ku własnemu zdumieniu, nie miał na to ochoty. Miał ochotę pobyć sam i trochę porozmyślać.

Poza tym został zrugany przez Joss Bain i nie zniósł tego dobrze. Szczerze mówiąc, nigdy nie przepadał za Joss, uważając ją za klasyczny przykład najbardziej nieopierzonej, beznadziejnej młodości. Kiedy wtargnęła w ich nieskalanie męskie towarzystwo, czuł zarazem rozdrażnienie i niechęć, zwłaszcza wobec niewytłumaczalnego entuzjazmu Jamesa i Leonarda. Ale z czasem, mimo jej barbarzyńskich nawyków łazienkowych, mimo jej upiornej muzyki i braku kobiecego wdzięku, Hugh musiał przyznać, że pod zbyt obszernymi kurtkami i przyciasnymi spodniami kryje się osobowość — dziwna, bo dziwna — ale silna.

Zgasił papierosa i powiedział sobie, że na razie nie zapali następnego. Jak długo potrwa to „na razie”? Dziesięć minut? Dwadzieścia? Zamknij się, powiedział sobie Hugh, zamknij się! Założył ręce pod głowę, żeby je unieruchomić, i skrzyżował nogi w kostkach.

—Dorośli mogą zrobić każde głupstwo, jakie im strzeli do głowy, Bóg z nimi — powiedziała mu Joss po kolacji. — Ale niech nie mieszają w to bezbronych dzieci.

, W ogóle się go nie bała, w ogóle. Po prostu zaczęła go besztać przy zmywaniu naczyń.

— Cały czas powtarzały: „Nasz tatuś? nasz tatuś?” Szkoda, że pan ich nie słyszał, one nic nie rozumieją. Nie mogą rozumieć. Trzeba je najpierw wychować, a dopiero potem rzucić na głęboką wodę. Co innego ja. — Tu w jej głosie zabrzmiała chełpliwa nutka. — Jestem wystarczająco dorosła, by robić, co chcę, ale bliźniaki są tylko małymi dziećmi. A ta ich niania! Jest

17 – Niełatwe związki

257

w porządku, ale to dla niej tylko praca, nie obchodzi jej, co one myślą. To ma być domyta sosjerka?!

Hugh próbował się bronić. Wysunął argument wieku i doświadczenia i próbował wykazać, jak niewiele Joss może wiedzieć o delikatnej, niebezpiecznej, niszczycielskiej naturze ludzkiego serca. Pomyślał, że byłoby mu dużo łatwiej, gdyby Joss straciła panowanie nad sobą, ale ona go po prostu zignorowała.

— Pan mnie w ogóle nie interesuje. Ani Julia. To są wasze sprawy. Ale martwię się o bliźniaki. Pan też zacząłby się martwić, gdyby pan je widział. Oto, powiedział sobie Hugh, przykład typowego, jednotorowego myślenia prawdziwego bojownika. Pierwsza zasada — nie przyjmować do wiadomości żadnych racji ubocznych, bo mogłyby zaciemnić sprawę. Jednak myśl ta nie przyniosła mu pociechy, zwłaszcza wobec faktu, że to on, Hugh, a nie Joss, stracił panowanie nad sobą, rzucił ścierkę na ziemię i krzyknął:

— Więc co, twoim zdaniem, mam zrobić, ty zarozumiała świętoszko?!

— Ma pan wrócić do domu — powiedziała i wy-maszerowała z kuchni.

Wtedy wtrącił się James i próbował, w ten swój denerwujący, jamesowski sposób, powiedzieć coś, co jednocześnie uspokoiłoby Hugh'a i powstrzymało Joss przed wtrącaniem się w nie swoje sprawy. Ale nawet Hugh zdawał sobie sprawę, że James robi to bez serca, że pod groźbą wywieszenia głową w dół z okna czwartego piętra przyznałby rację Joss. James kręcił się przez chwilę po kuchni, odkładając naczynia na miejsce, a przynajmniej udając, że odkłada, po czym zaproponował wypad na drinka. Zupełnie jakby proponował skrzywdzonemu dziecku lizaka.

— Nie, dzięki — powiedział Hugh i poszedł do swojego pokoju.

Na dworze było jeszcze jasno, ponieważ kolację

w Willi Richmond jadano wcześniej. Nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego, a Hugh nienawidził wczesnych kolacji. James wysunął teorię, że być może są pozostałością po czasach, gdy Joss była mała, a może tak jest lepiej dla archaicznego systemu trawiennego Leonarda. Mówił o tym lekko, jakby kwestia była bez znaczenia, choć miała ogromne znaczenie dla Hugh'a. Wieczorny posiłek bez odpowiedniej oprawy wydawał mu się szczytem barbarzyństwa. Julia zawsze... Hugh wyjął ręce spod głowy i sięgnął po papierosa. Gdyby się nad tym zastanowić, Willa Richmond wcale nie była miejscem cywilizowanym, nie czuło się w niej jedności ze światem. Nawet jej główna atrakcja — osoba Jamesa — jakoś straciła urok, zwłaszcza teraz, kiedy лихо nadało Joss, a ta Amerykanka robi dyplom z gotowania. Do diabła, pomyślał Hugh, przypomniawszy sobie nagle bliźniaków. Przewrócił się na bok i zwinął w kłębek. Do diabła, do pieprzonego diabła! Drzwi otworzyły się cicho.

— Nic ci nie jest? — zapytał James.

— Oczywiście, że mi jest! — zawołał Hugh. Zdusił niedopałek w popielniczce. James wszedł do pokoju i stanął przy łóżku, patrząc na Hugh'a z góry.

Przypomniał sobie, że kiedyś już tak stał, przeszło czterdzieści lat temu, w Cambridge, patrząc nie tylko na Hugh'a, ale również na dziewczynę, ubraną jedynie w zieloną aksamitkę.

— Julia dzwoniła — powiedział. Hugh odwrócił się i wsparł na łokciach.

— Julia? Dlaczego mnie nie zawołałaś?

— Nie chciała rozmawiać z tobą.

— Chryste...!

— Bliźniaki powiedziały jej, że widziały Joss. Chciała z nią o tym porozmawiać.

Hugh wygramolił się z łóżka.

— Zaraz do niej zadzwonię...

- Nie — powiedział James. — Nie możesz.
- Nie mogę?
- Poszła na kolację. Hugh wstał.
- Wyszła na kolację? Na cholerną kolację? Z kim?
- Nie wiem.
- Z mężczyzną?
- Nie powiedziała. Popatrzyli na siebie.
- Może jednak się napijesz? — zapytał James.

Klient zachował się niegrzecznie wobec Kate. Nie był pijany i nie był, jak zauważył Benjie, sadystą, był po prostu facetem, który miał cholernie ciężki dzień i szukał kogoś, na kim mógłby wyładować wściekłość. Kate wysłuchała go z twarzą bladą jak ściana, bez słowa zebrała nietknięte potrawy i wyniosła je do kuchni. Potem wraz z Benjiem słuchali, jak facet awanturuje się z Christine. Odmówił zapłacenia za to, co zamówił i wybiegł na ulicę, trzasnąwszy drzwiami.

Po chwili zeszła do piwnicy Christine,

- Coś ty mu powiedziała?
- Nic.
- Twierdzi, że byłaś niegrzeczna.
- W ogóle się nie odezwałam.
- Powiedział, że najpierw oskarżyłaś go o to, że kręci z zamówieniem, a potem przyniosłaś mu nie to, co trzeba.
- Nawet się nie odezwałam! — zawołała Kate. — Stałam i czekałam, kiedy skończy mnie wyzywać od niekompetentnych idiotek, które nie nadają się do tej roboty!

Christine nie potrafiła znieść myśli, że coś może zagrozić restauracji, która, jak często powtarzała, jest nie tylko źródłem utrzymania, ale również ośrodkiem jej życia.

- Może miał rację — powiedziała nieprzyjemnym tonem.
- Dziewczyny! — zawołał Benjie. — Co z wami? Dajcie spokój!
- Przyniosłam mu to, co zamówił! — krzyknęła Kate. — Możesz sprawdzić w bloczku!

Christine wzniosła oczy ku niebu.

- Proszę nie krzyczeć!
- Dajcie spokój — powtórzył Benjie. Rzucił okiem na Kate. — Zawsze znajdzie się jakiś namolny dupek, no nie? I tak dobrze, że trafiają się tak rzadko.

- Nie wtrącaj się — powiedziała Christine. Benjie mrugnął do Kate i wrócił do swoich pieców.

Christine odsunęła się o krok i wskazała schody.

- Zdaje się, że masz coś do zrobienia.
- Nie muszę pracować dla kogoś, kto nie ujmie się za mną, kiedy jestem niewinna — powiedziała Kate z gniewem.
- Masz całkowitą rację — odparła Christine. — Pośpiesz się.

Kate poszła na górę, gotując się z wściekłości. Marzyła o tym, by minąć zatłoczone stoliki, wyjść na ulicę i nigdy nie wracać. Ale mimo furii, która przyćmiewała jej wzrok, czuła cienką, chłodną niteczkę strachu. Miała rację w kłótni z Christine, oczywiście, ale ciągle jeszcze była taka słaba. Wzięła bloczek i podeszła do stolika przy oknie, gdzie usadowiła się para młodych ludzi. Torby i parasolki położyli sobie pod nogami, czego Christine nienawidziła najbardziej.

- Czy mogłabym przenieść rzeczy na wieszak? — zapytała Kate.

Młody człowiek podniósł wzrok znad karty. Miał jasne włosy i małe okrągłe okulary, i patrzył na nią, jakby nie była istotą ludzką, ale po prostu kelnerką.

- Proszę bardzo — powiedział i wzruszył ramionami.

Później Benjie zaproponował, że odprowadzi Kate do domu.

— Nie trzeba, dzięki. Nic mi nie jest.

— Mimo to pójdę z tobą — powiedział Benjie. Przystanął na chodniku, żeby zapalić papierosa. — Nie powinnaś się nią przejmować. Susie się nie przejmowała.

— Nie jestem taka twarda jak Susie. Benjie ujął ją pod ramię.

— Zawsze się wścieka, kiedy myśli, że straciła klienta. Jest przekonana, że wieść o tym, iż prowadzi parszywą restaurację, rozniesie się po Oksfordzie jak pożar. Nie powinnaś się tak przejmować, Katie. To tylko praca.

— Po odejściu Joss to trochę więcej niż praca.

— Uważaj! — powiedział Benjie. — Nie wolno ci tak myśleć. Jeżeli będziesz tak myślała, ludzie zdobędą nad tobą władzę. Ja pracuję, żeby mieć forszę na przyjemności. Nie ma pracy, nie ma zabawy. Proste jak drut.

— Ja też się dobrze bawiłam...

— Jasne, że tak!

— Przeprowadzam się do Marka.

— Nie!

— Ma ładne mieszkanie, dobrze nam razem... Benjie puścił jej ramię.

— Powinnaś być ostrożna, powinnaś się zastanowić.

— Co przez to rozumiesz?

— Mieszkałaś z Jamesem, no nie? Nie wyszło, chociaż znałaś Jamesa naprawdę dobrze, wiedziałaś, że porządny z niego gość. A tego facia znasz tylko parę miesięcy. Myślę — powiedział Benjie, tym razem biorąc ją za rękę.

— Myślę, że powinnaś pomieszkać trochę sama. Tak myślę.

Pokój na Swan Street zdawał się wiedzieć, że odchodzi, zamknął się przed nią, gotowy na przyjęcie pana Akwy. Zresztą był taki od chwili odejścia Joss, pełen raczej rozczarowań niż obietnic i optymizmu. Przez ostatnie dni, kiedy z nerwowym podnieceniem wyobrażała sobie życie z Markiem Hathawayem, czuła dziwną obojętność wobec Swan Street, niemal wrogość. Tego wieczora pokój wydawał się czymś nietrwałym, nie zapewniał żadnego bezpieczeństwa poza czysto fizycznym schronieniem, jakie daje pierwszy lepszy pokój hotelowy.

Kate usiadła i zdjęła buty. Po jakimś czasie wstała, zgasiła światło i siedziała w półmroku, tylko przy świetle padającym z ulicy. Benjie oczywiście miał rację. Musi spojrzeć na elementy swojego życia — na swoją pracę, związki z ludźmi, swój dom — trzeźwo, musi zobaczyć je takimi, jakie naprawdę są, a nie takimi, jakimi chciałaby, żeby były. Przyzwyczaiła się do Pasta Please, lubiła Benjiego, i do niedawna lubiła Christine, ale to wszystko. Kochała Swan Street i przestała ją kochać. A co do Marka — Kate zamknęła oczy. Czy próbowała zmienić Marka w kogoś, kim nie był? W Joss-Marka, a nawet w Jamesa--Marka? Gdyby miała być skrupulatnie, nieskazitelnie uczciwa, musiałaby przyznać, że zdecydowała się z nim zamieszkać, ponieważ ma absolutnie dosyć podejmowania decyzji.

Do tego sprowadza się wolność, prawda? Do podejmowania decyzji, dzień po dniu, wielkich decyzji, drobnych decyzji, co zjeść i w co się ubrać, kogo kochać, dokąd pójść i gdzie mieszkać, czy wyemigrować, czy zamiast czerwonych sznurowadeł kupić brązowe. A kiedy człowiek przestanie decydować, z tej prostej przyczyny, że jest zbyt zmęczony czy nieszczęśliwy, by to dalej robić, gdy znajdzie sobie innego człowieka i powie mu to, co ona powiedziała Markowi — OK, przejmuj ster, od tej chwili decy-

dujesz za mnie — wtedy rezygnuje z kontroli nad swoim życiem, z części (jak wielkiej?) swojej niezależności. To właśnie chcę zrobić, pomyślała Kate, dokładnie to chcę zrobić. Chcę się poddać, ponieważ straciłam Joss. Nie muszę tu mieszkać ani tam pracować, prawdę mówiąc nie wolno mi. Jeżeli poddam się teraz, będę się poddawała zawsze, uznam, że to kara za to, że zawiodłam Joss, wmówię sobie, że nie zasłużyłam na nią, że nie powinnam jej mieć, że powinnam być wdzięczna każdemu, kto zechce mieć mnie. Otworzyła oczy. Pokój zachybotał się lekko i wrócił do równowagi, fotel, stół, lampa, poduszki, plakat z krzesłem. Namacała nogą buty. Było po jedenastej, było późno, ale nie za późno.

— Co powiedziałaś?

Mark ogolił się tuż przed jej przyjściem, miał na sobie ciemnoniebieski bawełniany szlafrok przypominający kimono, i mokre włosy.

— Bardzo mi przykro, że zmieniłam zdanie i cię rozczarowałam, ale postanowiłam, że mimo wszystko nie zamieszkać z tobą.

— Dlaczego?

— Ponieważ to byłoby złe, zniszczyłoby nasz związek.

— Złe?

— Tak.

Podszedł do niej.

— W jakim sensie złe?

To wymagało więcej odwagi niż się spodziewała.

— Ponieważ nie chcę się wiązać w ten sposób. Nie jestem na to gotowa, nie wiem, czy kiedykolwiek będę. To, że się zgodziłam, było reakcją na utratę Joss. Musiałam ci powiedzieć prawdę. Żeby być w porządku.

— W porządku?

264

— Przestań!

— Przestać co?

— Zadawać te pytania. Jak w amerykańskim filmie policyjnym. Jest mi naprawdę przykro, Mark, ale już się zdecydowałam. Nie powinnam się zgodzić i...

— Zamknij się!

— Mark, próbuję ci wyjaśnić...

— Nie chcesz się wprowadzić, ponieważ mnie nie kochasz — powiedział i uderzył ją.

Poczuła, jak pięść miażdży jej policzek. Patrzyła na Marka osłupiała. Otworzyła oczy i usta, żeby zaprotestować, ale uderzył ją znowu, w drugi policzek, a potem chwycił ją za ramiona, cisnął o ścianę przy łóżku i zaczął walić jej głową rytmicznie w mur, buch, buch, buch. Oczy uciekły jej w tył głowy, oddech zmienił się w jęk, ale widziała jego twarz wyraźnie, tylko z bardzo daleka. Nagle oderwał ją od ściany i rzucił na łóżko, na którym kochali się tyle razy. Podeszedł wolno do przeciwległej ściany, oparł się o nią, zwrócony plecami do Kate, i po prostu czekał, żeby się pozbierała i wyszła.

Gdzie ona jest? — zapytała Helen. Stała w kuchni Mansfield House, ciągle z kluczykami od samochodu w ręku.

— W pokoju Pat. Innego miejsca nie było.

— Kiedy przyszła? — bardzo powoli Helen położyła torbę i kluczyki na stole, między zabawki i pudełka płatków kukurydzianych.

O północy, powiedziały kobiety, może ciut po. Obudziła Lindę i Ruth, usłyszały ją ze swojego pokoju nad frontowymi drzwiami. Myślały, że to chłopak Pat, który rozrabia od tygodnia. Ruth wyjrzała przez okno i zobaczyła kobietę, ale nie wiedziała kto to, bo jest w Mansfield House nowa, za to Linda poznała Kate od pierwszego rzutu oka. „To Kate! — powiedziała ze zdumieniem. — To Kate!” Zbiegła ze schodów, odryglowała drzwi i wpuściła Kate do środka. Zabrały ją do kuchni, zrobiły herbatę, a Ruth znalazła jodynę i opatrzyła jej twarz. Kate nie mówiła wiele, tylko się trzęsła. Z jej bełkotu udało im się zrozumieć, że boli ją głowa, więc kiedy zeszła Pat, żeby przygotować jedzenie dziecku, zapytały, czy mogą położyć Kate na wolnym materacu w jej pokoju. „Jasne — powiedziała Pat, ziewając.

Zerknęła na

Kate. — Nie trzeba nawet pytać, co jej się stało". Dały Kate aspirynę i butelkę z gorącą wodą na te drgawki, i zapakowały ją do łóżka na podłodze maleńkiego pokoiku Pat. Pat karmiła swoje dziecko i czytała foldery reklamowe biur podróży, co było jej pasją, potem usnęła, a Kate leżała słuchając jej oddechu i posapywania dziecka, i gapiła się w ciemność. Zapadła w końcu w nienaturalnie ciężki, urywany sen, pełen koszmarów. Płacz dziecka Pat, domagającego się pierwszego tego dnia posiłku, dochodził do niej oddalony i pełen bólu, jak krzyk torturowanego kota.

— Kto był u niej dzisiaj? — zapytała Helen ostro. Mówiła tak, jakby była zła, jakby chciała znaleźć winnego.

Pat sortowała pranie w ogromnym plastikowym koszu.

— Spała, kiedy wychodziłam — odpowiedziała, nie podnosząc oczu. — Zaprowadziłam Jasona do Lindy na cały ranek. Godzinę temu spała jak kamień.

— Pójdę na górę — powiedziała Helen. — Czy któraś z was mogłaby zrobić dla niej herbatę?

Kate leżała na mniej obolałym boku, oczy miała zamknięte. W głowie jej pulsowało i podzwaniało, a skóra na twarzy wydawała się o parę rozmiarów za mała.

— Kate? — Helen pochyliła się nad nią. Kate odwróciła się bardzo powoli, z jękiem.

— Och, Katie — Helen uklękła przy niej na podłodze. — Och, moje biedactwo. Moje kochane biedactwo. Co się stało?

Kate znowu zamknęła oczy.

— Mark — powiedziała.

— Przyniosłam ci herbatę. Chodź, pomogę ci usiąść. Masz pobitą tylko twarz?

— Tylko twarz!

Helen wsunęła jej ramię pod plecy.

— Pamiętasz Lindę? Złamany nadgarstek i dwa żebra, a do tego twarz jak befsztyk.

Kate było strasznie ciężko usiąść. Zamiast głowy miała wielki, rozdęty balon przymocowany luźno do reszty ciała.

— Czy to seks? Okazał się zboczeńcem?

— Nie. Nie chciałam się do niego sprowadzić, to wszystko.

— Sprowadzić się do niego!

— Odzyskałam Joss. Ale ona nie chciała zostać. Więc pomyślałam sobie, że zamieszkać z Markiem.

Helen jęknęła głośno. Usadowiła się obok Kate i podała jej kubek z herbatą. Kate zacisnęła na nim palce, żeby opanować drżenie rąk.

— Tylko mnie nie pouczaj — powiedziała. Próbowała spojrzeć na Helen, ale szyję miała sztywną jak kołek, a oko od strony Helen było tak zapuchnięte, że niewiele przez nie widziała. — Pamiętasz, mówiłaś mi często, jakie z nas szczęściary, że nigdy nie zostałyśmy pobite. Teraz tylko ty jesteś szczęściarą.

— Zawiozę cię do chirurga. John Pringle powinien cię obejrzyć.

— To tylko siniaki.

— Kate!

— To nie one bolą! — powiedziała Kate podniesionym głosem. — To znaczy bolą, ale nie tak, jak to, co się dzieje we mnie w środku!

— Zostaniesz tutaj oczywiście.

— Powinnam być w pracy...

— Nie możesz pracować w tym stanie.

— Pokłóciłam się z Christine — przypomniała sobie Kate nagle.

Helen podniosła się na klęczki.

— Zostaw Christine mnie. Chcesz, żebym wysłała kogoś po twoje rzeczy?

Linda pójdzie z przyjemnością.

— Nie wiem, nie wiem, czego chcę...

— Chciałabyś zamieszkać ze mną? Kate próbowała się uśmiechnąć.

— Nie, dzięki. Lepiej zostanę tu, razem z innymi.

Helen podniosła się ciężko. Nawet Kate, pochłonięta własnym cierpieniem, uświadomiła sobie, że Helen nie jest dziś władczą, kompetentną panią Ferguson.

— Sprowadzimy twoje rzeczy, Kate. A ja wstąpię do Jerycha i powiem Joss.

— Joss! — niemal krzyknęła Kate.

— Oczywiście. Musi wiedzieć.

Kate zmarszczyła twarz, jak dziecko gotujące się do płaczu.

— O mój Boże! — wyszlochała. — Co ja narobiłam, co ja znowu narobiłam!

Leonard zaciął się przy goleniu. Zdarzało mu się to coraz częściej. James zaproponował, że sam będzie go golił, czym doprowadził stryja do pasji.

Leonard się zgodził — klnąc co drugie słowo — żeby pielęgniarka z klubu zdrowia przychodziła dwa razy w tygodniu go wykapać, ale propozycję golenia uznał za śmiertelną obrazę. James szczerze żałował, że nie ugryzł się w język.

— Przepraszam, naprawdę cię przepraszam. Powinienem siedzieć cicho.

— A żebyś wiedział! Żebyś, cholera, wiedział! Może moje ręce nie są już takie sprawne jak dawniej, ale nie jestem jeszcze śliniącym się imbecylem!

Leonard przypominał sobie o nietakcie Jamesa codziennie rano przy goleniu, i jego drżące ręce z gniewu zaczynały drżeć jeszcze bardziej. Cienka, stara skóra cięła się jak papier i kiedy Leonard kończył golenie, umywalka w sypialni spryskana była krwią, a jego rozeźlona twarz upstrzona była bąblami waty.

— Nazywam się Helen Ferguson. Jestem znajomą Kate. Czy mogę wejść?
— Po co? — zapytał Leonard.
— Ponieważ mam coś do powiedzenia o Kate i wołałabym, żeby nie słyszała tego cała ulica.

Leonard musiał ją podziwiać wbrew własnej woli. Odsunął się, by ją przepuścić, i zauważył z zadowoleniem, że, pomijając strój, najwyraźniej nocną koszulę, jest dokładnie w jego guście. Zaprowadził ją do gabinetu Jamesa i laską wskazał fotel.

— Niech usiądzie.

Usiadła, w chmurze egzotycznej woni, której Leonard nie potrafił zidentyfikować, i spojrzała na niego, doskonale opanowana.

— Panie Mallow, prowadzę Mansfield House, schronisko, w którym pracowała kiedyś Kate, o ile pan pamięta.

— No i?

Pani Cheng posadziła Leonarda przy kuchennym stole. Był blady jak ściana i latał mu podbródek.

— Bił ją po twarzy — wybelkotał. — Tłukł nią o ścianę. Kate!

— Przyniosę koniaku — powiedziała pani Cheng. Podeszła do szafki z alkoholami. Sama nie czuła się najlepiej, a widok Leonarda mocno ją przestraszył. Postawiła butelkę na stole i chlusnęła koniaku do szklanki. Potem usiadła i spojrzała na Leonarda.

— Jakieś złamanie?

— Nie, ale co ona teraz czuje? Wyciągnął rękę i ujął dłoń pani Cheng.

— Muszę powiedzieć Jamesowi. I Joss. Joss!

— Panna Bachelor pomoże.

— Tak — powiedział. — Tak. — Łyknął koniaku

i otarł oczy wierzchem dłoni. — Świat jest podły — szepnął. — Naprawdę podły.

Pani Cheng nakryła jego dłoń drugą ręką i ścisnęła mocno. — Nie musi mi mówić.

Julia odczekała do dziewiątej i dopiero wtedy zadzwoniła do Willi Richmond. Liczyła na to, że Hugh będzie oglądał dziennik i telefon odbierze Joss. Joss powiedziała „halo” zamierającym głosem, co Julia uznała za obowiązującą nastolatków demonstrację znużenia życiem.

— Joss? Tu Julia. Tak się cieszę, że cię zastałam. Bliźniaki powiedziały mi, że spotkaliście się w Oksfordzie, i chciałam zapytać, jak się, twoim zdaniem, czują.

Zapadła chwila ciszy, potem Joss powiedziała: „Och, bardzo dobrze”, obojętnym, głuchym głosem.

— Naprawdę? Tak się cieszę, że to słyszę, bo Sandy powiedziała, że były strasznie zdenerwowane i płakały całą drogę do domu.

— Płakały?

— Tak. Twierdzi, że zaczęły już przy tobie, ale nie chciała powiedzieć, o czym rozmawiałyście, co mogło je tak zdenerwować. Pomyślałam sobie, że może od ciebie dowiem się czegoś więcej.

— Nie. Przepraszam — powiedziała Joss i wybuchnęła płaczem.

— Joss, co się stało? Co ja powiedziałam?

— Chodzi o mamę — wydukała Joss. — Została pobita. Przez Marka. Byłam u niej, wygląda strasznie, strasznie, i nie chce rozmawiać, a James wróci bardzo późno...

— Och, Joss — Julia była przerażona. — Och, biedna Joss. Biedna Kate. Jesteś sama? Gdzie ona jest?

— W Mansfield House — powiedziała Joss. — Mówi, że nic jej nie jest. Hugh tu jest. Wuj Leonard poszedł się położyć, musieliśmy wezwać lekarza...

18 —Nielatwe związki

273

— Zaraz przyjadę — powiedziała Julia. — Nie powinnaś być sama.

— Nie jestem sama, nic mi... — Głos jej się załamał. Wcale nie czuła się dobrze. Czuła się zrozpaczona, winna i wstrząśnięta, ponieważ nie chciała zostać z Kate, choć Helen jej to sugerowała. Chciała wrócić do domu, być z dala od tych dzieci i kobiet, od papierosowego dymu i od strasznej, zmasakrowanej twarzy Kate, od jej pustych oczu. — Zawołam Hugh'a — powiedziała gorączkowo. — On tu jest, zawołam go...

— Julia? — odezwał się Hugh, parę sekund później. Jego głos brzmiał zupełnie normalnie.

— Och, Hugh! — zawołała Julia. — Co się stało? Co się tam dzieje?

— Coś strasznego. Kate została pobita przez kochanka i wykopana z mieszkania, i jest w przytułku, w którym kiedyś pracowała. Joss zachowuje się jak oparzony kot, Leonarda trzeba było zapakować do łóżka, bo ciśnienie omal nie rozsadziło mu głowy. Pani Cheng odkurza jak wściekła, mówi, że musi, żeby nie myśleć, panna Bachelor poszła w końcu do domu, opróżniwszy trzy czwarte butelki sherry, i nikt nie wie, kiedy wróci James.

Julio — powiedział Hugh. — Nie to, żebym był nieczuły na cudze nieszczęście, ale wołałbym, żeby ten wieczór już się skończył.

— Aha — powiedziała Julia.

— Co to znaczy „aha”?

— Oczekujesz, że cały świat zajmie się twoimi problemami i jesteś kompletnie wytracony z równowagi, kiedy trzeba zająć się cudzymi.

— Julio!

— Chyba nie zaprzeczysz?

Nastąpiła chwila ciszy. Hugh stwierdził, że bardzo pragnie przeciągnąć tę rozmowę, nie wdając się jednocześnie w kłótnię. Oschła Julia na drugim końcu linii była zjawiskiem niepokojącym.

- Zastanawiałem się...
- Tak?
- Czy... czy nie mógłbym wpaść zobaczyć się z tobą i chłopcami. Może w sobotę?
- Niestety — powiedziała Julia. — Pracuję w sobotę.
- Więc w niedzielę?
- Niedziela mi odpowiada.
- Na lunch?
- Po lunchu. O trzeciej.
- A kto przychodzi na lunch?
- Nikt. Po prostu nie chce mi się gotować w niedzielę, po przepracowanej sobocie.

Hugh bardzo chciał wiedzieć, czy wypad na kolację się udał, a jeszcze bardziej, z kim tę kolację zjadła, ale powiedział tylko:

- Julio, dużo ostatnio myślałem...
- Nie teraz — odparła Julia ostro. — Teraz najważniejsza jest Kate. I Joss. Jak uważasz, czy powinnam przyjechać?

Hugh nie mógł znieść myśli, że przyjechałaby nie dla niego.

- Damy sobie radę — powiedział z pewnym trudem. — Dla Kate niewiele można zrobić, przynajmniej przez najbliższe dni, a Joss uspokoi się, kiedy wróci James.

- Zadzwoń do Jamesa rano. Mógłbyś mu to przekazać? A my zobaczymy się w niedzielę.

- Tak — powiedział Hugh.

Kiedy to powiedział, zobaczyła jego twarz tak wyraźnie, jakby miała ją przed oczami. Próbowwała nadać głosowi cieplejsze brzmienie.

- Więc dobranoc. I przekaz wszystkim pozdrowienia ode mnie. I wyrazy współczucia.

Odłożyła słuchawkę i usiadła przy kuchennym stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Próbowwała wyobrazić sobie Kate i scenę pobicia. Czula, że jest to

winna Kate, że powinna uczestniczyć całą sobą w tym, co się jej przydarzyło. Biedna Kate, biedna, bezbronna, zniszczona Kate, która tak ją kiedyś denerwowała swoim nieszablonowym stylem życia. Zmądrzałam, pomyślała Julia, nauczyłam się wiele, choć lekcja była paskudna. Powiedziała to Robowi Shinerowi przy kolacji, a on przytoczył cytaty z Williama Blake'a, coś o mądrości wystawionej na sprzedaż na odludnym bazarze, gdzie nikt nic nie kupował, i Julia pomyślała, że William Blake utrafił w sedno.

Kolacja z Robem Shinerem była miła i nic poza tym. Wyrwany z kontekstu zawodowego wydawał się bardziej pospolity i nudny, jakby adrenalina napędzała go tylko w pracy. Zabrał Julię do ekskluzywnej restauracji, zamówił wyśmienite potrawy i napoje, był miły, uważający, schlebający, i w rezultacie nudny. Ani razu w ciągu całego wieczora nie miała ochoty się roześmiać, a kiedy próbował ją pocałować na dobranoc, stwierdziła, że bardziej niż na śmiech, zbiera jej się na wycie. Poszła do łóżka objedzona, opita i ponura, i leżała długo w noc, rozmyślając o Williamie Blake'u i o tym, że niewiele jest rzeczy, które mogą człowieka przygnębić bardziej niż stare, pocziwe rozczarowanie. Nikt, pomyślała, ugniatając poduszkę w nadziei, że przybierze jakiś nasenny kształt, nikt nie docenia roli rozczarowania w życiu. A jest to główna siła napędzająca nasze zachowania, zwłaszcza te nieobliczalne. To jest właśnie to, co w mniejszym lub większym stopniu dolega nam wszystkim, w tej chwili najbardziej Kate.

Julia podniosła głowę i spojrzała na przeciwległą ścianę kuchni, gdzie na korkowej tablicy wisiały ostatnie rysunki bliźniaków z zerówki, same statki, samoloty i ciężarówki.

— Nie chcą malować ludzi — powiedziała Frederica, unosząc znacząco brwi.

— Rozumiesz, prawda? A ja na razie nie naciskam. Rozumiesz?

Rozumiem więcej niż kiedykolwiek, pomyślała Julia, zaczynam podejrzewać, że o wiele więcej niż ludzie w rodzaju Frederiki. Namówię bliźniaki, żeby namalowały coś dla Hugh'a, na niedzielę. Niech namalują mnie.

Wstała, podeszła do telefonu i wykreciła numer. Telefon dzwonił, dzwonił i dzwonił, zanim w końcu ktoś go odebrał.

— Mansfield House — odezwał się znużony głos.

— Czy to Linda?

— Nie — powiedział głos, z jeszcze większym znużeniem. — Janice.

— Moje nazwisko Julia Hunter. Chciałabym się dowiedzieć czegoś o Kate Bain.

Janice westchnęła.

— Proszę poczekać. Zobaczą, czy uda mi się ją znaleźć.

— Nie — powiedziała Julia. — Proszę tego nie robić. Proszę tylko powiedzieć, że dzwoniła Julia. Że Julia przesyła pozdrowienia.

James powiedział, że posiedzi przy Joss, dopóki ta nie zaśnie. W pokoju oprócz łóżka i komódki nie było praktycznie żadnych mebli, zgodnie z życzeniem Joss, więc James próbował usadowić się na plecaku. Nie było to łatwe. Zawartość plecaka wydała mu się zarazem niesprecyzowana i zmienna, raz twardniała na kamienne grudy, raz rozpływała się pod nim, tak że lądował na gołej podłodze. Męki cielesne, jakie w związku z tym przeżywał, uznał za najtrafniejszą metaforę swoich cierpień duchowych. Wiem przynajmniej, pomyślał, patrząc na nieruchomą, czujną postać Joss na łóżku, wiem, co czuję do ciebie.

Wszystko inne, nawet to, co dotąd było jasne i proste, teraz wydało mu się złożone i niezwykle kruche. Spędził miły dzień — no, powiedzmy, miły

w dziewięciu dziesiątych — zwiedzając Tate Gallery z Bluey Acheson, która naprawdę lubiła malarstwo współczesne i potrafiła powiedzieć dlaczego. Potem zjedli lunch w restauracji, o której ona czytała, i poszli do Muzeum Sir Johan Soane'a. Wszystko to było łatwe, pogodne, przyjacielskie i miłe, z leciutką domieszką flirtu, dzięki której wyprawa różniła się od wycieczki z ciotką, ojcem chrzestnym czy kimkolwiek, kogo nie można posądzić o chęć przeżycia romantycznej przygody. Dopiero w pociągu do Oksfordu, kiedy James podniósł wzrok znad wieczornej gazety, ujrzał na twarzy Bluey nieme wyznanie i prośbę, by oszczędził jej fatygi wypowiedzenia go na głos. Ponieważ pociąg był pełen ludzi, James uśmiechnął się tylko i wrócił do swojej gazety z mieszanymi uczuciami radości i rozpacz. Wiwat i niech to diabli! Bluey patrzyła na niego i myślała: „Wszyscy wokół mnie żyją własnym życiem, więc dlaczego ja nie mogę przeżyć swojego tak, jak mi to przeznaczone, w miłości?”

Na stacji ujęła Jamesa pod ramię. Powiedział, że wezmą taksówkę. Nie chciała, by ten dzień się skończył. Czy nie mogliby pójść pieszo? Nie, powiedział, nie mogliby. W taksówce atmosfera była napięta, a na Observatory Street Bluey powiedziała smutnym głosem, że zapewne nie zechce zostać na kolacji. Uśmiechnął się do niej. Pocałował ją w policzek na oczach całej Observatory Street i powiedział, że dzisiaj nie, ale to nie znaczy, że nie przyjmie zaproszenia innym razem. Przyjmie z przyjemnością. Ty tchórze, powiedział sobie.

— To był bardzo miły dzień — powiedział do Bluey. — Najmilszy dzień, jaki przeżyłem od bardzo, bardzo dawna.

Bluey uśmiechnęła się pięknie i weszła do domu, a James ruszył w stronę Willi Richmond. Nie uszedł nawet stu kroków, kiedy dopadł go Garth.

— Proszę pana, proszę pana, czy mogę z panem zamienić parę słów? — wydyszał.

Oczywiście, powiedział James, ale Gartha jakby zamurowało, i James, widząc jego kłopoty, zagadnął go o osiągnięcia naukowe ojca, a potem zaprosił do chińskiej restauracji na potrawkę z jagnięcia i dyskusję o przyszłości Europy, świata i Gartha Achesona.

Wrócił do domu po dziesiątej. Pół godziny później wyszedł znowu i pojechał do Mansfield House. Wątpił, czy coś w życiu wstrząsnęło nim bardziej, fizycznie i psychicznie, niż wygląd Kate, a raczej świadomość jak doszło do tego, że Kate tak wygląda. Siedział tam zaledwie dziesięć minut, w kuchni nad kubkiem z kawą. Naprzeciwko niego siedziała Kate. Powiedziała, że jest bardzo zmęczona i obolała, i dlatego lekarz dał jej środki nasenne na następne trzy noce. Nic, nic nie zostało złamane, ma tylko siniaki.

Spróbowała się uśmiechnąć.

James był bliski łez. Wypełniała go wściekłość, prawdziwa ślepa furia na Marka Hathaway a. Jednocześnie pragnął pomóc Kate i czuł własną bezsilność.

— Wrócisz do Willi Richmond? — zapytał łamiącym się głosem. — Żebyśmy mogli się tobą opiekować? Żeby uspokoić Joss?

Kate potrząsnęła głową i jęknęła.

— Dziękuję ci. Dziękuję ci, James, ale nie mogę tego zrobić. Zostanę tutaj. Tutaj mi dobrze.

— Proszę — powiedział.

— Nie. Naprawdę, tu jest mi najlepiej. Tutaj wiedzą, co robić z ludźmi takimi jak ja. Znają mnie.

Zgięty we dwoje na plecaku Joss, James znów poczuł tamto gwałtowne pragnienie ściągnięcia Kate do Willi Richmond. Musi tu wrócić! Gdyby on, James, nie pozwolił jej odejść, gdyby nie pobłazał jej w chwili słabości, nie padłaby ofiarą tak bezdusznego okrucieństwa. Musi jej to wynagrodzić, oczywiście, że tak. Czy naprawdę? Dlaczego czuje się winny?

Czy jest winny? Czy patrzył na nią ponad kuchennym stołem w Mansfield House i po prostu nie był w stanie znieść widoku jej cierpienia? Czy czuł miłość, czy litość? Co sprawiło, że wołałby, aby w gościnnej sypialni, naprzeciwko pokoju biednego Leonarda trzęsącego się w swojej flanelowej piżamie, leżała teraz Kate, a nie Hugh? Czy naprawdę, prawdziwie kochał Kate, czy nękało go poczucie winy i litość? Och, litość, pomyślał James, straszna, uwłaczająca litość. Nie mogę obrazić Kate litością.

Nasłuchiwał. Cichy, płytki oddech Joss zmienił się w spokojne posapywanie. Z pewnym trudem James podniósł się na czworaki, a potem wstał. Patrzył przez chwilę na Joss, na jej potargane, grzebieniaste włosy, na biedne zakolczykowane ucho, na dziecinną jeszcze rękę, zaciśniętą na kołdrze. Wiem przynajmniej, co czuję do ciebie, pomyślał. To samo, co do Leonarda, tylko o wiele silniej. Czuję ogromną miłość, kochana Joss, i często równie silną irytację.

O piątej rano Kot skorzystał z otwartego okna panny Bachelor i przyniósł jej mysz. Mysz żyła jeszcze, więc pobawił się nią trochę na użytek panny Bachelor na dywanie przed łóżkiem.

Beatrice zapaliła światło i spojrzała.

— Niemożliwy Kot!

Kot sprawiał wrażenie urażonego. Mysz, która skoła ze strachu, albo też udawała, że nie żyje, leżała na boku z zamkniętymi oczami. Beatrice wstała i zeszła na dół po szczotkę i szufelkę. Kiedy wróciła, Kot zniknął, pozostawiając łup na dywanie. Beatrice wyrzuciła mysz za okno, na chodnik przed domem. Przy odrobinie szczęścia Grace zauważy ją dopiero wtedy, gdy na nią nadeptnie.

Beatrice miała ból głowy. Doskonale wiedziała, dlaczego go ma, i skłaniała się ku pogładowi, że

zasługuje na każde tępe łupnięcie. Odniosła szczotkę i szufelkę na dół do szafki, w której Grace przechowywała odkurzacz i deskę do prasowania, po czym wstąpiła do kuchni, by przygotować sobie dzbanek herbaty. Niebo jaśniało już na wschodzie, piątkowe niebo. Jedyłą miłą rzeczą, jaka zdarzała się w piątek, było nadejście „Literackiego Dodatku” „Timesa”.

W pokoju czekał Kot. Gdzie, zapytał oskarżyciel-skim tonem, jest moja mysz?

— Nie mam cierpliwości do twoich gier — powiedziała Beatrice, odstawiając tacę z herbatą i wchodząc do łóżka. — Mylisz okrucieństwo z wyrafinowaniem, a to źle świadczy o kimś z twoją inteligencją.

Kot wskoczył do łóżka i rozpoczął spacer po jej nogach.

— Przestań — powiedziała. — Połóż się. Wsunął się między kołdrę a narzutę i zwinął przy

nogach Beatrice, mrużąc sennie, z zadowoleniem.

— Jesteś dobrym towarzyszem — powiedziała Beatrice, nalewając sobie herbaty. — Trzeba ci to oddać. Jesteś niezależny, masz charakter i poczucie humoru. Najwyższy czas, Kocie, bym sobie przypomniała, że swego czasu szczyliłam się posiadaniem wszystkich tych cech.

Przez ostatnie pół roku Beatrice żyła intensywniej niż przez ostatnie ćwierć wieku. Zaczęło się od zainteresowania, a skończyło na oczarowaniu: domem, stylem życia, grupą ludzi, mężczyzną. Nabrała luksusowego zwyczaju szukania rozrywki, podniecenia i pożywki dla swojego zadurzenia — tak, zadurzenia, trzeba nazwać rzecz po imieniu — w Willi Richmond. Chodziła tam regularnie przez ostatnich parę miesięcy, jak listonosz albo mleczarz, wmawiając sobie, że jest potrzebna, wręcz niezbędna. Cóż, ostatni wieczór wszystko zmienił. Ostatni wieczór — to, co usłyszała o biednej panie Bain — był jak policzek,

który wymierzano jej w dzieciństwie, kiedy dostawała ataku chichotek. Była jakaś nieuchronność w ostatnich sześciu miesiącach, w nieubłaganej serii wydarzeń. Jedno pociągało za sobą drugie jak upadające kostki domina. Seria rozpoczęła się tamtego deszczowego wieczora w styczniu, kiedy James zrzucił ją z roweru. Cóż, pomyślała Beatrice, popijając herbatę. Spojrzała na pocztówkę przyczepioną nad łóżkiem. Przedstawiała Dantego z otwartym tomem „Boskiej Komedii” w ręku. Cóż, Beatrice, musisz wsiąść na swój rower i znów zacząć pedałować.

Trzeciego dnia Kate przeprowadziła się na pierwsze piętro Mansfield House do pokoju Soni i jej dzieci. Sonia była ciemnoskóra i spokojna, podobnie jak jej dwie córeczki, które prawie się nie odzywały. Kate czuła, że im przeszkadza.

— Wchodź — powiedziała Sonia rozwlekle. Wskazała Kate łóżko przy oknie.

— Może być tamto? Pobyt tu to najlepszy okres w moim życiu. Uczę się żyć z innymi kobietami.

Sonia zabiła swojego męża. Powiedziała o tym Kate po godzinie znajomości.

— Powiem ci to od razu, żebyśmy nie musiały do tego wracać. Zabiłam go podczas awantury, ale powinnam była opuścić go o wiele wcześniej, nie czekając aż do tego dojdzie. — Spojrzała na swoje córki. Trudno było powiedzieć, co kryje się za ich wielkimi, szklistymi oczami. — Wszystko, czego chcę, to dać im siłę, żeby potrafiły się bronić przed ludźmi, żeby się nie pozwoliły zniszczyć. — Zerknęła na Kate. — Dobrze, że on nie żyje, bo nie muszę ze sobą walczyć, żeby do niego nie wrócić.

— Ale...

— To straszne, kochać kogoś — powiedziała So-

nia. Mówiła zbyt spokojnie, jak w transie. — Nigdy już nikogo nie pokocham. Już nigdy.

Kate pościeliła sobie łóżko przy oknie. Córki Soni obserwowały ją w milczeniu.

— Rano sprzątam — powiedziała Sonia. — W szkole dla dziewcząt. Wtedy masz cały pokój dla siebie.

— Dziękuję.

— Kiedy tutaj przychodziłaś, byłam nowa, nie znałam cię dobrze, ale myślałam sobie, że chciałabym być taka jak ty. Miły dom, miły mężczyzna. Już tak nie myślę. Jedyny sposób na miłe życie to pozostać wolną. Jedyny sposób, by ocalić godność.

Było w Soni coś bardzo przygnębiającego. Mówiła monotonnym, cichym głosem, który zdawał się nigdy nie milknąć. Jej córki, jeżeli już się odzywały, to szeptem.

— Powiem ci to od razu — powtarzała Sonia w kółko — żebyśmy nie musiały już do tego wracać. Kiedy człowiek stracił poczucie własnej godności, niczym już nie potrafi się cieszyć, ani sobą, ani dziećmi, niczym. A czy można mieć poczucie godności przy mężczyźnie, który tak traktuje kobietę? Czy można odejść od mężczyzny, skoro się go kocha? Miłość to straszna rzecz. To narkotyk. Każe ci zadowalać mężczyznę. A czy można zadowolić samą siebie, skoro zawsze starasz się zadowolić mężczyznę? Człowieka poznaje się dopiero, gdy mu się powie, że się kocha. Już tego nie zrobię. Nigdy nie powiem mężczyźnie, że go kocham. Kiedy kogoś kochasz, wydaje ci się, że możesz mu pomóc, zmienić go. Błąd. Twoja miłość nie ma żadnego znaczenia. Już nigdy nie dam się na to nabrać.

Linda i Ruth poszły na Swan Street i spakowały rzeczy Kate. Spotkały tam pana Akwę, który wyraził nadzieję, że nie przyspieszył wyprowadzki Kate. Linda odparła, że jest prawdopodobnie jedynym mężczyzną, który się do tego nie przyczynił. Pan Akwa skłonił się z głupią miną. Parę dni później

Kate otrzymała kartkę z przyklejoną do niej dziesięciopensówką, którą pan Akwa znalazł pod fotelem.

Jej rzeczy nie chciały pomieścić się w pokoju razem z rzeczami Soni, więc Linda i Ruth spakowały je w plastikowe torby i wyniosły do piwnicy. Żadna z nich nie powiedziała „chwilowo” albo „na jakiś czas” i Kate była im za to wdzięczna. Dla niej przyszłość ograniczała się do paru godzin, najdalej do wieczora, a wtedy głos Soni rozbrzmiewał cicho i nieubłaganie pośród ciemności. „Powie ci to od razu, żebyśmy nie musiały do tego wracać”. Kate poszła do Pasta Please. Christine omijała ją wzrokiem, mimo że twarz Kate przestała już przypominać surowy befszytk. Benjie dał jej butelkę wódki.

— Wlej to w siebie — powiedział — a potem przemyśl parę spraw.

Christine obiecała, że zatrzyma miejsce Kate na trzy tygodnie. Susie, oczekująca dziecka — i decyzji sprzedawcy oprogramowania, który nie wiedział, czy chce opuścić żonę — miała ją zastępować.

— Jeżeli po tych trzech tygodniach postanowisz, że nie wracasz, Susie zostanie aż znajdę kogoś nowego — powiedziała Christine. Była miła dla Kate, ale w lekko protekcyjny sposób, jakby przez cały czas wiedziała, że coś takiego się zdarzy. — Mam nadzieję, że zerwałaś z Markiem.

— Tak.

Mark przysłał kwiaty do Willi Richmond. Joss wsadziła je do kubła na śmieci.

— Razem z listem — powiedziała. — Nawet **go** nie otworzyłam.

— Nie był do ciebie, żebyś miała prawo **go** wyrzucić — powiedziała Kate. Joss popatrzyła na nią spode łba.

— To niemożliwe, żebyś chciała mieć z nim coś do czynienia!

— Nie chcę. Ale chcę zakończenia, wyjaśnień. W tym liście mogło coś być. Joss przyniosła go Kate następnego dnia, zmięty i poplamiony.

„Proszę tylko o jedno — napisał Mark. — Żebyś pamiętała, że cię kochałem i nadal kocham. Ale wiem, że nie ma dla nas przyszłości”.

Kate zmięła list w kulkę.

— Miałaś rację — powiedziała do Joss. — Śmietnik to dla niego odpowiednie miejsce.

Joss rozejrzała się po pokoju. Ubrania Soni i jej dzieci wisały na ścianach, ponieważ Sonia odstąpiła Kate jedyną szafę. Kate prosiła Sonię, by tego nie robiła.

— Ale ja chcę — powiedziała Sonia. — Mówiłam ci, uczę się żyć z kobietami.

— Nie możesz tu zostać — powiedziała Joss.

— Helen zaprosiła mnie do siebie.

— Helen! Nie możesz mieszkać z Helen!

— Wiem.

Joss przyjrzała się matce. Wyglądała lepiej, o wiele lepiej, siniaki bladły.

— Kłopot w tym — odezwała się Kate — że Helen wzięła to sobie bardzo do serca. Nie chcę, by inni myśleli, że jestem czymś w rodzaju jej pupilki, ale ona przychodzi tu i patrzy na mnie tak, jakby sama o włos uniknęła nieszczęścia. Nie wyolbrzymiaj tego incydentu, Joss. Nic wielkiego się nie stało, a poza tym, jeżeli mam być szczerą, sama się o to prosiłam.

Ale Joss nie chciała słuchać. Zostawiła cukierki dla dzieci Soni, ucałowała pospiesznie Kate i wróciła do używanego roweru, który przymocowała starannie łańcuchem do latarni. James kupił jej rower z ogłoszenia w „Oxford Mail”.

Na widok Hugh'a bliźniaki zaniemówiły. Rzuciły się na ojca i uczepliły każde jednej nogi. Buzie miały czerwone z emocji i otwarte usta, ale nie mogły wykrztusić słowa. Hugh zresztą też nie. Zachwiał się podcięty przez dwa pulchne ciała, przewrócił wraz z synami na trawę i zaczął łaskotać chłopców, próbując oswobodzić nogi.

— Byłeś w domu Joss! — krzyknął George oskarżycielskim tonem.

— Byłem — przyznał Hugh.

Pochwycił na ręce George'a, potem Edwarda i przytulił ich do siebie mocno.

Edward szeptał żarliwie:

— Tatuś, tatuś, tatuś, tatuś.

— Nie płacz — rozkazał George.

— Nie płaczę.

— Właśnie że tak! Edward przyjrzał się ojcu.

— Płaczesz!

— Tak się cieszę, że was widzę.

— Jak się cieszy, to się nie płacz — powiedział Edward karcąco.

— Czasami płaczę się z wielkiego szczęścia.

— Płakaliśmy przy Joss — powiedział George. — Chcieliśmy pójść do jej domu.

— Lubicie Jóss?

Pokiwali twierdząco główkami, nagle zawstydzeni.

— Ja też — powiedział Hugh, z pewną irytacją. — Nie czas, żebym dostał buziaka?

Twarzyczki mieli gorące, miękkie i wilgotne. Przyłgnęli mu do szyi jak pijawki i Hugh pomyślał, że w niczym nie przypomina powściągliwego angielskiego ojca, który boi się pieścić i całować synów.

Julia wyszła z domu, niosąc tacę z zastawą do herbaty. Bliźniaki uczepliły się Hugh'a i patrzyły na matkę.

— Idźcie pomóc mamusi — powiedział Hugh.

— Pomóc? — zapytał Edward swoim nowym, wyzywającym tonem.

- Trzeba rozstawić filiżanki na stole i przynieść poduszkę na jej krzeselko.
- Nie robimy tego...
- Nie chcemy... Spojrzeli na niego czujnie.
- Ostatnio nie są grzeczni — powiedziała Julia.
- Jeżeli nie pomożecie mamusi, zaniosę was na górę, jak małe dzieci, i położę do łóżek.

Odsunęli się nadąsani i ruszyli, ociągając się, ku Julii. Stanęli każdy na jednej nodze i zaczęli podzwan-iać kubkami. George upuścił talerz z herbatnikami.

- Zbierz ciastka.

George przeszedł po nich powolutku.

- W porządku — powiedział Hugh. Podszedł do George'a i wziął go pod pachę. — Do łóżka. Łóżko jest najlepszym miejscem dla niegrzecznych dzieci.

George zaczął wrzeszczeć. Edward mu zawtórował.

- Może niech zostaną, żeby mogli cię widzieć — powiedziała Julia nerwowo.

- Będą mnie widzieć z okna swojej sypialni. Przymaszerował przez trawnik, niosąc George'a

i ciągnąc za sobą Edwarda. Ledwo stracili z oczu Julię, bliźniaki przestały wrzeszczeć i zaczęły pochlipywać. Hugh zaprowadził je na górę i posadził na łóżku.

- Co za wstyd — powiedział poważnie. — Jakie to smutne.

Odwrócili wzrok.

- Zostawię was tutaj, a kiedy będziecie już grzeczni, powiedzmy za dziesięć minut, pomacham do was z dołu, żebyście mogli zejść i przeprosić mamę.

George wsadził kciuk do buzi. Edward kręcił na palcu kosmyk włosów.

- Dziesięć minut — powiedział Hugh i wrócił do ogrodu. — Powiedziałem im, że dam znak, kiedy będą mogli nas przeprosić. To daje mi szansę przeproszenia ciebie.

— Nie przepraszaj — powiedziała Julia. Miała na sobie džinsy i miękką różową koszulę, jeszcze z panińskich czasów, a na nosie okulary.

— Rozpaczliwie pragnę wrócić — powiedział. Spojrzała na niego znad okularów.

— Naprawdę?

— Pasujemy do siebie — powiedział Hugh. — Chcę wrócić i to nie z powodu bliźniaków, ale dlatego, że jest nam ze sobą tak dobrze.

Usiadła na ogrodowym krześle, z dala od niego, uniosła obie dłonie do włosów i odrzuciła je starannie na plecy.

— Strasznie mi wstyd — ciągnął Hugh. — Muszę wyznać, że odchodząc naprawdę czułem to, co czułem, ale to już przeszłość. Minęło bez śladu. Nie miałem prawa wyzywać się na tobie.

— Twój list...

— Mam nadzieję, że go spaliłaś.

— Praktycznie tak. Dlaczego go napisałeś, skoro wcale tak nie czułeś?

— Zdaje się, że wpadłem w nałóg myślenia. Wyleczyłem się z niego całkowicie. Julio, kocham cię. Naprawdę cię kocham. Nie chcesz, żebym wrócił?

Zapadła długa cisza, potem ona powiedziała:

— Oczywiście, że chcę. Hugh wstrzymał oddech.

— Byłam na ciebie wściekła — powiedziała Julia. — Byłam wściekła i miałam cię powyżej uszu. Nie pozwolę, by karano mnie za to, że zachowuję się bez zarzutu. Rozumiesz?

Spuścił wzrok na trawę.

— Tak.

— Poszłam na kolację z Robem Shinerem. To było takie nudne. I zrozumiałam, że nie mam ochoty na przygodę, ale — rzuciła mu ostre spojrzenie — nie chcę ponosić kary za to, że jestem wierna, że jestem głównym żywicielem rodziny. Podkreślam

19 —Niełatwe związki

289

to, ponieważ to ważne. Kocham cię i chcę być twoją żoną, ale nie pozwolę, słyszysz, nie pozwolę, byś kiedykolwiek ukarał mnie za to, że jestem dobrą, kochającą żoną. Zrozumiano? Hugh był purpurowy

— Tak — szepnął tak cicho, że ledwie go słyszała.

— Możemy już wyjść? — krzyknęły bliźniaki zza okratowanego okna swojej sypialni.

— Mogą?

— Kocham cię — powiedział Hugh żarliwie. — Czy ty to rozumiesz? Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię kocham?

— Prosimy! — krzyknęły bliźniaki. — Prosimy, prosimy, prosimy, jesteśmy już grzeczni, grzecznie grzeczni, prosimy...

— Tak — powiedziała Julia. Hugh odwrócił się w stronę domu.

— Możecie wyjść!

— Dzwoniła Vivienne Penniman. I ci ludzie z Rapswell. Urządzają kowbojską wieczornicę...

— E! — Hugh machnął niedbale ręką.

— Znajomy Roba chce z tobą przedyskutować pomysł serialu o zakazach społecznych...

Bliźniaki wpadły do ogrodu kwicząc jak prosięta.

— Pierwszą rzeczą, jaką zrobimy, teraz, kiedy nie muszę już tyle pracować, to pozbędziemy się tej Sandy. — Śmiał się, biegnąc przez trawnik ku synom. — Precz z grubą grubasińską!

Kate leżała na łóżku w pokoju Soni. Sonia poszła na basen, wraz z całą gromadą innych matek i dzieci z Mansfield House. Powietrze pełne było bzykania i buczenia i tak nieruchome, że cieniutkie niebieskie zasłonki w oknach nawet nie drgnęły.

Kate wzięła się do porządkowania zaniedbanego ogrodu, ale upał i ból głowy zapędziły ją z po-

wrotem do domu. Wypiła dwie szklanki wody i wróciła do pokoju Soni — nic nie mogło sprawić, żeby stał się czymś więcej niż „pokojem Soni” — położyła się na łóżku i zamknęła oczy.

Wczoraj odwiedziła ją Julia. Trudno im było rozmawiać, bo gdziekolwiek przysiadły, zjawiały się raczkujące dzieci, uruchamiały się wirówki albo wszczynano dyskusję, czy wezwać policję, by zajęła się chłopakiem Pat, czy jeszcze poczekać. Julia wyglądała na zmęczoną, ale szczęśliwą. Hugh wrócił do domu.

— Powiedziałaś, że wróci, jeżeli poczekam — Julia trzymała Kate za rękę. — Miałaś rację. Ale najpierw musiałam się na niego porządnie wściec.

Jest urocza, pomyślała Kate, subtelna i urocza. Julia zapytała, jak pytali wszyscy, co Kate ma zamiar dalej robić.

— Bardzo chciałabym wiedzieć, ale nie wiem. Widzisz, ty masz karierę, ja tylko posadę. Nie skarzę się, ale nie jestem tak głupia, by nie widzieć różnicy. Julia zaproponowała, że poszuka jej pracy w studio. Kate zawahała się.

— Nie mogę wyjechać z Oksfordu. Joss...

— Och, Kate...

— Dziwne, prawda? Wszyscy oni zdają się grawitować ku Jamesowi; Joss, panna Bachelor, Hugh, ta Amerykanka.

— Nie znam dobrze Jamesa.

— A ja Hugh'a. Julia roześmiała się.

— Nie jest specjalnie skomplikowany.

— Dlaczego opuściłam ten zaklęty kraj, Julio? Co ja zrobiłam?

— Posłuchałaś głosu instynktu — powiedziała Julia. — Wszyscy to robimy.

To jedna z rzeczy, jakich się ostatnio nauczyłam. Kiedyś myślałam, że w życiu wystarczy podejmować decyzje i dostosowywać do

nich swoje zachowanie. Ale to jest o wiele trudniejsze, prawda?

— Tak, o wiele trudniejsze — zgodziła się Kate. Wychodząc Julia powiedziała:

— Nie zapomnij o pracy. Przemyśl to.

Kłopot w tym, powiedziała sobie Kate, kryjąc się za zamkniętymi powiekami, że nie wiem nawet, od czego zacząć to myślenie. Wszystko wydaje się uspione, nawet instynkt. Wiem jedno, że nie wytrzymam z Sonią ani chwili dłużej, zacznę nawet odczuwać współczucie dla jej zamordowanego męża. To chyba początek, pierwsza oznaka, że żyję.

— Panna Bain?

Kate otworzyła oczy. W drzwiach pokoju Soni stała starsza kobieta w okularach w drucianej oprawce, ubrana w brązową suknię. Przez ramię przewieszony miała smutny brązowy prochowiec i była lekko zadyszana.

— Panna Bachelor! — zawołała Kate, wyskakując z łóżka.

— Nie chciałabym pani przeszkadzać. Proszę nie wstawać. Chciałam się tylko dowiedzieć o pani zdrowie. — Przewiesiła prochowiec przez drugie ramię i wyciągnęła rękę. — Nie miałyśmy okazji się poznać.

Kate rozejrzała się po pokoju.

— Na czym ja panią posadzę!

— Nie mogłabym usiąść na łóżku?

— Nie ma pani nic przeciwko temu?

— Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko siadaniu na łóżku?

Kate uniosła dłonie do twarzy.

— Ja... nie wiem, co z panią zrobić, byłam taka... Beatrice usiadła na łóżku Soni.

— Powinnyśmy się spotkać dawno temu. Naprawdę wolałabym, żeby się pani położyła. Jestem pewna, że boli panią głowa.

— Rzeczywiście...

— Proszę — powiedziała Beatrice. — Musimy co prędzej przebrnąć przez etap poznawania się, żebyśmy mogły się zwyczajnie znać.

Kate usiadła na swoim łóżku i przesunęła się aż pod ścianę. Beatrice usiadła naprzeciw niej, wyprostowana jak struna.

— Panno Bain...

— Kate.

— Dziękuję. Kate, moje sumienie nie jest czyste. Czuję, że w pewien sposób — i jest to jeden z powodów, dla których tu przyszedłam — przyczyniłam się do tego, że opuściłaś Willę Richmond, i pragnęłabym bardzo, żeby moja tam obecność nie wstrzymywała cię przed powrotem. Nie będę już odwiedzała tego domu.

Kate nie odrywała od niej wzroku.

— Czy mam rację?

— Tak. — Nagle zapragnęła zrzucić swój ciężar, odpowiedzieć szczerością na szczerość. — Byłam zazdrosna. Jesteś taka mądra i niezwykła. Zafascynowałaś Jamesa. Ale chodziło o coś więcej.

Twarz Beatrice nie zdradzała żadnych emocji.

— Oczywiście. Czulaś, że tracisz kontrolę.

— Skąd wiesz? To prawda, ale skąd możesz to wiedzieć?

— Też jestem istotą ludzką — powiedziała Beatrice ze słabym uśmiechem — nawet jeżeli na to nie wyglądam. Znam uczucie przerażenia, jakim napawa człowieka myśl, że traci możliwość wyboru. Tak rzadko kierujemy się w życiu wolną wolą, choć wmawiamy sobie, że jest inaczej. W rzeczywistości jesteśmy ofiarami naszych genów. Stąd walka, nie kończąca się walka.

Kate pochyliła się na łóżku.

— Jaka byłam głupia, że nie chciałam cię poznać...

— To prawda, często podejmujemy decyzje na podstawie błędnych przesłanek, w dodatku większość z nas ma spóźniony refleks.

— Nie możesz przestać odwiedzać Willi Rich-

mond — powiedziała Kate nagle. — Oni cię kochają, jesteś im potrzebna. Joss cię kocha, mimo że nazywasz ją Józefiną.

— Joś przynosi ci chlubę. Jesteś wspaniałą matką. Kate pochyliła głowę.

— Nie chcę, żeby to, co się ze mną stało, wywołało u niej uraz.

— Powinno wywołać uraz. Niech zrozumie, że nadal istnieją mężczyźni, którzy nie potrafią zaakceptować faktu, iż społeczeństwo zmieniło pogląd na rolę kobiety. Ale na twoim miejscu nie bałabym się, że ten incydent wyrządzi Józefinie trwałą szkodę. Ma ogromną zdolność regeneracji. I jest do ciebie bardzo przywiązana. Spróbowałabym nie przykładać nadmiernej wagi do faktu, że wybrała Willę Richmond jako miejsce zamieszkania, o ile oczywiście nie jest to zbyt trudne. Zdarza się, że dwie osoby o równie silnej osobowości nie są w stanie mieszkać razem.

— Och! — powiedziała Kate impulsywnie — jaka to ulga móc z tobą porozmawiać!

Beatrice odwróciła wzrok. Wyciągnęła rękę i rozprostowała fałdę na łóżku Soni.

— I nie musisz się martwić tą uroczą amerykańską osóbką.

— Matką Gartha?

— Tak.

— Możesz mi powiedzieć coś więcej?

— Nie.

— Och! — zawołała Kate. — Nie dręcz mnie!

— Chciałam cię uspokoić.

— Jak Leonard?

— Doznał wstrząsu, ale przychodzi do siebie. Co w młodości nasunęło mu pomysł, by udawać potwora? Nie ma na to żadnych zadatków. Doprawdy nie wiem. Może angielski system szkół publicznych? Czy przyjdiesz mnie odwiedzić?

— W tym pokoju z Mariami?

— Mariami?

— Joss powiedziała, że twój pokój pełen jest Jezusów i Maryj.

— A! — powiedziała Beatrice. Wstała. — Jeszcze jedno. — Popatrzyła z góry na Kate. — Jesteś człowiekiem sama przez się, nie potrzebujesz mężczyzny, by cię dopełnił, tak jak ja nie potrzebuję dziecka, by czuć się pełnowartościową kobietą. — Wyciągnęła rękę do Kate. — Nie odprowadzaj mnie, dam sobie radę. I odwiedź mnie wkrótce.

Kate wstała i ujęła jej dłoń. Była cienka i sucha, jak papierowa chusteczka, zmięta i rozprasowana.

— Przypuśćmy — powiedziała Kate, nie wypuszczając ręki Beatrice—przypuśćmy, że coś zniszczyłam?

— Wtedy nic już nie da się zrobić. Ale radziłabym ci pójść i zapytać.

Beatrice cofnęła rękę i wyszła z pokoju Soni. Kate usłyszała, jak schodzi ostrożnie ze schodów.

Chińska kolacja z Jamesem uspokoiła Gartha w niewielkim stopniu. Nie było wątpliwości, że James jest wspaniałym facetem, ale to tylko pogorszyło sprawę, ponieważ Garth zrozumiał, a rozumieć nie chciał, w jaki sposób wspaniałość Jamesa Mallova oddziałuje na Bluey Acheson. Garth podziwiał szczerze swojego ojca, ale nie przyszłoby mu do głowy określić go mianem przystępnego. Nigdy przystępny nie był, nie należał do ojców, z którymi można się po wygłupiać. Garth pomyślał, że mógłby bez trudu wygłupiać się z Jamesem albo z tym Hughem, który mieszka w Willi Richmond. Obaj byli o wiele starsi od Randy'ego, więc najwyraźniej zdolność wygłupiania się nie była kwestią wieku, lecz temperamentu.

Garth uwielbiał matkę. Wiedział od samego początku, że nie przepada za Oksfordem i obwiniał za to Oksford. Miasto nie potrafiło jej docenić. Był więc

szczerze wdzięczny Jamesowi za nadrobienie tego niedopatrzenia, choć teraz czuł, że James trochę przesadził. Próbował mu to powiedzieć przy kolacji, ale obawiał się, że nie bardzo mu wyszło.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Bluey pławi się w ciepłe aprobaty Jamesa, i Garth nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec tego nie widzi. Choć, z drugiej strony, ojciec widział takie rzeczy jak mokre buty Gartha w hallu albo ciekący kran, rzadziej natomiast dostrzegał ludzi. Garth pragnął całą duszą porozmawiać z Bluey, ale się bał, przede wszystkim tego, że po tej rozmowie matka przestanie wyglądać tak, jak wyglądała. Jediną osobą, z którą mógł porozmawiać, była Joss.

Ale Joss nie była już łatwą zdobyczą. Garth nie mógł się nadziwić zmianom, jakie w niej zaszły przez sześć miesięcy. To było wspaniałe, a zarazem trochę niesamowite, i czasami rozmyślał o dniu, kiedy po raz pierwszy ją zauważył. Niosła zakupy panny Bachelor i wyglądała jak półtora nieszczęścia. Teraz była otoczona przez przyjaciół i połowę z nich zabierała codziennie do domu, między innymi tego chudzielca, Nata Tempie[^], który był beznadziejny w sporcie. Nat Tempie nie odstępował Joss na krok. Dwukrotnie, zauważył Garth, mieli na sobie identyczne swetry. Niezależnie jednak od istnienia Nata Temple'a, Garth musiał dopaść Joss samą i przedyskutować z nią sprawę Bluey i Jamesa.

— Odwiedziłam twoją matkę — powiedziała Beatrice.

Joss leżała na trawie w szarym podkoszulku, obszernych pomarańczowych szortach i swoich nieśmiertelnych butach. Czytała jakieś czasopismo.

— Hej! — powiedziała, opuszczając magazyn na ziemię.

— Nie używaj nic nie znaczących wykrzykni-

ków — skarciła ją Beatrice. — Czy to ma oznaczać przyjemne zaskoczenie, czy po prostu zaskoczenie?

— Przyjemne zaskoczenie. — Joss usiadła. — Jest wspaniała, prawda?

— Tak — powiedziała Beatrice.

— O czym rozmawiałyście?

— O tobie.

— O mnie?

— Tak. O tobie. Powiedziałam, że przynosisz jej chlubę. Powiedziałam, że moim zdaniem masz ogromną zdolność regeneracji.

— Co mam?!

— Sprawdź w słowniku — doradziła Beatrice. Przyszła zobaczyć się z Leonardem, ale lekarz nakazał mu odpoczynek i Leonard leżał jeszcze w łóżku. — Czy czujesz się odpowiedzialna za swoją matkę?

Joss przejechała dłonią po głowie, stawiając włosy na sztorc.

— W pewnym sensie.

— Teraz, kiedy poznałam twoją matkę, uważam, że należy do rzadkiego gatunku rodziców, którzy sobie tego wcale nie życzą.

— Trzeba jej pilnować — powiedziała Joss. — Potrzebuje opieki.

— Twojej opieki?

Joss zaczęła rozsznurowywać but, przeciągając metry grubego czarnego sznurowadła przez metalowe dziurki. Trwało to kilka minut, zanim otwór stał się na tyle szeroki, by mogła wysunąć stopę. Zdjęła czarną skarpetkę i spojrzała na sinobiałą stopę.

— Blee!

— Słuchasz mnie?

— Myślę — powiedziała Joss. — Rzecz w tym, że obie chcemy być niezależne.

— Istnieje coś takiego jak kompromis.

Joss rozczapierzyła palce u nóg, żeby sprawdzić, czy są czyste.

— Józefino, nie rób tego przy mnie!
— Czasami kompromis jest niemożliwy — powiedziała Joss, kładąc się z powrotem na trawie i machając gołą nogą. Uniosła obutą stopę i trzymała obie nogi razem, dla porównania. — Choćby w przypadku wyboru miejsca zamieszkania.
— Niemożliwy?
— Niemożliwy.
— Co się wtedy dzieje?
— Jedna osoba podporządkowuje się drugiej — wyjaśniła Joss. Opuściła nogi i leżała na wznak, z żebrami zarysowanymi ostro pod szarym podkoszulkiem.
— Józefino...
— Nie chcę o tym więcej rozmawiać — powiedziała Joss. — Gadaniem można wszystko popsuć.
Leonard stanął w kuchennych drzwiach i pomachał im laską. Przykuśtykał do Joss i stanął, patrząc na nią z góry.
— Leniwa flądra! Jak ty wyglądasz?
— Modnie.
— Gdzie się podział ten twój widmowy młodzian?
— Poszedł przekłuć sobie drugie ucho. Leonard opuścił się na ławkę obok Beatrice
— Hugh wrócił, żeby skończyć pakowanie. Zgadnijcie, co mi przyniósł. Butelkę koniaku. Litrową! Cały pieprzony litr!
Joss przekręciła się na bok.
— A ja co dostałam?
— Chciwe ścierwo! Skąd ja mam wiedzieć? Planują z Jamesem wieczór kawalerski. Sentymentalne bzdury. Człowiekowi aż się niedobrze robi.
— A mnie to cieszy. Bez cienia wstydu będę się radowała szczęśliwym zakończeniem.
Joss zaczęła wrywać małe kępki trawy.
— Ja również — powiedziała.

Garth dopadł Joss w drodze do szkoły.

— Cześć — powiedziała lakonicznie, jak robiła to każdego ranka.

— Muszę z tobą porozmawiać — oznajmił Garth. — Próbuję cię złapać od wielu dni. Żeby porozmawiać.

Joss żuła gumę.

— Więc rozmawiaj — powiedziała, nie przerywając żucia.

Garth zawahał się. Mieli jakieś cztery minuty, zanim dojdą do przystanku autobusowego i zostaną wchłonięci przez Angie i Emmę, i Nata, i Pete'go, i Trudy'ego, i całą resztę, co pozostawiało niewiele czasu na dyplomatyczne wstępy. Musiał przedstawić jej sprawę jasno i zwięźle.

— Chodzi o moją matkę. O moją matkę i o Jamesa.

— Aha — powiedziała Joss. — Wiem. — Zatrzymała się na sekundę i wypluła gumę wprost do kosza na śmieci.

— Martwię się, Joss. Naprawdę się martwię. Moja matka jest mężatką, rozumiesz, i...

— Nie musisz się martwić — powiedziała Joss.

— Nie muszę? Ale oni wychodzą razem, to znaczy ludzie ich widzą, robią różne rzeczy...

— Teraz to już nie potrwa długo — powiedziała Joss. Uśmiechnęła się do niego radośnie. — Już niedługo zdarzy się coś, co wszystko zmieni.

Hugh i James siedzieli przy małym stoliku przed King's Arms. Jak zwykle podczas przerwy międzysemestralnej, w pubie było więcej turystów niż studentów i w konsekwencji trochę nudno. Hugh i James pili piwo; pili razem piwo od czterdziestu lat.

Hugh powiedział Jamesowi, że James uratował mu życie, a James odparł, że wzajemnie.

— Przerażenie ogarnia mnie na myśl, jak bliski byłem utraty żony i dzieci.

— Poniekąd straciłem żonę — powiedział James. — I tracąc żonę zyskałem córkę.

— Jesteś samowystarczalny, Jamesie.

— Doprawdy?

— To nas wszystkich ciągnie do ciebie jak magnes. Podejrzewamy, że posiadasz sekret, eliksir, i wydaje się nam, że jeżeli zamieszkamy z tobą, dowiemy się, na czym ten sekret polega.

James upił łyk piwa.

— Kiedy Kate odeszła, myślałem, że umrę. Chciałem umrzeć.

— Dlaczego, do cholery, nic nie powiedziałeś?!

— Bo jedyną osobą, której warto było o tym mówić, była Kate. Nikt inny nie mógł mi pomóc.

— A teraz?

James uniósł głowę i zapatrzył się na Sheldonian Theatre, przed którym grupa francuskich uczniów próbowała ustawić się do zdjęcia w piramidę.

— Wszystko się zmienia — powiedział. — Przypuszczam, że to część procesu rekonwalescencji. Dławiś swoje uczucia, żeby się uzdrowić, a potem stwierdzasz z przerażeniem, że odniosłeś sukces, no, powiedzmy połowiczny sukces.

— Chcesz powiedzieć, że można wyleczyć się z miłości?

— Chcę powiedzieć, że cierpienie, wywołane świadomością, że kochasz bardziej niż jesteś kochany, może zostać złagodzone, jeżeli odetnie się źródło miłości. Uporczywe trwanie w uczuciu bez wzajemności wydaje mi się samolubne i niemęskie. Jeżeli osoba, którą kochasz, mówi ci prosto z mostu, że ranisz ją swoją miłością, najrozsądniejszą i w sumie najszlachetniejszą rzeczą jest zdławić miłość. Czy można cię potem winić za to, że do pewnego stopnia ci się udało?

Hugh pochylił się nad stołem.

— Chcę się upewnić, dla własnego spokoju ducha, że z tobą wszystko w porządku. Na oko sądząc, tak...

— Czasem wydaje mi się to bardzo dziwne, że mogę jeszcze być szczęśliwy, i oczywiście zdarza się, że jestem daleki od tego stanu, ale ogólnie rzecz biorąc... — urwał. Rzucił okiem na Hugh'a. — Być może moja samowystarczalność jest po prostu obojętnością, i to doprowadza kobiety do szaleństwa.

— Kobiety!

Uśmiechnęli się do siebie. Potem wstali, zabrali marynarki z oparcie krzeseł i ruszyli w dół Broad Street, do miejsca, gdzie Hugh zaparkował samochód. Młoda kobieta siedząca przy sąsiednim stoliku patrzyła jak odchodzą.

— Widziałaś tych dwóch?

Jej towarzyszka zdjęła okulary słoneczne i popatrzyła we wskazanym kierunku.

— Co z nimi?

— Obserwowałam ich przez dłuższy czas, i wiesz co? To naprawdę dziwne, jak oni rozmawiali. Jak dwie kobiety, chociaż nie sądzę, żeby byli homo. Czy to nie dziwne? Jestem pewna, że nie są homo.

Jej towarzyszka włożyła okulary.

— Za starzy na te rzeczy — powiedziała.

Kate przyniosła Beatrice granatowego irysa na wiotkiej łądydze i kruche ciasto. Beatrice wstawiła irysa do emaliowanej misy, bardzo podobnej do niecki, w jakiej matka Kate zwykła robić budyń.

— Ostatnie kwiaty, jakie dostałam — powiedziała Beatrice — były również niebieskie. James mi je dał, trzy hiacynty w doniczce.

— Tak — powiedziała Kate. — Pamiętam. Usiadła na jednym z niewygodnych foteli Beatrice. Kot przycupnął na dywanie i przyglądał się jej badawczo, rozpatrując możliwość wskoczenia jej na kolana.

— Te wszystkie Marie — powiedziała Kate rozglądając się. Kot skoczył. — Och! — krzyknęła Kate.

— Zrzuć go — zasugerowała Beatrice. — Niestety jest rozpuszczony.

— Lubię go. Po prostu mnie zaskoczył. Beatrice zagotowała wodę w elektrycznym czajniku, który przyniosła z kuchni na tę okazję.

— Robi to zawodowo. Poświęca wiele myśli i energii zaskakiwaniu mojej bratowej, ale obawiam się — Beatrice uśmiechnęła się do filizanki z herbatą

— że są to niespodzianki nieprzyjemne.

— Joss mi powiedziała, że nie najlepiej układa ci się z bratową...

— Ach! — powiedziała Beatrice, mieszając herbatę. — Tak, ale nie powiedziała ci zapewne, że

nasza mała wojna utrzymuje nas przy życiu. Bronią mojej bratowej jest lepsza pozycja finansowa, moją zaś intelekt połączony z Kotem. Doskonale się uzupełniamy. — Usiadła obok Kate. — Z przyjemnością muszę stwierdzić, że siniaki zniknęły bez śladu.

Kate dotknęła twarzy. Jakby w odruchu współczucia, Kot podniósł grubą łapę i zrobił to samo.

— Och, jaki jesteś słodki!

— Obawiam się, że wcale nie jest słodki — powiedziała Beatrice. — Nie zdarzyło się jeszcze, żeby był bezinteresownie miły.

— Chcę ci coś pokazać — powiedziała Kate. Przechyliła się nad Kotem i sięgnęła po torebkę. Wyjęła z niej złożony wycinek z gazety i podała Beatrice.

— Święty Edmund poszukuje pomocnika nauczyciela. Do młodszych klas. Praca wraz z zakwaterowaniem.

Beatrice rozłożyła wycinek i przeczytała.

— Lubię dzieci — mówiła Kate. — I miałabym wolne wakacje. Płacą grosze, ale nigdy w życiu nie miałam dobrze płatnej posady, więc to żadna przeszkoda. Spełniam warunek wieku — zawahała się. — Chciałam cię prosić, żebyś mi pomogła napisać podanie i... I zastanawiałam się, czy dałabyś mi referencje.

Beatrice złożyła wycinek. Spojrzała na Kate.

— Oczywiście. Zrobię to z przyjemnością, choć nie sądzę, żebyś potrzebowała pomocy przy pisaniu podania. Tylko, Kate, myślałam, że wystąpisz z pewną propozycją...

Kate pomachała gwałtownie dłońmi.

— Tak, tak, ale to jest moje ubezpieczenie, to jest... urwała. Potem dokończyła stanowczo. — Podejmę tę pracę, jeżeli okaże się, że spaliłam za sobą mosty.

— Rozumiem — powiedziała Beatrice. Wstała, by nalać herbaty. — Doskonale cię rozumiem.

Bluey miała nareszcie Jamesa tylko dla siebie. Randy był w Londynie na dwudniowym seminarium, a Garth — który zaprzyjaźnił się z synem jednego ze współpracowników ojca — na pierwszej lekcji tenisa na Merton Street. We wtorki Leonard szedł na brydża z Beatrice, a Joss, o czym Bluey dowiedziała się od Gartha, pomagała Angie malować sypialnię. Chciały to zrobić metodą ochlapywania, powiedział Garth, polegającą na tym, że ochlapuje się ścianę rozrzedzoną farbą.

— Nie zarobiłaby tym na życie — powiedział Garth, ale jego ton wcale nie był krytyczny, jedynie tęskny i trochę smutny.

Bluey schłodziła butelkę kalifornijskiego chardon-nay, przyrządziła miseczkę guacamole, w którym można było maczać kukurydziane chipsy. Położyła różowy obrus na stole w ogrodzie. Słomkowe wino i bladezielone guacamole harmonizowały ładnie z białą porcelaną i trzema dzikimi różami w wiktoriańskim wazoniku, który Bluey znalazła na czwartkowej wyprzedazy staroci.

— Zapraszam cię na drinka — powiedziała Jamesowi. — Tego mi chyba nie odmówisz.

— Nie chcę ci odmówić.

Próbowała nie budować na tym, nie rozbierać tych czterech słów, nie oglądać ze wszystkich stron i nie zlepiać ponownie w zdanie, ciągle od nowa, żeby sprawdzić, czy za którymś razem nie staną się bardziej znaczące. Skoro powiedział, że nie chce odmówić, to znaczy, że pragnie przyjść, a to z kolei oznacza, że pragnie być z nią sam na sam, a to... A może chciał tylko powiedzieć, że nie sprawi jej zawodu, skoro jego wizyta tyle dla niej znaczy. Czyli że ta wizyta nie jest dla niego tym, czym jest dla niej... Jeszcze chwila, pomyślała Bluey, a doprowadzisz się do obłądu.

Na powitanie pocałował ją w usta, ale lekko. Nic

nie przyniósł, i choć nie było absolutnie żadnego powodu, by przynosił cokolwiek, Bluey doznała rozczarowania. Choćby gałązkę kapryfolium z ogrodu, zwłaszcza gałązkę kapryfolium... Zachwycił się jej ogródkiem.

— Nauczyłem się wiele od Beatrice. To niemal nieprzyzwoite, że ma taki dryg do kwiatów, ale niewątpliwie go ma. Zaczynam nawet podejrzewać, że mógłbym zainteresować się ogrodnictwem. Bardzo stosowne hobby dla starszego pana.

— Nie jesteś stary — zaprotestowała Bluey.

— No cóż, jestem o wiele starszy od ciebie i o wiele starszy niż byłem kiedyś, i jest to proces postępujący.

Wyraził aprobatę dla wina i guacamole, i zapytał o nazwę róż w wazonie.

Opowiedział Bluey o Hunterach i o tym, jak Hugh przywiózł bliźniaki do Willi Richmond, żeby pokazać im, gdzie spał. Były bardzo podekscytowane, ale wcale nie tym, że on tam spał, ale że spała tam Joss. Joss pozwoliła im skakać po swoim łóżku i dała im po szklance coca-coli z łyżeczką lodów.

Opowiedział jej o tym, jak Leonard zażądał podwyżki dla pani Cheng, a pani Cheng, chcąc okazać wdzięczność, wysprzątała mu wszystkie szafki i szufelady, i została zwymyślana. Opowiedział jej o nowym uczniu, nadzwyczaj inteligentnym, i o propozycji napisania artykułu o tym, czy społeczeństwo nie powinno pomagać najbliższym sąsiadom, zamiast podejmować bezskuteczne próby ratowania zagrożonych dżungli i Amazonii, i wymierających gatunków delfinów. Mówił tak długo, aż Bluey poczuła, że nie zniesie tego dłużej, i zawołała:

— James! Ja chcę z tobą porozmawiać! Spojrzał na nią.

— Droga Bluey, wiem o tym. Ja też chcę z tobą porozmawiać. Dlatego przyszedłem.

20 — Nłatwe związki

305

— Kocham cię — powiedziała Bluey. — Nic na to nie poradzę. Kocham cię.
Pochylił się i wziął ją za rękę.

— Wiem.

— Ale ty mnie nie kochasz.

— Nie tak, jakbyś tego chciała. Nie jestem w tobie zakochany i nie chcę być, choć wiem, że to brzmi okrutnie.

— Nie chcesz się we mnie zakochać?

— W nikim.

Pomyślała: nie czuję bólu. Co się dzieje, dlaczego nie czuję bólu?

— Czy to z powodu Kate? Czy to przyszło za wcześnie?

Nadal patrzył jej prosto w twarz.

— Trudno zaliczyć Kate do odległej przeszłości, ale chodzi o co innego.

Widzisz, Bluey, jestem zmęczony. Ludzie przypisują sercu najrozmaitsze stany, moje jest po prostu zmęczone. Lubię być z tobą, lubię twoje towarzystwo, rozweselasz mnie i czarujesz, ale jakoś nie potrafię przenieść uczuć na wyższy poziom.

— I nie chcesz?

— Nie chcę.

Czekała, żeby powiedział, że już wkrótce i ona nie będzie tego chciała, ale James milczał. Uścisnął jej dłonie i złożył je ostrożnie na jej kolanach.

— Wyglądałam się? — zapytała.

— Absolutnie nie!

— Przyszedłeś, żeby mnie przed tym uchronić? Uśmiechnął się.

— Przyszedłem, żeby uchronić cię przed budowaniem zamków na lodzie, które zaludniłaś pospolitymi śmiertelnikami w błyszczących zbrojach.

— Och, Jamesie!

— Pójdę już. Sprawiałaś, że jestem bardzo szczęśliwy i... — urwał. — Myślę, że powiedziałem dość — dokończył po chwili.

Kiedy wyszedł, Bluey przyniosła z kuchni tacę, załadowała na nią kieliszki, miseczki i butelkę wina. Odstawiła wszystko na miejsce — guacamole i wino do lodówki, kukurydziane chipsy do szafki, kieliszki do zmywarki, a potem usiadła przy małym śniadaniowym barku, ponieważ ból jednak nadszedł, nagły i ostry, i szlochała z głową ukrytą w ramionach.

Sandy-niania przyjęła odprawę dość spokojnie. Wiedziała, że się zbliża, drobnymi kroczkami podczas nieobecności Hugh'a, milowymi susami od chwili jego powrotu. Była na nią przygotowana. Wyobrażała sobie, że Julia przyjdzie do niej do kuchni i przedstawi listę powodów, dla których daje jej odprawę. Zniszczony sweter Edwarda będzie figurował na czołowej pozycji. Wtedy ona, Sandy, popatrzy na Julię z kpiącym wyrazem twarzy, który ćwiczyła od tygodni właśnie z myślą o tej scenie.

Jednak to nie Julia przeprowadziła z nią decydującą rozmowę, lecz Hugh. I nie w kuchni, ale w gabinecie. Alarmująco przyjacielskim tonem zawiadomił ją, że jego zdaniem byłaby o wiele szczęśliwsza, pracując w jakimś mniej odludnym miejscu, pośród swoich rówieśników, i że on z Julią zwalniają ją z końcem miesiąca, żeby mogła sobie znaleźć taką właśnie pracę.

Sandy uśmiechnęła się do Hugh'a. Uśmiechem tym chciała pokryć lekkie zmieszanie, którego nie miała w planach. OK, powiedziała, opierając się ciężko o biurko Hugh'a, odejdzie zaraz, w piątek. Dziewczyna z pubu zaproponowała jej mieszkanie w Cowley, a pracę już ma. Hugh, który nie uwierzył w ani jedno słowo, powiedział „to świetnie” i wypisał jej czek wysokości miesięcznej pensji.

Sandy poszła na górę i rozejrzała się po swojej sypialni. Nigdy jej nie lubiła, nie był to pokój od-

powiedni dla kogoś o jej rozmiarach. Będzie tęskniła trochę za bliźniakami, ale pan Hunter miał świętą rację, praca z dziećmi odrywała ją od ludzi. Nie podobał jej się wyraz twarzy Hugh'a, kiedy powiedziała, że znalazła już nową pracę. Przynajmniej to, co mówiła o mieszkaniu w Cowley, było prawdą lub prawie prawdą.

Usiadła na łóżku i spojrzała na czek, na podpis Hugh'a. Miał ładny charakter pisma. Śmieszny z niego facet. Najpierw urządza ten cały cyrk z byciem młodym, rzuca mądre powiedzonka, a potem zmienia się w galarete, kiedy traci pracę. Sandy nigdy nie weźmie posady tak poważnie, co to, to nie. Zarobi akurat tyle, by przeżyć, zabawić się, wypić drinka. Może wróci do Suffolk, ale jeszcze nie teraz. Najpierw pójdzie do pubu i wypyta Steph o to mieszkanie w Cowley, i porozgląda się trochę za robotą. Steph może coś wiedzieć. Parę dni temu wspomniała, że włoska knajpa, Pasta Please, poszukuje kelnerki. Steph powiedziała, że to miły lokal. Ktoś jeszcze jej to mówił, ale Sandy nie pamiętała, kto. Wstała z łóżka i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Pracodawca nie może dyskryminować pracownika z racji jego płci, rasy, koloru skóry czy religii, ale czy może, zastanawiała się Sandy, dyskryminować go z racji jego wagi?

Garth Acheson uwielbiał tenis, choć uważał, że to osobliwa gra. Lubił dziwną, starą raketę i zwroty w rodzaju: „Ale serw, stąd do Bombaju!” Grał tak często, jak często udawało się Matthewowi dorwać do kortu, a potem szedł z przyjacielem do jego domu, gdzie oglądali telewizję i robili sobie niezwykle posiłki ze wszystkiego, co im wpadło pod rękę. Rodzice Matthewa nie byli konwencjonalni pod żadnym względem. Ojciec pasjonował się dawną muzyką

i konstruował jakieś instrumenty, matkę można było posądzić o wszystko, tylko nie o to, że choćby raz w życiu wsadziła kwiaty do wazonu czy przyszyła guzik.

Kiedy Garth po kilku godzinach u przyjaciela wracał na Observatory Street, własny dom wydawał mu się nienaturalnie schludny i czysty. Matka Matthewa nie była wiele starsza od Bluey, ale własny wygląd nie miał chyba dla niej znaczenia, bo nie dostrzegła nigdy, że go posiada. Garth otworzył kiedyś szafkę łazienkową u Matthewa, szukając kropli na żołądek po niezwykle nieudanym eksperymencie kulinarnym z cebulą, bananami i sosem curry, i stwierdził, że jedyny szampon ma etykietkę „Dla psów. Przeciwko pchłom”. Bluey myła włosy co trzeci dzień i prała wszystkie ubrania natychmiast po tym, jak je zdjęli.

Przeżył więc swego rodzaju szok, kiedy wróciwszy pewnego popołudnia do domu odkrył, że jego łóżko jest nie posłane, naczynia po śniadaniu nadal stoją na kuchennym barku, a Bluey siedzi na kanapie z podwiniętymi nogami i ogląda telewizję.

— Mamo? — powiedział Garth.

— Cześć, kochanie.

— Jesteś chora?

— Nie — powiedziała Bluey. Wyciągnęła do niego rękę. Była trochę blada i nie zaczesła włosów do tyłu, jak zwykle, ale poza tym wyglądała normalnie. Garth podszedł i usiadł obok niej na kanapie. Wziął ze stolika pilota i wyłączył telewizor.

— Spędziłam prawie cały dzień z tatą — powiedziała Bluey. — Potem wróciłam tutaj i po prostu nie byłam w stanie zabrać się do roboty, więc pomyślałam: do diabła z tym, pooglądam telewizję.

Garth zdrętwiał. Po co miałyby spędzać cały dzień

z Randym? Nigdy nie spędzała czasu z Randym. Czy poszła mu powiedzieć, że już go nie kocha, że kocha Jamesa?

— Dlaczego poszłaś do ojca?

— Zadzwoił do mnie. Zaraz po śniadaniu — powiedziała ze smutkiem. — Nie chcą go tutaj na drugi rok. Właśnie skończyły im się pieniądze. Ich człowiek wraca ze Stanów, a my musimy jechać do domu.

— O Boże! — powiedział Garth.

— Tata jest taki zdenerwowany. Uważa, że gdyby naprawdę chcieli go zatrzymać, znaleźliby na to pieniądze. Jest naprawdę przybity. Poszedł do pracy jak zwykle, a oni mu powiedzieli, że od jutra może już tego nie robić. Tak po prostu. Mówi, że pierwszą jego myślą było zadzwonić do mnie. Garth zwiesił głowę i gapił się w dywan między swoimi stopami. Nie potrafił wyobrazić sobie ojca upokorzonego, nie potrafił wyobrazić sobie Randy'ego zapędzonego w kozi róg. Randy zawsze parł naprzód, a ewentualne przeszkody były zdania, że lepiej zejść mu z drogi.

— Biedny tatuś.

— Tak, wiem — powiedziała Bluey. — Zabrałam go na spacer. Nie wiem, gdzie poszliśmy, zdaje się, że po prostu przed siebie. Zjedliśmy lunch w jakiejś knajpce przy Holywell Street, nie pamiętam nazwy. Cały czas powtarzał: „Mam ciebie, Bluey, prawda, nadal mam ciebie?” Nie mówił takich rzeczy od dwudziestu lat. W końcu namówiłam go na powrót do laboratorium. Powiedziałam: „Musisz tam wrócić i pokazać im uśmiechniętą twarz!” Wcale nie chciał iść. Musiałam go zaprowadzić. To było takie smutne, Garth, takie smutne. Strasznie mi go żal.

— Myślisz, że to naprawdę z powodu pieniędzy?

— Nie wiem. Wolę nie wiedzieć. Zdaje się, że pozostaje nam tylko pożegnać Oksford i wrócić do domu. Chciałam przyszykować jakiś dobry obiad,

ale po raz pierwszy w życiu nie mam na to sił. Pójdziemy coś zjeść, kiedy ojciec wróci. — Spojrzała na zegarek. — Powiedział, że najpóźniej o siódmej.

— Spodziewałem się czegoś zupełnie innego.

— Tak, wiem — powiedziała Bluey.

— Myślałem, że to będzie James. Bluey wsunęła stopy w pantofle.

— Chciałam, żeby to był James. Ale on mnie nie kocha. Może miał rację, mówiąc mi o tym. Może tatuś i ja...

Garth wziął ją za rękę. Zacisnęła palce na jego dłoni.

— Czas wrócić do domu — powiedział. Skinęła głową. Uśmiechnął się i przysunął do niej

bokiem, żeby mogła go objąć.

— Wiesz co, mamó? — powiedział. — Prawda jest taka, że Joss też mnie nie kocha.

Kate wybrała się na spacer po Port Meadow. Liczyła na to, że chodząc uspokoi nerwy. Chodziła bardzo długo, a ponieważ była akurat pora lunchu, mogła się przyglądać urzędnikom, którzy próbowali się opalać w porozpinanych garniturach i zadartych spódnicach od garsonek. Kate uznała, że nie poprawiają wizerunku ludzkości. W pewnym momencie przystanąła, by przyjrzeć się mężczyźnie przemawiającemu do psa. Pies rył w ziemi jak świder elektryczny.

— Co tam masz? Co ty tam masz? — mówił mężczyzna. — Myszkę? A może kreta? Żuka?

Pies nie zwracał uwagi na mężczyznę, a mężczyzna nie zwracał uwagi na Kate. Po chwili zostawiła ich obu i ruszyła na południe, w stronę Jerycho. Mijała domy koloru ochry z ciężkimi kamiennymi ościeżnicami i malutkie ogródki pełne rowerów i uschniętych krzaków.

Miała zamiar wstąpić do pana Patela i coś kupić,

tylko po to, by zobaczyć, jak rozjaśnia się jego czarna, sympatyczna twarz. Nie zrobiła tego jednak, minęła sklep i poszła Walton Street, aż do skrzyżowania, gdzie na murach wisiały stare reklamy artykułów spożywczych. „Spróbujcie Herbaty Lumleya” i „Najlepsza turecka kawa w pół-kilogramowych opakowaniach”. Czytając ogłoszenia zawsze wyobrażała sobie te opakowania, małe paczuszki z rysunkiem przedstawiającym sułtana, fontanny i zakwefione hurysy całe w złocie i czerwieni. Ostatnie dwieście metrów przeszła bardzo wolno Zanim dotarła do Willi Richmond, słońce zaszło i zrobił się cichy, szary wieczór. Odważnie pokonała schody i nacisnęła dzwonek.

— Kate! — zawołał James otworzywszy drzwi Nie wydawał się zdziwiony. — Jak to miło. — Odsunął się, żeby ją przepuścić. — Wiedziałem, że przyjdiesz. — Pochylił się i pocałował Kate w policzek. — Ciężko mi na sumieniu, że nie porozmawiałem z tobą o Joss. — Zajrzał jej badawczo w twarz. —

Masz się o wiele lepiej.

Kuchnia nic się nie zmieniła. Na stole leżały skorupy dzbana, tubka kleju i gazeta.

— Próbuję to skleić — powiedział James. — Nie wiedziałem jak bardzo lubię ten dzban, dopóki się nie stłukł. Zbił go Trudy, kolega Joss, niemądry chłopak. Chciał nam udowodnić, że potrafi chodzić z dzbankiem na głowie.

— Gdzie jest Leonard?

— Odpoczywa — powiedział James. — Zawsze teraz odpoczywa po lunchu, chyba że są rozgrywki tenisa. Ucieszy się, że przyszłaś. Napijesz się kawy?

— Sama zrobię.

— Jak to miło! Naprawdę czujesz się lepiej?

— Tak — powiedziała Kate, napełniając czajnik wodą. Wróciła do stołu i patrzyła, jak James próbuje

dopasować skorupy. — Spójrz! Ten kawałek powinien być tutaj. James...

— Oczywiście, ale ze mnie gapa. Tak?

— Byłam u Beatrice. Na podwieczorku. Przyszła odwiedzić mnie w Mansfield House.

Twarz mu się rozjaśniła.

— Kate! To wspaniale. Tak się cieszę!

— Chciałabym cię przeprosić...

— Wolałbym, żebyś tego nie robiła.

Kate odeszła od stołu. Ciężko jej było stać przy nim i go nie dotykać, a nie mogła go dotknąć, dopóki...

— Co o niej myślisz?

— To samo co ty — odparła. — Że jest naprawdę niezwykła. I dzielna. James pochylił się nad dzbankiem.

— Jest przykładem prawdziwej odwagi, nie sądzisz? Znosi mordęgę codziennego życia bez jednej skargi. Może wpaść w furię, ale nigdy nie sklamrzy.

— Uważasz, że ja sklamrzę?

Ku jej konsternacji James spuścił wzrok, zażenowany.

— Nie — powiedział. — Wcale tak nie uważam.

— James...

Nadal dopasowywał swoje skorupy i robił to w sposób, który nie zachęcał do rozmowy. Na ułamek sekundy Kate zabrakło odwagi, ale uczucie słabości minęło tak szybko, jak się pojawiło. Nie pozostawało jej nic innego, jak brnąć dalej. Musi zrobić to, co sobie postanowiła, po co tu przyszła, obojętnie, jaką cenę za to zapłaci. Musi spróbować, inaczej pytania i wątpliwości będą ją prześladowały do końca życia. Bo ma przed sobą życie, może nie takie, jakie sobie wymarzyła, ale jednak życie. Nie będą się oglądać za siebie, postanowiła. Nie będą sklamrzyć.

— James — powtórzyła, bardziej stanowczo. Zo-

stawiała czajnik, kubki i słoik z kawą, wróciła do stołu i usiadła naprzeciw Jamesa. Potem zaczerpnęła oddechu i powiedziała:

— Przyszłam zapytać, czy się ze mną ożenisz.

Pytanie zapadło w ciszę, jak kamień rzucony w pustą studnię. Cisza trwała króciutko, ale powiedziała Kate wszystko, co chciała wiedzieć.

Pochyliła się nad stołem.

— James — powiedziała. — James.

Podniósł na nią wzrok. Spróbowała się uśmiechnąć.

— Przyszłam za późno, prawda? — zapytała i czekała, aż on skinie głową.